II 514.124 Dublet

Ksawery de Montepin

Zeszyt 14 (czternasty). Cena 10 kop.

TRAGEDYE PARYŻA.

3-4

4.25.6/7

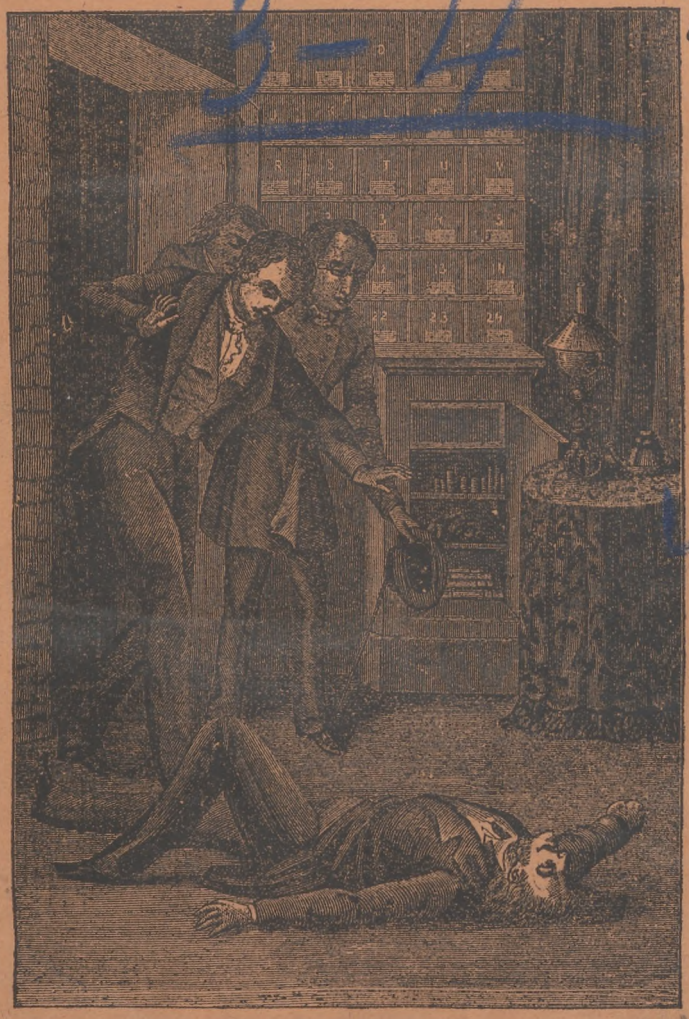

Romans w 7-miu tomach, Ksawerego de Montepin'a.

144 0/3

Nakładem Księgarni H. OLAWSKIEGO, Mazowiecka № 6.

Proszę zwrócić uwagę na 4-tą stronę okładki, obejmującą Prospekt.

Każdy zeszyt płaci się przy odbiorze — bez przedpłaty.

Tom III.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

PAJĄK PARYZKI.

KSAWERY de MONTEPIN.

TRAGEDYE PARYŻA.

Romans w siedmiu tomach z illustracyami.

Przekład z francuzkiego

J. W.

Tom III.

WARSZAWA.
Nakładem H. Olawskiego.
Mazowiecka 6.
—
1893.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 23 Февраля 1893 года.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN
II 814.124
T. 3-4
nr. inw. II 814.125

Druk Jana Cotty w Warszawie, Senatorska 29.

XLII.

Przez kilka sekund w korytarzu, zapełnionym wychodzącą z teatru publicznością, powstał zamęt nieopisany.

Grisolles, przyprowadzony do wściekłości otrzymanem spoliczkowaniem, zapomniawszy, iż wziął za to pieniężne wynagrodzenie, chciał rzucić się na Andrzeja San-Rémo i rozpocząć walkę na pięści.

Croix-Dieu i Jerzy Tréjan zaledwie powstrzymać zdołali zapienionego garybaldyjczyka.

— Ha! krzyknął przerywanym głosem—zapłacisz mi to krwią swoją, nędzniku!...

— Owszem—rzekł Andrzej spokojnie—mimo, że widzę, iż mam do czynienia z ostatnim z nikczemników, zrobię ci ten zaszczyt i będę się bił z tobą. Oto mój bilet wizytowy.

— Nawzajem i mój. Jutro cię zabiję!

— Jak ci się podoba, możesz nie szczędzić mnie w pojedynku...

Straż miejska, pełniąca służbę w teatrze, zaaresztowała markiza i kapitana Grisolles, który na widok przedstawicieli prawa uspokoił się nieco nareszcie.

Wysokie stanowisko, jakie zajmował wicehrabia de Grandlieu, nadawało mu odpowiedni wpływ i powagę. Ofi-

cer straży ukłonił mu się z poszanowaniem, dając znak agentom, by uwolnili dwóch przeciwników.

Pan de Grandlieu, zbiżywszy się do Andrzeja, uścisnął mu rękę.

— Mocno żałuję—wyrzekł—panie markizie, żeś pan, uniosłszy się gniewem, uderzył tego człowieka. Byłbym sam pomścił wyrządzoną mi przezeń zniewagę. Uległeś szlachetnemu rycerskiemu oburzeniu. Dzięki ci, żeś stanął w mojej obronie, spotkanie jest teraz nieuchronnem! Chcesz że mnie przyjąć za jednego z tych świadków?

— Ah panie wicehrabio—wyjąknął San-Rémo—przyjmuję z głęboką wdzięcznością ów zaszczyt, jakim obdarzać mnie raczysz...

— A ja cię proszę byś pozwolił mi być drugim sekundantem—ozwał się Tréjan, popchnięty naprzód nieznacznie przez barona Croix-Dieu.

— Dobrze—odparł San-Rémo. Lecz jakże się nazywa ów pan?

I, rzuciwszy okiem na doręczoną sobie wizytową kartę, czytał głośno:

Kapitan Grisolles, były oficer, ordynans wschodnich oddziałów Garibaldego. Bardzo dobrze...

— Patrz!—rzekł po chwili zwracając się do Tréjana—jak stojąc tam zdala, spogląda na nas z twarzą rozwścieczonego buldoga. Pomów z nim zaraz, proszę, mój Jerzy i oznacz godzinę w której przyślesz mu świadków i ułóż się o miejsce spotkania. Pragnąłbym bardzo załatwić się jutro z tą sprawą.

Tréjan poszedł do przyjaciela panny Leokadyi i ułożono, że sekundanci Grisolla przybędą o ósmej z rana do pracowni Jerzego na ulicę Laval i że natychmiast po ich widzeniu się nastąpi pojedynek.

Wicehrabia oczekiwał na bulwarze przy swoim powozie, w którym umieścił Herminię. Jerzy opowiedział mu

ułożone szczegóły i pan de Grandlieu obiecał przybyć do swego kuzyna przed ósmą godziną.

— Otóż mój kochany — mówił baron do Andrzeja San-Rémo, podczas gdy Tréjan rozmawiał z Grisollem i panem de Grandlieu, szalone masz szczęście, do pozazdroszczenia!

— W czém takiem?—pytał San-Rémo.

— Mówiłem ci, jak sobie przypominasz przed kilkoma dniami, że niezadługo wejdziesz jako poufny przyjaciel do pałacu męża Herminii.

— A więc?

— A więc, byłem prorokiem! Błogosław twoją szczęśliwą gwiazdę. Najzdolniejszy z dramaturgów nie zdołałby do takiej doskonałości doprowadzić i w tak pomyślny sposób zarówno rozwiązać węzła wypadków. Sam osądź!... Jakiś błazen znieważa wicehrabiego, który nie zna go wcale. Ty się tam znajdujesz... Stajesz w obronie starego szlachcica!... Wyzywasz jego przeciwnika! Idziesz się bić za niego!! Zostawszy zwycięzcą, staniesz się najlepszym jego przyjacielem! Gdy otrzymasz ranę kochać cię będzie jak syna. Cóż sądzisz o tem wszystkiem? Odpowiedz!...

— Mówię —odparł San-Rémo z uśmiechem, że miałbyś słuszność, baronie, gdyby nie istniała trzecia szansa, o jakiej zapomniałeś.

— Jaka?

— Ta, że mogę nie być ani zwycięzcą, ani ranionym, lecz poledz na miejscu, przeszyty kulą, lub pchnięciem szpady.

Croix-Dieu wzruszył ramionami.

— To niepodobna! — odpowiedział. Zbadałem uzdolnienie twojego przeciwnika. Przypuśćmy, że posiada zręczność pierwszorzędną w fechtunku, albo strzelaniu, o czem zresztą nie wiemy, junacy tego rodzaju znalazłszy się na stałym gruncie, wobec prawdziwej szpady, lub rury rewolwerowej, tracą pewność ręki i bystrość rzutu oka. Prócz tego jestem fatalistą. Wszystko łączy się i przygotowywa we-

dług mnie, by rzucić w twoje objęcia uwielbianą przez ciebie Herminię. Zapisano w przeznaczeniu, że tryumf otrzymasz zupełny i że nic w świecie, słyszysz mnie, *nic*, nie będzie w stanie powstrzymać, ani opóźnić szybkiego ziszczenia się twych pragnień.

— Mówisz to, w tak głębokim, baronie, przekonaniu, iż mimowolnie chciałoby się ci uwierzyć—rzekł Andrzej.

— Lepiej mi jeszcze uwierzysz po dokonanem spotkaniu.

— Dla czego nie starałeś się być jednym z mych sekundantów, baronie?—pytał San Rémo.

— Ponieważ skoro pan de Grandlieu ofiarował ci swoje usługi w tym celu, osądziłem, iż przyjemniej mu będzie dzielić je ze swym kuzynem Jerzym Tréjanem, niż zemną nieznanym. Bądź pewnym, że i w tym razie również się nie mylę.

— Jakąż bogatą posiadasz inteligencyę, panie de Croix-Dieu. Wszystko przewidujesz, myślisz o wszystkiem—mówił San-Rémo, wpatrując się weń ze zdumieniem.

— To moja siła, moja potęga — odparł z uśmiechem, baron.

Trèjan, zbliżywszy się, przerwał rozmowę.

— I cóż?—zapytał Croix-Dieu.

— Świadkowie zbiorą się u mnie jutro o ósmej z rana—odrzekł artysta.

— Będziesz mi towarzyszył? — pytał barona San-Rémo.

— Niepodobna! Mam oznaczoną schadzkę na tę godzinę, lecz zobaczymy się po pojedynku. Śpij dobrze, drogi mój chłopcze i bądź zupełnie spokojnym. Ja odpowiadam za wszystko.

Po wzajemnych uściśnieniach ręki, Andrzej odprowadził Trèjana na ulicę de Laval, podczas gdy Croix-Dieu, wsiadłszy do powozu, udał się na bulwar ś-go Michała, a przy-

bywszy do domu pod numer 127, zapukał czterokrotnie do mieszkania kapitana.

Grisolles, zajęty okładaniem zimną wodą swoich nabrzękłych policzków, pospieszył mu otworzyć.

— Ach! to pan — zawołał, spostrzegłszy przybyłego — Tam, do pioruna, właśnie chciałem z tobą się wiedzieć.

— Pospieszam złożyć ci moje powinszowanie —rzekł baron. Znakomicie odegrałeś swą rolę!

— Moją rolę! — powtórzył Grisolles, z wściekłością uderzając nogą o ziemię.—Ha pan nazywasz to rolą?... była to więc komedya? Uprzedzam cię, że ta komedya w krótce zamieni się w zupełny dramat. Przebije ostrzem szpady na wylot tego małego markiza, jak się nadziewa na rożen kurczęta.

— Co, co?—zawołał baron, udając zdziwienie—ponieważ spodziewał się w rzeczy samej wybuchu gniewu kapitana. —Czyż wszystko to, co się odbyło przed godziną nie było naprzód ułożonem i przewidzianem?

— Nie było przewidzianem, że otrzymam policzek wartujący trzysta tysięcy franków, jaki ci odstąpiłem za dziesięć luidorów. W miejscu jednego, otrzymałem dwa uderzenia i to jakiego kalibru! Widzę jeszcze dotąd dwa miliony świec przed oczyma. Ten twój przyjaciel powinien się trudnić zabijaniem wołów w rzezalniach dla rozrywki!... Spojrzyj na mnie... Pięknie będę jutro wyglądał, jeżeli te znaki na twarzy przejdą w kolor fioletowy! Do kroć tysięcy piorunów nie płaci się pieniędzmi za rzecz podobną!... To wymaga krwi i mieć ją będę! mieć muszę!

— Uspokój się!

— Nigdy! a raczej uspokoja się wtedy, gdy nieco krwi upuszczę temu wściekłemu bokserowi!...

— Posłuchaj mnie...

— Idź do dyabła!

— Mój przyjaciel uderzył cię może zbyt silnie i dwa razy, w miejsce jednego, przyznaję...

БИБЛІОТЕКА ИМПЕРАТОРСКАГО ВОСПИТАТЕЛЬНАГО ОБЩЕСТВА

— A! przyznajesz nareszcie? — zawołał szyderczo Grisolles.

— Skutkiem czego — mówił dalej Croix-Dieu—gotów jestem zmienić nasze pierwotne układy.

— Do mnie to należy—przerwał Garybaldyjczyk—zostałem znieważonym, wybrałem szpadę, a sześć pchnięć ostrzem w brzuch tego młokosa, ułożą rzecz jak trzeba.

Baron wzruszył ramionami.

— Co zyskasz na tem?—zapytał.

— Zadowolenie zemsty.

— Licha uczta, do czarta! Jesteś człowiekiem inteligentnym, lubisz się bawić, znasz wartość złota, masz kochanki.

— Nie daję kobietom pieniędzy!—zawołał z gniewem Grisolles.

— Być może, ależ kobiety nie stanowią jeszcze całej rozkoszy życia. Butelka szampana, wiesz dobrze, warta więcej, po nad parę kropel krwi. Ułóżmy się zatem. Otrzymałeś dziesięć luidorów, gotów ci jestem drugie tyle dopłacić, przyjmujesz więc?

— Nie!...

— Cóż chcesz więc?

— Powiedziałem już. Chcę przedziurawić skórę tego markiza. Jest to mą stałą ideą. Nie odstąpię od tego!

— Dam ci piętnaście luidarów...

— Nie przystaję!

— Dwadzieścia.

— Idź do czarta!

— Dwadzieścia pięć nareszcie, a uprzedzam, iż jeśli trwać będziesz w swoim uporze, pojedynek nie nastąpi wcale.

— Doprawdy — zawołał szyderczo Grisolles.—Ciekawym, w jaki sposób mógłbyś temu przeszkodzić?

— W sposób nader prosty. Powiadomię policyę, i na placu spotkania znajdziesz kilku żandarmów. No! jakże ci się to podoba?

Wyraz *„policya“* i *„żandarmi“* wywarły magiczny wpływ na mniemanego eks-kapitana. Opuścił głowę i przez parę sekund stał pogrążony w dumaniu.

— Daj do dyabła banknot na tę sumę—rzekł i nie kłopocz żandarmów.

Sprawa została załatwioną. Croix- Dieu otworzył pugilares, a po wypłaceniu, wyszedł z *sali fechtunku*, gdy jednocześnie Leokadya, zrzuciwszy swój włoski kostyum w kawiarni *Borgiów*, biegła do swego przyjaciela.

— Dobrzem zrobił, żem przyszedł—myślał baron, schodząc z szóstego piętra.—Ten łotr byłby go zabił!

— Dobrze, żem przyjął—powtarzał sobie Grisolles—zabiję go mimo to wszystko, a następnie wyznam, żem to pomimowolnie uczynił.

Pan de Grandlieu, wsiadłszy do powozu po ułożonych warunkach pojedynku, znalazł Herminię drżącą z trwogi i wzruszenia.

— Ach! mój drogi — szeptała — jakaż przerażająca scena!

— Bezwątpienia — odrzekł wicehrabia. Przykro mi, żeś była jej świadkiem, biedne me dziecię!...

— Cóż teraz nastąpi? — pytała dalej młoda kobieta. Czyż pan de San-Rémo będzie się jutro pojedynkował z tym nikczemnikiem?

— Tak jest, żadnego nie widzę sposobu dla przeszkodzenia temu.

— Ach! to okropne! Lecz pomyśl gdyby tan młody człowiek zginął?...

— Byłoby to strasznem nieszczęściem, w jakiem niepocieszył bym się nigdy, gdyż dla mnie ryzykuje swe życie ów odważny, a nieroztropny młodzieniec.

Herminia zamilkła, nie odzywając się już do chwili, w której powóz zatrzymał się przed pałacowym peronem. Myślała o Andrzeju, o owym dzielnym obrońcy honoru starca, o Andrzeju na którego obojętnie patrzyła przed dwiema

godzinami jeszcze, a który teraz przedstawiał się jej wyobraźni w olbrzymio bohaterskich rozmiarach.

Zaiste baron Filip de Croix-Dieu był zręcznym po nad wyraz człowiekiem!

XLIII.

Na kilka minut przed ósmą, nazajutrz z rana, pan de Grandlieu przybył do Jerzego Tréjan.

O ósmej świadkowie kapitana Grisolles dzwonili już do drzwi i Walenty wprowadził ich do pracowni.

Jeden z nich był ową wyłysiałą wąsatą osobistością, z którą szedł Grisolles, prowadząc się pod rękę przy wyjściu z teatru, drugi jego towarzysz, szczupły, mały mężczyzna o kędzierzawych włosach, trzymał w ręku tyrolski kapelusz. Gęsta długa broda, na dwie połowy rozdzielona, spadała mu na kamizelkę. Pantalony miał w buty wysokie włożone.

Ci obadwaj przybyli mieli tak dziwne i podejrzane fizyonomię, że wicehrabia z Tréjanem zamienili pomiędzy sobą zaniepokojone spojrzenie. Trwożyli się, widząc młodego markiza, oddającego swe życie w ręce porucznika, jaki nie zdołał sobie dobrać innych ludzi, po nad *przyjaciół i braci* tego rodzaju.

Co było począć?

San-Rémo uderzył Grisolla nie będąc przez tegoż osobiście obrażonym, świadkowie nie mogli go więc uchronić od następstw tego wybuchu gwałtowności. Nie próbowali nawet tego uczynić.

Wzajemne porozumienie się, trwało kilka minut. Grisolles, jako zobelżony, miał prawo broń wybierać.

Świadkowie oznajmili, że wybrał szpadę.

Postanowiono, że spotkanie nastąpi za dwie godziny, to jest punktualnie o dziesiątej, w oznaczonem miejscu wśród

lasku Winceńskiego, po czem przyjaciele owego kapitana, salutując po wojskowemu obecnych odeszli.

— Szkaradni ludzie!—szepnął wicehrabia.

— Jak i cała ta sprawa—dodał Tréjan. Czy znasz bliżej tego Grisolla, kuzynie?

— Bynajmniej! Widziałem go wczoraj po raz pierwszy w życiu.

— Zkądże on ciebie znać może?

— Nie wiem.

— Z jakich więc powodów ośmielił się zaczepić cię?

— Daremnie badam to wszystko, nie znajdując żadnego wyjaśnienia. Obelga z resztą osobiście mnie nie dosięgnęła. Bolesno mi jest, że pan de San-Rémo z uniesieniem, właściwem młodemu wiekowi i szlachetnemu swemu charakterowi, znalazł się tam wówczas.

— San-Rémo broni sprawy najsprawiedliwszej w świecie, skutkiem tego, zwycięzcą być musi i będzie!

— Oby Bóg to dał!

— Jak ci się zdaje, kuzynie? Możebym poszedł osobiście go o warunkach powiadomić—odparł Tréjan.

— Pojadę wraz z tobą, mój chirurg czeka w powozie. Wziąłem z sobą na wypadek szpady i szkatułkę z rewolwerami.

Wicehrabia wraz z Jerzym udali się do pałacyku przy ulicy Boulogne, gdzie zastali pana de Croix-Dieu, próbującego broni z Andrzejem.

Pan de Grandlieu odpowiedział z zimną obojętnością na ukłon barona, ku któremu instynktownie czuł wstręt nie przezwyciężony, w zamian, z gorącą życzliwością uścisnął dłoń Andrzeja.

— O której godzinie, wicehrabio, nastąpi spotkanie? —pytał ten ostatni.

— O dziesiątej, w lasku Winceńskim. Przyjedziemy po ciebie.

— Każę zaprządz do mego powozu.

BIBLIOTEKA NARODOWA B.N.

— Dobrze, będzie jechał za nami, ponieważ pojedziesz moim.

Powyższe zajście miało miejsce w połowie Lutego, jednego z najokrutniejszych w roku miesięcy, trudno bowiem wyobrazić sobie czas bardziej ponury i przykry. Zima obdarza nas niejednokrotnie pięknemi pogodnemi dniami, ten jednak był wilgotno pochmurny.

Ciężkie obłoki, przepełnione śniegiem, przysłaniały jasność słoneczną, nie dozwalając jej przedrzeć się ku ziemi i nakrywały Paryż mglistym półmrokiem. Obłoki te wreszcie topnieć poczęły i grube płaty śniegu spadały z horyzontu w chwili, gdy lando wicehrabiego i powóz Andrzeja wjechawszy do Winceńskiego lasku, zatrzymały się u brzegu alei, w pobliżu oznaczonego miejsca spotkania.

Croix-Dieu został w powozie młodego markiza, pragnąc z oddalenia przypatrywać się pojedynkowi.

Stary dwukonny fiakr stał już przy drodze; ze zmęczonych szkap jego wybiegały tumany pary, mieszając się ze spadającym śniegiem, na wychudłe grzbiety tych koni.

Ów fiakr przywiózł Grisoll'a z jego świadkami.

Garybaldyjczyk, jak powiedzieliśmy, był bardzo urodziwym chłopcem, a swoją ową urodę uważając jako kapitał, ciągnął z niej dochody. Nieszczęściem ów kapitał uczuł się mocno nadwerężonym od wczoraj.

Czerwone znaki na twarzy przybrały podczas nocy barwę błękitnawą, w żółty wpadającą. Prócz tego, szerokie czarne koło otaczało prawe oko Grissoll'a, którego nabrzękła powieka przymkniętą była do połowy.

Napróżno Grisolles starał się przyprowadzić do jakiej takiej jednostajności swe zeszpecone oblicze, pokrywając je grubą warstwą ryżowego pudru. Wyglądał jak dziki człowiek tatuowany i zamączony, jak Pierrot. Wściekłość widniała na jego obliczu.

Przedwstępne punkta szybko ułożonemi zostały.

Świadkowie Grisoll'a przyjęli szpady, dostarczone przez

pana de Grandlieu. Wybrano grunt walki. Przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie i owe uroczyste wyrazy: „Dalej panowie!“ zabrzmiały wymówione przez wicehrabiego.

Wyższość potężna Grisoll'a w rzutach szpadą, dawała się dostrzedz za pierwszem spojrzeniem.

Pojął San-Rémo, że ma do czynienia z nielada zapaśnikiem, a niepokój jego świadków, w trwogę się zmieniać począł, wicehrabia wszakże i Jerzy, uspokoili się nieco, spostrzegłszy, że Grisolles zdawał się jakoby szczędzić Andrzeja.

— Bezwątpienia — myśleli sobie — jakaś cząsteczka szlachetności tleje widocznie jeszcze w głębi duszy tego hultaja. Nie chce on nadużywać swojej przewagi w robieniu bronią i usuwa się przed zwycięztwem, jakie by mu przyszło z łatwością zmienić w morderstwo.

W rzeczy samej tak wnosić było można. Grisolles powstrzymywał się, ale hamował swą siłę z takiem matematycznem wyrachowaniem, iż pięść jego, nie tracąc na giętkości, jak stal była twardą

Wyraz jego twarzy zmieniał się stopniowo. Gniew ustąpił miejsca ironii. Uśmiechał się teraz z pod swych czarnych zawiesistych wąsów, ukazując rzędy białych zębów, jak tygrys, czychający na zdobycz.

Andrzej, spokojny na początku walki, zaczął tracić krew zimną, widząc szyderczą fizyognomię Garybaldczyka, którego obroty szpadą, szybkie jak piorun, mieszały wszystkie jego ataki.

Począł uczuwać znużenie, a jednocześnie i tracić cierpliwość.

— Ha! mój mały panie markizie—zawołał nagle Grisolles—masz silną rękę jak widzę do policzkowania ludzi, lecz dyablo miękką do obrony! Trzeba było mieć więcej odwagi i zastanowienia, gdy się tak umie słabo władać bronią! Mógłbym cię był już zabić ze dwanaście razy w ciągu tych trzech minut. Sądzę że wiesz o tem?

— Powściągnij pan gminne swe żarty i zabij mnie, jeżeli zdołasz—odparł San-Rémo,

— Nic nie nagli, mamy czas przed sobą. Jest zimno rozgrzać się trzeba—mówił z szyderczym uśmiechem, odbijając ciosy Grisolles.

Gniew począł owładać Andrzejem.

— Ach! myślał — gdybym mógł dać dobrą lekcyę temu bezczelnemu błaznowi!

Podwoił ataki ze wściekłą gwałtownością, nie bacząc na chronienie siebie, a szukając jedynie punktu, przez który szpada, prześlizgnąwszy się, dosięgnąć by mogła piersi przeciwnika.

Udało mu się to prawie i rozpaczliwym ciosem drasnął go w ramię!

Grisolles rzucił się nagle, jak szalony.

— Ha! ha!—zawołał—chcesz mnie dosięgnąć. A więc koniec żartom. Baczność młodzieńcze! Staraj się pomnieć na przyszłość, jak wypada zachować się w podobnej sprawie. Cios mój niechaj ci posłuży za naukę!

I, z zaciśniętemi zębami, namarszczonemi brwiami, odbił natarcie z tak gwałtowną siłą, że odrzuciwszy na dziesięć kroków broń Andrzeja San-Rémo, ostrze swej szpady zatopił mu w piersiach.

Stal, przebiwszy na wskroś prawą stronę płuc, wyszła drugą stroną pod ramieniem.

— Herminio! umieram dle ciebie—wyszepnął cicho San-Rémo. Zachwiał się z rozłożonemi rękoma i byłby upadł na ziemię pokrytą śniegiem, gdyby wicehrabia wraz z Jerzym nie podbiegli aby go podtrzymać.

Grisolles, salutując zakrwawioną szpadą jak gdyby w sali fechtunku po ukończonej lekcyi, zawołał:

— Wzywam panów na świadków, że wszystko odbyło się według zastrzeżonych prawideł...

Nikt mu nie odpowiedział. Wtedy, zawróciwszy się do swoich sekundantów, dodał:

— Odjeżdżajmy!

Włożył palto, wdział kapelusz i wszyscy trzej udali się spieszno ku oczekującemu na nich fiakrowi.

Pan de Croix-Dieu, siedząc w powozie Andrzeja, nie mógł dokładnie rozeznać, co się działo po za drzewami, otaczającemi miejsce spotkania.

Widział jedynie przez ogołocone z liści gałęzie, jak upadł młodzieniec po długiej walce, a ów upadek, oznajmujący ciężką ranę, napełnił go trwogą. Potrzebował, aby San-Rémo żył, ponieważ z jego śmiercią wszystkie plany, tak osnute przezeń zuchwale, rozpadłyby się w ruinę.

Grisolles zbliżał się ze świadkami.

Baron zastąpił drogę eks-kapitanowi.

— I cóż?—zapytał.

— Cóż—odrzekł rębacz—zapłaciłeś mi pan za cios, zadany szpadą. A więc go zadałem. Nic ci nie winienem. Bądź zdrów!

— Ależ było postanowione—zawołał Croix-Dieu, że będziesz szczędził tego młodego człowieka. Dotrzymałżeś słowa?

— Tak, do milion dyabłów, dotrzymałem i bardzo skrupulatnie, bośmy się bawili przez dziesięć minut, podczas gdym go mógł zabić w paru sekundach.

— Dla czego upadł?

— Dla tego, że mimo mojej powściągliwości rzucił się na mnie jak szaleniec.

— Zatem, jest niebezpiecznie ranionym? śmiertelnie być może?

— Nic niewiem. To mnie nie obchodzi. Czyż od nas zależą te rzeczy?

— Kapitanie! oszukałes mnie nikczemnie! — wołał Croix Dieu!

Grisolles uderzył nogą o ziemię, stojąc w groźnej postawie.

— Do pioruna.—odrzekł—nie przyprowadzaj mnie do

wściekłości! Czy znowu szukasz zemną zaczepki lecz już na swój własny rachunek? W takim razie gotów jestem ci służyć. Przyślij mi sekundantów, oto mój adres. A teraz zostaw mnie w spokoju!

I w towarzystwie dwóch swoich godnych przyjaciół wsiadł do fiakra:

Baron nie zważając na obecność wicehrabiego z którym zetknąć się nie chciał, pobiegł na miejsce spotkania.

Ujrzał tam leżącego Andrzeja bez przytomności, bladego, z zamkniętemi oczyma, krew broczyła mu się ustami, przy każdem odetchnięciu, a chirurg mówił do pana de Grandlieu, klęczącego na śniegu i podtrzymującego to bezwładne ciało:

— Zdaje się panie wicehrabio, iż ten biedny młodzieniec jest już dla nas na zawsze straconym!

— Zabity, dla mnie, jęknął pan de Grandlieu. Ach! to straszne! straszne, to okropne!...

XLIV.

Osoby, znające dobrze Paryż, wiedzą, że wyjście artystów z teatru po widowisku, przedstawia nieraz ciekawy widok.

Gdy na bulwarach grają dramat, mający powodzenie, pewna część publiki, nie należącej do arystokracyi, oczekuje na „*zdrajcę*“ ażeby mu złorzeczyć i na aktora przedstawiającego główną rolę „*szlachetnego*“ aby go oklaskiwać. Melingue i Dumaine, otrzymywali niegdyś takie owacye.

Rodzajowe i operetkowe teatry sprowadzają liczną publiczność na swoje przedstawienia, lecz klas odrębnych, przybyłe w innym celu, a składające się prawie wyłącznie, z elegantów trzeciej kategoryi, czatujących przy wyjściu na drugorzędne aktorki, którym spieszą złożyć swą czołobitność.

ofiarując ramię, lub powóz, jeśli pomienione usługi, ma się rozumieć, zostaną przez nie przyjętemi.

Przejdźcie około północy w porze zimowej przez passaż Panoramy, gdy w teatrze na bulwarze Montmartre grają jaką kilkoaktową sztukę ze statystkami, a ujrzycie tam zebrany cały klub owej wyblakłej młodzieży, z podniesionymi u paltotów aż ku uszom kołnierzami, naciśniętemi po same oczy kapeluszami, z ręką w kieszeni, cygarem w ustach, bijących nogami o chodnik dla rozgrzania się, a rzucających zaciekłe spojrzenia ku przewidywanym rywalom, wymrukującym pół głosem kuplety z jakiej operetki.

W skutek pierwszego przedstawienia *Aspazyj*, zaledwie kilka takich osobistości przechadzało się obecnie o północy, na bulwarze ś-go Marcina, śledząc wychodzących z teatru artystów.

Grający *główną rolę*, oraz przedstawiający *zdrajcę* nie otrzymali tego wieczoru ani złorzeczeń, ani oklasków, entuzyaści galeryowi i paradyzowi odeszli spokojni do domów.

We drzwiach ciasnego korytarza, słabo oświetlonego kinkietem, zapełnionego po obu ścianach porozlepianymi afiszami, ukazało się młode dziewczę przyodziane grubym szalem tartanowym, z główką zalotną w błękitny flanelowy kapturek. Tuż za dziewczęciem szła jakaś wysoka, szczupła kobieta, w podeszłym wieku, ubogo ubrana, niosąc pakiecik w ręku.

— Ach! jakiż czas przykry!—przemówiła.

— Zimno, moja ciotko—odpowiedziało dziewczę—śnieg będzie padał, na pewno. Spieszmy by przybyć do domu co prędzej—dodała, biegnąc lekkim krokiem przez bulwary w kierunku ulicy de Lancry.

Kapturek nie dozwalał widzieć jej rysów twarzy, lecz krystaliczny dźwięk głosu, zdradzał Dinę Bluet.

Gdy obie kobiety oddaliły się o kilkadziesiąt kroków, trzy osobistości, wyczekujące pod teatrem odłączywszy się z gruppy, poczęły iść za niemi.

Każda z nich jest dobrze nam znaną.

Pierwszą, był Oktawiusz Gavard, drugą, mężczyzna w błękitnych okularach, a trzecią nareszcie lokaj Flamandczyka Van Arlow'a.

Spostrzegłszy że dążą w jednym kierunku i prawdopodobnie w jednym celu, spojrzeli na siebie z razu z zdumieniem, następnie z nieufnością, poczem poczęli zmieniać pozycyę.

Mężczyzna w błękitnych okularach zwolnił bieg, przybrawszy minę obojętną, Oktawiusz zatrzymał się, dla zapalenia cygara, lokaj wreszcie, przyspieszył kroku w ten sposób, ażeby wyminąć obie kobiety, chcąc w czyn wprowadzić ową, tak znaną policyantom zasadę. „*Iść za kim, wyprzedzając go.*"

Dinah Bluet wraz z ciotką, weszła w ulicę de Lancry.

Mężczyzna w niebieskich okularach znajdował się o dwadzieścia kroków po za niemi. Oktawiusz również o tyleż.

W głębokiem milczeniu nocy i opustoszałej ulicy, z dziwną regularnością odbijały się o bruk kroki tych trzech idących mężczyzn.

Dziewczę obejrzało się z obawą.

— Ciotko—wyszepnęła z cicha—zdaje się iż, ktoś idzie za nami.

— Cóż nam to szkodzi?—odpowiedziała stara kobieta.— Nie mamy przy sobie nic takiego, co mogłoby stanowić przynętę dla złodziei, lecz widzę że ty się obawiasz?

— Tak, trochę, a nawet wiele. Wszak oto strażnik miejski, może go przywołać?

— Ależ, szalona nie czyń tego! Czy sądzisz, że w Paryżu nie wolno iść za kobietami? Iluż biegało za mną tych panów! To pochlebia. Mężczyźni nie ścigają nigdy brzydkich kobiet. Trzeba się do tego przyzwyczaić, me dziecię. Ilu idzie za nami tych ludzi?

— Dwóch, zdaje mi się...

— Razem idą obadwaj?...

— Nie; każdy oddzielnie.

— Zatem, jest ich trzech?

— Jakto?

— Widzisz tego lokaja, w długim liberyjnym surducie, z kokardą przy kapeluszu? Wysłanym on został widocznie przez jakąś znakomitą osobistość. Spostrzegłam to zaraz i przekonasz się, że on nie wejdzie w ulicę des Marais, ale zatrzyma się, patrząc, czy idziemy w prawo lub lewo, czy wprost przed siebie. Ach! ja mam wzrok bystry moje dziecko!

Stara kobieta nie myliła się bynajmniej; następstwa potwierdzały jej przewidywania.

Dinah Bluet nic nie odpowiedziała, myśląc, że ciotka miała słuszność niestety.

Zatrzymały się obie przed starym wysokim domem przy ulicy des Marais Saint-Martin i Dinah dzwoniła po kilkakrotnie za nim odźwierny furtkę w bramie otworzył.

Gdy weszły i zamknęły drzwi za sobą, mężczyzna w niebieskich okularach poszedł dalej z miną obojętną, spojrzawszy jednak bacznie poprzednio na numer domu. Oktawiusz toż samo uczynił, a spostrzegłszy wlokącego się fiakra, wsiadł weń, rozkazując się zawieść na ulicę Caumartin.

Po raz piewszy od wielu tygodni anemiczny spadkobierca milionów nocował w domu.

Mężczyzna w okularach, zatrzymał się. spojrzał na odjeżdżający powóz, a następnie wykręcił w stronę którą przybył, będąc pewnym, iż ów służacy tak samo uczyni poczem zwolnił kroku, tak iż ten ostatni wkrótce go dosięgnął, a korzystając z chwili, gdy ten przechodził obok niego:

— Pozwól pan—rzekł—dwa słowa.

— Hę? co takiego? — rzekł sługa, wyniośle, mierząc spojrzeniem od stóp do głowy nie zbyt elegancko, ubranego nieznajomego.—Nie zatrzymuj mnie pan—dodał—nie znam cię wcale.

— Ale zato ja ciebie znam doskonale—odparł mężczyzna. Pełnisz obowiązki u pana Van Arlowa?

— Cóż z tego?—pytał lokaj zuchwale.

— Wiem, dla czego przyszedłeś tu w nocy, mam zwyczaj być jednak dyskretnym i nie mieszam się w sprawy, które mnie nie obchodzą...

— Dla czego więc mnie zatrzymujesz?

Mężczyzna w okularach wyjął z kieszeni dwie sztuki monety po sto sous, a następnie pugilares, z którego kartę wydobył.

— Zatrzymuję cię — odrzekł — prosząc byś przyjął odemnie tę oto drobnostkę na piwo i oddał swojemu panu ten bilet.

— Bilet, od kogo?

— Od pewnej damy, którą on zna dobrze, z jaką widywał się już niejednokrotnie, a która poleca się jego pamięci. Spojrzawszy na kartę, będzie on już wiedział, od kogo pochodzi takowa

— Nic więcej?...

— Jak na teraz nic, widzisz że cię to w nieczem nie narazi. Co więcej, zjedna ci jeszcze wynagrodzenie od twego pana.

— No, zrobię to, czego żądasz.

— Oto dziesięć franków i karta. Lecz oddaj ją do rąk samemu panu, tak, aby panna Desjardins tego niewidziała. Jest to rzecz ważna.

— Rozumiem—odrzekł służący.

Tu obadwaj się rozeszli i, podczas, gdy mężczyzna w okularach oddalał się, zacierając ręce, lokaj, zbliżywszy się do gazowej latarni czytał wyrazy, umieszczone na karcie danej sobie przez niego.

Była ona więcej niż średnich rozmiarów, z grubego białego glansowanego papieru według dawnej mody ze złoconemi brzegami.

Oto dosłowne powtórzenie wypisanych na niej wyrazów:

Pani de SAINT-ANGOT

Wdowa.

Specyalistka w kojarzeniu małżeństw.

Pierwszorzędne rozległe stosunki.—Majątki i posagi, od jednego do pięciu milionów.—Szczegóły, kontrolowane przez lekarzy i notaryuszów stron interesowanych.—Wszelka rękojmia bezpieczeństwa. — Pewność wyjątkowa.—Dwadzieścia lat działalności powodzenia.

Uczciwość!! Takt!! Dyskrecya!!

Oddzielne salony do wzajemnego porozumiewania się.

Dwa wyjścia.

Ulica des Saussies Nr. 205.

Służący po odczytaniu karty śmiać się zaczął.

— Poczynam rozumieć—rzekł wsuwając bilet do kieszeni.—Mogę bezpiecznie oddać to panu, gdyż jak się zdaje, znać on musi tę damę.

Mężczyzna w okularach minąwszy bulwar, zwrócił się na prawo i zatrzymał się przy drewnianym oparkanieniu, okalającem ruiny spalonego teatru de la Porte-Saint-Martin, jakiego odbudowanie miało się rozpocząć z nadchodzącą wiosną. Wdział swoje palto żółtawe i otulił się weń, gdyż osty wiatr mroźny smagał go dobrze i przechadzał się tam

i napowrót, na przestrzeni dwudziestu kroków, jak gdyby na kogoś czekając.

Oczekiwanie to trwało blisko godzinę. Wreszcie dały się słyszeć przyśpieszone kroki i człowiek, w uniformie publicznego posłańca, nadbiegł zdyszany.

— A! jesteś pan—zawołał—czekałeś długo zapewne, ale nie moja w tem wina. Należało mi uczciwie zarobić sto sous, jakie od ciebie otrzymałem i drugie sto, jakie mi przyrzekłeś, nie prawdaż?

— No i cóżeś zrobił?

— Śledziłam owego jegomościa, którego mi pan pokazałeś przy wyjściu z teatru. Rozmawiał długo na bulwarze z jakimiś mężczyznami, poczem, wsiadł do swego powozu. Uczepiłem się w tyle i pędziliśmy jak pociągiem drogi żelaznej aż do bulwaru ś-go Michała Nr. 127, gdzie wysiadł. Wtedy powiedziałem sobie: „Nie, on tu nie mieszka, gdyż powóz wraz z koniem pozostały na ulicy.“

— I cóż?

— Ha! cóż, powrócił ów pan. Wsiadł do swego pudła, ja znowu uczepiłem się w tyle i jechaliśmy tak aż na ulicę Saint-Lazare pod numer... Woźnica, stanąwszy przed domem —zawołał „*Brama.*“ Drzwi się otwarły, powóz wjechał i zamknięto za nim. Powiedziałem wtedy: A więc tu mieszka. Czekałem jeszcze chwilę i zobaczyłem światło, zapalające się w oknach antresoli, a potem owego pana, wyglądającego lufcikiem na ulicę. Wyśledziłem więc jego gniazdo. Starając się skrupulatnie spełnić polecenie, pędziłem jak wiatr z powrotem i jestem. Proszę, powiedz pan, czym dobrze się sprawił?

— Dzielnie mój kochany.

Tu ów mężczyzna w okularach, zapisawszy na karcie karnetu numer domu przy ulicy Saint-Lazare, wręczył sto sous posłańcowi, poczem odszedł z uśmiechem zadowolenia.

XLV.

— *Sądzę panie wicehrabio, że ów biedny młodzieniec jest dla nas na zawsze straconym*—powiedział chirurg do pana de Grandlieu po zbadaniu owej strasznej rany, zadanej Andrzejowi przez kapitana Grisolles. Wiemy, iż Filip de Croix-Dieu, przybiegłszy natenczas, słyszał te słowa.

— Przebacz mą niedyskrecyę panie wicehrabio—zawołał—nie mogłem jednak pokonać mego niepokoju i trwogi, widząc z oddalenia upadającego pana de San-Rémo, dla którego uczuwam ojcowskie prawie przywiązanie.

Mąż Herminii poruszył głową w milczeniu.

— A zatem, twierdzisz pan—mówił baron, zwracając się do chirurga—że rana jest niebezpieczną?

— Niebezpieczną, a nawet śmiertelną, lękam się, panie...

— Nie ma więc sposobu ocalenia, albo chociażby przyniesienia ulgi temu nieszczęśliwemu?

— Będę próbował oswobodzić płuca, przez puszczenie krwi, nie mamy innego środka; jeżeli pozostaje jaka szansa ocalenia, szansa niestety bardzo słaba, znajduje się ona w tem tylko jedynie.

Chirurg odsunął w całej długości rękaw koszuli Andrzeja, związał ramię i naciął żyłę.

Krew z razu wolno się sączyła, kropla po kropli, znacząc bruzdę ciemno purpurową na białej delikatnej skórze, następnie silniej wytrysnęła. Ciśnienie na płucach widocznie się zmniejszyło, bo krew na ustach ukazywać się przestała.

Raniony wydał głębokie westchnienie, nie otwierając jednak oczu wcale.

Wicehrabia de Grandlieu Jerzy Tréjan i baron śledzili

przebieg operacyi i jej rezultaty, z gorącą uwagą i łatwym do zrozumienia niepokojem.

— I cóż?—wyszepnął pan de Grandlieu.

— Skutek przewyższa moje nadzieje, przyznaję—rzekł chirurg—nie chciałbym jednak łudzić panów próżną nadzieją, bo żaden stanowczy rezultat nie został dotąd otrzymanym.

— A jednak mu widocznie lepiej?

— Bezwątpienia; aby to polepszenie jednak się utrzymało, trzeba ażeby się utworzyła krew zakrzepła i zatrzymała krwotok wewnętrzny. Wówczas to nastąpi chwilowe uspokojenie, pomimo czego nie zniknie niebezpieczeństwo. Różnorodne komplikacye wyniknąć tu mogą.

— Zwalczysz je pan. Nauka zdziałać może wiele—rzekł wicehrabia.

— Nauka działa, a Bóg rozrządza.

— Czy będzie można przenieść chorego?

— Tak sądzę.

— Do powozu?

— Nie, nigdy! ruch powozu byłby zabójczym dla niego. Potrzebujemy noszów, materaców i dwóch ludzi.

— Wszystko to znajdzie się w Vincennes—rzekł żywo Jerzy.—Wsiądę w powóz biednego Andrzeja i jadę natychmiast.

— A ja, jeśli pan wicehrabia pozwoli—dodał Croix-Dieu—wyjmę poduszki z jego landa aby z nich utworzyć prowizoryczne posłanie dla ranionego.

— Czy pozwolę?—zawołał wicehrabia—Ach! dziękuję ci, panie baronie, żeś pomyślał o tem.

Trèjan przybył z dwoma silnymi wieśniakami, zaopatrzonymi w nosze, używane do przenoszenia chorych do szpitala, podczas niejednokrotnie zdarzających się wypadków na ulicy.

Położywszy na nich wciąż bezprzytomnego młodzieńca

nakryto go płótnem, zawieszonem na drążkach, dla ukrycia przed wzrokiem ciekawych.

Pan de Grandlieu, Jerzy, baron i chirurg, nie chcieli wsiąść do powozów, szli pieszo za niosącymi zranionego, upominając wieśniaków, by unikali wszelkich wstrząśnień mogących zaszkodzić choremu. Ponury ów orszak przesuwał się z wolna pod płatami gęsto spadającego śniegu, drogą ku Paryżowi. Od czasu do czasu chirurg zatrzymywał niosących i zaglądając pod płótno dla przekonania się, czy chory oddycha jeszcze.

Potrzeba było dwie godziny czasu na przejście z Winceńskiego lasku do pałacyku Andrzeja przy ulicy Boulogne.

Podróż ta nie pogorszyła cierpień chorego.

Położono go na łóżku z zamkniętemi oczyma. Jego przejrzysto blade oblicze sprawiało wrażenie maski, na wosku odciśniętej. Słaby oddech, poruszający w nieregularnych przerwach piersiami młodzieńca, oznajmia jedynie o tlejącem tam jeszcze życiu.

Chirurg, zapytywany przez pana de Grandlieu, odpowiedział iż zdaje mu się, że krwotok wewnętrzny został powstrzymanym, ale podwójna ta rana zaogni się na pewno a jednocześnie wyniknie gorączka. Czyli więc młody markiz, tak osłabiony wielkim upływem krwi, nie ulegnie pod siłą tego cierpienia? Oto kwestya, której rozwiązać naprzód nikt nie byłby wstanie.

Ta, pełna przenikającej groźby odpowiedź i zaniepokojenie widoczne na twarzy tego człowieka nauki, napełniały trwogą obecnych.

Pan de Grandlieu zmuszony wracać do siebie, dla udzielenia wiadomości Herminii, którą od rana pozostawił w wielkiem nerwowem podrażnieniu, przyrzekł chirurgowi, iż, powróciwszy za parę godzin, nie opuści już zranionego i odjechał na przedmieście ś-go Honoryusza.

Po raz to pierwszy w życiu córka Klotyldy de Randal

nie miała odwagi pomyśleć o zwykłej starannej swej toalecie. Nie pozwoliła zręcznej swej pokojówce czesać wspaniałych swych jasno blond włosów, które w bujnych splotach, wymykając się z pod emaliowanego grzebienia, rozsypywały się w nieładzie po jej ramionach.

Miała na sobie biały negliż, jeden z tych świetnych peniuarów, pokryty cały haftami, koronkami, wstążkami, będących chlubą młodych mężatek milionerek.

Fryza z delikatnych koronek, otaczając delikatną szyję Herminii, była zmiętą, jak gdyby nosząc ślady niejednokrotnego opuszczania głowy na piersi. Policzki jej matowo blade stanowiły dziwną sprzeczność z różowemi kokardami, przystrajającemi jej negliż.

Delikatny odcień błękitnawy, zarysowywał się pod jej pięknemi oczyma.

Napróżno kamerdyner wchodził trzykrotnie z oznajmieniem:

— Śniadanie na stole, pani wicehrabino.

Nie poruszyła się, nie weszła do jadalni.

Służący szeptali sobie nawzajem:

— Pan wyjechał rano, równo ze dniem i niepowraca. Pani chodzi jak obłąkana, zapomniawszy o śniadaniu. Tu, coś niezwykłego się dzieje!

O trzeciej po południu, otwarła się nareszcie pałacowa brama i lando wicehrabiego wjechało w dziedziniec.

Herminia, nie czekając, aby małżonek wszedł do salonu, wybiegła naprzeciw niemu, wołając:

— I cóż?

Pan de Grandlieu przygarnął ją z lekka ku sobie, i dotykając ustami z ojcowską tkliwością jej czoła.

— Cóż, drogie dziecię — odpowiedział—broniący najsprawiedliwiej sprawy, nie zawsze bywają szczęśliwymi.

Herminia zatopiła badawcze spojrzenie, pełne trwogi w spochmurniałej twarzy małżonka.

— A więc—wyszepnęła cicho—pan de San-Rémo?

— Raniony.

— Niebezpiecznie?

— Tak.

— Śmiertelnie?

— Nie śmiem ci odpowiedzieć, na to pytanie.

— Dla czego?

— Ponieważ chirurg, w chwili gdym odjeżdzał, nie stracił zupełnie nadziei ocalenia go, lecz i nieupewniał.

Wspominaliśmy, że Herminia była bladą. Na te wyrazy zbladła jeszcze bardziej. Pokonywając jednak z bohaterską siłą swą trwogę:

— Pójdźmy—odpowiedziała—opowiesz mi wszystko, co zaszło, nic nie ukrywając.

Weszli oboje razem do salonu; pan de Grandlieu opowiedział jej żądane szczegóły, kończąc temi słowy:

— Widzisz, drogie dziecię, markiz przypłacić może życiem swój czyn nierozważny; dał jednak dowód niezaprzeczony swego wzniosłego serca i szlachetnego charakteru. To piękne życie zgaśnie w samem rozwiciu i ja będę temu przyczyną! Osądź ile cierpieć muszę! Jak ciężka mnie boleść rozdziera!

— Ach!—wyszepnęła Herminia—pojmuję to wszystko, rozumiem!

— Zaledwie poznałem tego młodzieńca—mówił wicehrabia gdyż jeden, jedyny raz tylko widziałem go, jak sobie przypominasz, w pracowni naszego kuzyna Tréjana. Podobał mi się, mówiłem nawet ci o tem. I teraz, gdy śmierć mu grozi, śmierć, poniesiona w mojej obronie, czuję, jak gdyby jakieś tajemnicze węzły ściśle nas z sobą wiązały. Zdaje mi się jak gdybym go znał od dawna i kochał gorąco, szczerze! Pojmujesz-że to Herminio?

— W zupełności pojmuję— szepnęła młoda kobieta,

— Wracam natychmiast do niego — rzekł pan de Grandlieu, po chwili milczenia.

— Tak jedź, jedź, co prędzej! Długo tam pozostaniesz?

— Niezbyt długo. Powrócę aby ci udzielić wiadomość. Uzbrój się w odwagę, me dziecię, bo jakieś dziwne przeczucie mówi mi że ta wiadomość pomyślną nie będzie...

— Przeczucia zawodzą niekiedy.

— Oby Bóg dał aby zawiodły i dzisiaj!

Tu wyszedł.

Herminia krokiem wolnym, niejako automatycznym, krokiem pogrążonej w śnie magnetycznym, wyszła z salonu i udała się do bocznego pokoju, urządzonego dla niej w rodzaj kapliczki.

Ów cichy zakątek, poświęcony modlitwom, był arcydziełem gustu, sztuki i bogactwa.

Wszystkie przedmioty, gromadzone w owej kapliczce, sięgały bardzo dawnych czasów i były nieocenionej wartości. Znajdowały się tu nader kosztowne obicia, starożytne srebro, rzeźby, wykonane odręcznie przez jakiegoś nieznanego artystę, malowidła na szkle, emalje bizantyjskie, relikwiarze misternej roboty i klęcznik z piętnastego wieku, cały w koronkę rzeźbiony na dębowem drzewie.

Poduszka z czarnego aksamitu, obszyta srebrnym galonem, wyścielała stopnie klęcznika, na wierzchu którego leżała książka do nabożeństwa, a raczej manuskrypt w formie książki, ozdobiony wytwornemi miniaturami. Po nad klęcznikiem na ścianie, widniał mały krucyfiks z kości słoniowej,

Ów skromny krzyżyk, dziwnie odbijał pośród wspaniałych przedmiotów wysokiej wartości artystycznej, a jednak był on dla Herminii droższym po nad wszystkie bogactwa owej kapliczki.

Przed dwudziestu dwoma laty spoczywał on a piersiach umierającej jej matki pani de Randal i pan de Grandlieu, chcąc tę pamiątkę zachować dla sieroty, otrzymał go od księdza, przybyłego naówczas do mieszkania pani Angot, dla udzielenia ostatniego namaszczenia Klotyldzie.

Herminia uklękła, a całując krucyfix, jak niegdyś to uczyniła jej matka, wyszepnęła cicho:

— Boże Wszechmocny! Boże dobry! Boże sprawiedliwy! ocal życie temu szlachetnemu młodzieńcowi, który je naraził w obronie starca! Co by uczynił syn dla ojca, on to uczynił dla człowieka który mnie wychował! Pozwól mu żyć, o Boże! Jest on mi bratem. Kocham go, kocham!

XLVI.

Ze smutnem w duszy przeczuciem, jechał pan de Grandlieu z przedmieścia ś-go Honoryusza do pałacyku przy ulicy de Boulogne.

Chirurg, baron i Jerzy Tréjan, nie odstępowali ani na chwilę chorego.

Gdy wicehrabia wszedł do pokoju, Croix-Dieu, znajdował się przy łóżku Andrzeja. Jerzy i chirurg rozmawiali cicho, stojąc przy oknie, a ich wyraz twarzy nie zwiastował nic pocieszającego.

Pan de Grandlieu nie odważył się nawet zadać zapytania:

— Niestety! panie wicehrabio—szepnął mu chirurg do ucha—nic pomyślnego. Powikłania—jakie przewidywałem, nadchodzą, objawiają się najniebezpieczniejsze symptomy!

— A więc—zapytał starzec—i ta słaba nadzieja, jaką nam ukazałeś, zniknęła?

— Nie istnieje ona już teraz, do ocalenia, cudu chyba byłoby trzeba. Pan de San-Rémo nocy nieprzeżyje!

Wicehrabia opuścił głowę, lewą ręką otarł nieznacznie łzę z oka, a po chwili milczenia zbliżył się do łóżka, Croix-Dieu żywo postąpił parę kroków naprzeciw niemu, a poruszeniem ręki zatrzymując go, rzekł:

— Na imię nieba, panie, nie zbliżaj się pan zaklinam!

— Dla czego?—pytał starzec.

— Rozpoczyna się agonija tego nieszczęśliwego, jest to widok zbyt smutny!

— Co dla mnie znaczy smutny widok?—odrzekł pan de Grandlieu.—Znajdę odwagę, gdy będzie trzeba, patrzeć na śmierć tego, który dla mnie umiera.

Baron, nie ośmielając się stawić nowego oporu, usunął się, dając wolny przystęp starcowi.

Jego bezskuteczne nsiłowania dla powstrzymania od zbliżenia się ku ranionemu wicehrabiemu, nie były bez powodu. Andrzej miał gorączkę, a w tej gorączce, wymawiał po kilkakrotnie imię Herminii.

Pan de Grandlieu pochylił się nad łóżkiem,

Palące na twarzy rumieńce i straszne gwałtowne wzburzenie, zastąpiły bladość i bezwładność młodzieńca.

Jego oczy szeroko otwarte, patrzyły w próżnię, przed siebie. Bezwątpienia nie rozeznawały one przedmiotów naturalnych bo błyszczały to zachwytem, to gniewem, to jakoby obawą widm, wytworzonych gorączką.

Widoczna, że szyderczo groźne oblicze kapitana Grisolles i urocza postać Herminii przesuwały się kolejno przed niemi.

Usta młodzieńca poruszały się, jak gdyby dla wymówienia wyrazów. wydawały jednak tylko dźwięki niewyraźne.

Croix-Dieu, śledząc ich poruszenia, odgadywał imię pani de Grandlieu, lecz wicehrabia dosłyszeć tego nie mógł.

Po kilku minutach zaszła nowa zmiana, w stanie cierpień ranionego. Rodzaj konwulsyi począł wstrząsać jego członkami. Zerwał się nagle, jak człowiek, chcący gdzieś biegnąć, poczem upadł na poduszki i leżał bez ruchu, podobny do skostniałego już trupa.

— Boże, mój Boże — wyszepnął pan de Grandlieu — miałżeby to być koniec?... Czy on już żyć przestał?

Chirurg położył dwa palce na pulsie Andrzeja.

— Nie jeszcze—odrzekł—ale powtarzam trzebaby cudu, by tę noc przeżył...

Pan de Grandlieu, nie chcąc pozostawiać przez dłuższy

czas Herminii w smutnej samotności, wyszedł z sercem ściśnionem, prosząc chirurga, ażeby przysłał zawiadomienie do pałacu, chociażby wśród nocy, gdyby wbrew straconej nadziei objawiło się polepszenie, lub gdyby na wszelki wypadek katastrofa nastąpiła.

Baron równie wyszedł niezadługo. Nic go nie zatrzymywało obecnie w tym domu. Andrzej żyjący był dla niego drogocennem narzędziem, pożytecznem, niezbędnem. Co znaczyło dlań teraz owo narzędzie, gdy śmierć rozbić je miała? Oznajmił wszelako, iż około północy przybędzie, dla powzięcia wiadomości.

Przy konającym pozostał tylko Tréjan z chirurgiem.

Artysta, mimo swej słabości charakteru jaką zaznaczyliśmy, miał serce złote. Z głębokiem przekonaniem uważał swoją dorywczą znajomość z markizem, jako związek dawnej przyjaźni i niechciał, aby młodzieniec wydał ostatnie tchnienie, nie mając przy sobie przyjaciela, któryby zamknął mu oczy.

Baron, wsiadłszy do powozu, kazał jechać stangretowi na ulicę de Rome i podczas drogi myślał:

— Los sprzysiągł się przeciw mnie teraz!... Sprawa tak znakomicie skombinowana! Projekt tego pojedynku był arcydziełem! Przegrywam wielką partyę, mając wszelkie szanse wygranej! Andrzej przypłaca to życiem. Biedny chłopiec, lecz jego wina. Dla czego uderzył owego błazna tak silnie? Ach! ów Grisolles, jakież nikczemne to zwierzę! Zostaje teraz Oktawiusz. Czy i on wymknie mi się jak tamci się wymknęli? Być może. Gdy szczęście odwracać się poczynie, wszystko w proch się rozpada!

Przybywszy do Reginy Grandchamps, Croix-Dieu znalazł ją w bardzo złym humorze.

Wiemy, że Oktawiusz nie wrócił już do jej loży poprzedniego wieczora, a oprócz tego przez cały dzień następujący ani się pokazał, ani dał znaku życia.

— Niech idzie, gdzie mu się podoba ów głupiec!—za-

wołała, opowiedziawszy baronowi szczegóły sytuacyi. Mało dbam o niego! Przypomnij sobie, że od dawna porzucić go pragnęłam i byłabym to uczyniła, gdybyś mi nie był zagroził, lecz w każdym razie, według reguły życia towarzyskiego, uprzedzić kogoś w takim wypadku należy. Postąpił jak gbur, jak prostak! Twój Oktawiusz jest błaznem i rzecz skończona!

— Przyprowadzę ci jutro dezertera—rzekł baron!—lecz odtąd pilnuj go dobrze. Staraj się zjednać dla siebie, pomnij na jego miliony!

Tu, pożegnawszy Reginę, udał się wprost do mieszkania Oktawiusza.

— Ach! — zawołał otwierając mu drzwi służący z wybuchem szczerej radości—pan baron wielce się czemuś zadziwi i zarazem ucieszy.

— Zadziwię się i ucieszę, z czego?

— Pan Oktawiusz nocował dziś w domu, spał tu i jadł śniadanie! Wyszedł na chwilę, lecz zaraz powrócił, jest teraz u siebie. Prawdopodobnie upomnieniom pana barona zawdzięczamy tę szczęśliwą zmianę.

— Zdaje się, że moje rady wpływ rzeczywiście tu wywołały, odparł śmiejąc się Croix-Dieu. Cieszę się, widząc, o ile cię obchodzi, Dominiku, dobro twego pana. Idź oznajmij mu, żem przyszedł.

W parę minut potem baron wszedł do mieszkania młodego Gavarda.

Oktawiusz siedział pochylony nad stołem na fotelu, w pobliżu gorejącego ogniem kominka, i rzecz zadziwiająca, nie do uwierzenia, pisał, przerywając od czasu do czasu aby przeczytać, co nakreślił, poczem wznosił oczy w górę, jak gdyby szukając natchnienia.

Kilka ćwiartek listowego papieru, pokrytych pismem nieregularnem, leżały pod stołem na kobiercu. Młodzieniec do tego stopnia zajętym był swoją czynnością, że pociągnął cygaro, niespostrzegłszy iż ono od dawna zagasło.

Usłyszawszy otwierające się drzwi, a w nich spostrzegłszy wchodzącego pana de Croix-Dieu, zwrócił się ku niemu wołając:

— A! to ty, baronie? Dobrze, żeś przyszedł, Jestem bardzo zajęty, ale mi nie przeszkadzasz. Siądź, proszę, porozmawiamy.

— Mimo że mogę okazać się niedyskretnym — rzekł Croix-Dieu—radbym wiedzieć, co ty tam piszesz u czarta?

Oktawiusz wyprostował się, a na jego wychudłem obliczu zajaśniał wyraz próżności i zadowolenia.

— Co piszę?—powtórzył—nigdy byś nie zgadł baronie, o, przenigdy w życiu. Wolę ci więc od razu powiedzieć, bawię się literaturą, improwizuję wiersze. Tak jest na honor!

— Co? ty, piszesz wiersze? Ty, Oktawiuszu?—zawołał baron osłupiały.

— Nie wyglądam na to, wszak prawda? a jednak, tak jest, mój drogi! I zdaje mi się nawet że je wcale dość gładko układam. Posłuchaj!

Tu głośno czytać zaczął:

Do ukochanej.

Dziewczę! twego spojrzenia któż ów czar wypowie?
Pozazdrościć ci mogli by go aniołowie....

— I ty mówisz że to są wiersze?—przerwał baron.

— A cóż innego? — odrzekł Oktawiusz. Wszak słyszysz, że końcówki dobrze z sobą rymują.

— Ha! być może.

— Posłuchaj więc dalej:

Czarowne twe oblicze i głos twój tak tkliwy,
Jakże bym rad w nie patrzył i słuchał szczęśliwy,
Patrzył... słuchał bez końca, rozkosznie, miłośnie,
Ofiaruję ci serce me, w młodych lat wiośnie,

Tak... u stóp twych je składam, czarodziejko luba,
W twem ręku odtąd życie me, lub moja zguba.
Bom gotów, umrzeć dla cię, jako kwiat bez słońca,
Gybyś mi lśnić przestała gwiazdko jaśniejąca!...
Tu rzucisz mi mrok śmierci, lub szczęście bez miary,
U stóp twych składam losy moje... pełen wiary!...

— Widzisz baronie—rzekł, przeczytawszy Oktawiusz—dwanaście wierszy ułożyłem w ciągu niespełna godziny. Jakże ci się podobają?

— Bardzo ładne...

— Człowiekowi, który po raz pierwszy wziął się do pióra, to nie lada fraszka. Błyska w nich ogień, namiętność...

— Przepełnione są ogniem. Jest to utwór wulkaniczny. Jakie bogactwo myśli! Winszuję ci, szczerze winszuję!

Baron mówił to z miną poważną. Oktawjusz słuchał go z zadowoleniem.

— Zkąd ci jednak przyszło pisać poezye. Wczoraj nic nie oznajmiało tej chwili.

— Tak, lecz od wczoraj zaszło coś bardzo ważnego w mem życiu. Dużo się rzeczy zmieniło.

— Cóż takiego?

— Baronie, kocham! kocham szalenie! ja, Oktawiusz Gavard! I cóż ty na to powiesz?

XLVII.

W planach pana de Croix-Dieu leżało by udawał iż o niczem nie wie.

— Ha! ha!—odrzekł śmiejąc się. Czy można—zapytał—kto jest przedmiotem tej tak nagle wznieconej miłości?

— Jest to anioł!

— No i aniołowie mają imiona.

— Dinah Bluet, jej imię...

— Cóż to za Dinah Bluet?

— Młoda, utalentowana aktorka? Znasz ją?

— Bynajmniej!...

— Widziałeś ją przecież wczoraj, baronie. Debiutowała w „*Aspazyach!*“

— A! przypominam sobie. Mała osóbka, średnio uzdolniona.

Oktawiusz zerwał się z krzesła.

— Co? średnio uzdolniona?—zawołał—baronie nie powtarzaj mi tego! Najpowabniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek znalazło się na deskacha teatru. Cudowne oczy, które sprawiają zamęt w głowie, usta maleńkie, a jaka kibić, jaka rączka!... średnio uzdolniona, A! jak możesz mówić coś podobnego?

— Nie będę z tobą dyskutował—odrzekł Croix-Dieu—daremno bym czas tracił. Widzisz wszystko przez różowe szkło. Masz zawróconą głowę. Ale to przeminie!

— Nigdy!...

— Ileż razy to samo powtarzałeś!

— Prawda, ale wtedy sam nie wiedziałem co mówię.

— Mogę ci wymienić kilka pięknych kobiet, w jakich się kochałeś.

— Był to chwilowy kaprys, nie miłość.

— Kochałeś Reginę Grandchamps?

— To znaczy że się nią zajmowałem. Jest to kobieta, znana w wyższym półświatku. Wiesz dobrze baronie, iż gdy powiedzą o kim: On jest z Reginą Grandchamps, to dodaje szyku. Była to próżność z mej strony, ale nie miłość, bo dzisiaj dopiero znam to prawdziwe uczucie. Gdybyś wiedział baronie, jakie to dobre, piękne, szlachetne uczucie! Zdaje mi się, żem był starym i nagle odmłodniałem. Nie poznaję sam siebie!

— Korzystając z tego, wzbijasz się w lazury i układasz wiersze—odrzekł z ukrytą ironją Croix-Dieu.

— Tak, w rzeczy samej—odparł, śmiejąc się Oktawiusz.

Czuję się lekkim, jak czerwony balonik. Zdaje mi się że mam skrzydła.

— I cóż zamyślasz uczynić?

— Kochać Dinah, wyznać jej miłość, być przez nią kochanym, szczęśliwym!

— Liryzm, bujanie po obłokach.

— Tak!

— Ale czy ona cię kocha?

— Do czarta! Miłość udziela się, jak ospa.

— Kto wie? Może znajdziesz rywali.

— Rywali? Żartuję sobie z tego! Wyzwę ich, stanę do pojedynku i obetnę ręce, lub nogi. Bić się o Dinę. Ach jakież to szczęście!

— Czy wiesz jej adres?

— Wiem, od wczoraj. Domyślasz się zapewne żem ją śledził po widowisku. Mieszka przy ulicy de Marais-Saint-Martin.

— Piękna część miasta, niema co mówić!

— Rozmawiałeś z nią?

— Niepodobna było. Miała przy sobie jakąś starą kobietę. Zapewne to jej ciotka. Zresztą, trzech nas biegło za nią.

— Tak?

— Co mi to szkodzi? Gdyby nas było nawet dwunastu, nie troszczyłbym się oto. Niech no by się który poważył stanąć pomiędzy mną i Diną, nauczył bym go. Przeszedłszy całą ulicę des Marais, dobrze zauważyłem ów dom. Rozmawiałem także z odźwiernym teatralnym. Dowiedziałem się wiele. Dinah, jest uczciwą, ale ubogą. Mówię ci, że to jest anioł! Zobaczę ją dziś wieczorem. Ale co ci jest, baronie?— pytał Oktawiusz wpatrując się w stojącego przed sobą pana de Croix-Dieu.

Baron w rzeczy samej zmarszczył brwi z niezadowoleniem.

— Co mi jest?—odrzekł—lepiej nie pytaj mnie o to.

— Lecz powiedz, proszę.

Martwi mnie to, o czem opowiadasz.

— Dla czego?

— Ty, Oktawiusz Gavard, na takiem stanowisku, tak znany, chcesz zostać jednym z tych śmiesznych z jakich cały świat szydzi bezustannie?

— Ja śmiesznym?

— Ma się rozumieć. Czyż można większe głupstwo popełnić, po nad rzucenie się w objęcia dziewczyny, bez żadnego szyku, przybyłej niewiadomo zkąd i produkującej się na deskach czwartorzędnego teatru? Gdyby występowała w Variétès, lub Palais-Royal uszłoby jeszcze, lecz na bulwarach! to zbrodnia nie do wybaczenia! Zostawmy melodramaty głupcom i zbogaconym handlowcom z ulicy des Bourdonnais. Co powiedzą, co pomyślą o tobie?

— Niech sobie mówią i myślą, co im się tylko podoba!— odrzekł żywo Oktawiusz!—Żartuję sobie z tego! Otrzymałem cios w serce, prawdziwy cios miłości. Znam teraz to tylko. Co zaś do szyku, o jakim mówisz baronie, to Dinah Bluet, posiada go więcej w jednym małym swym palcu, niż wszystkie te damy, należące do starej gwardyi, a gdy będzie miała piękny powóz i suknie, robione u pierwszorzędnej modystki, niechaj ją wtedy zobaczą!

— Zatem z Reginą Grandchamps skończone?

— Skończone, baronie, na wieki skończone! Oktawiusz tam więcej niepowróci...

— Pozwól sobie jednak powiedzieć, że opuszczasz w sposób nieco brutalny tę biedną Reginę.

— Jak na to zasłużyła.

— Cóż jej masz do zarzucenia?

— Gdy zdarzyło się, żem na czas niemógł jej dostarczyć pieniędzy, wyprawiała sceny, krzyczała że wyrzuci mnie za drzwi. Przyznasz, baronie, że to nie było wcale przyjemnem.

— Źle uczyniła, lecz bądź co bądź, ona bardzo cię kocha.

— Ktoby tam wierzył w jej miłość. Kocha mnie, tak jak się kocha drzwi więzienia.

— Byłem u niej, za nim tu przyszedłem — wyrzekł Croix-Dieu — Nie śmie sobie wytłómaczyć twego nagłego wczoraj zniknięcia, ani w dniu dzisiejszym twej nieobecności. Jest bardzo zaniepokojoną, zmartwioną, płakała.

— Czy prawdziwemi łzami?—zawołał śmiejąc się Oktawiusz. — Trzeba ci było, baronie, zebrać choć jedną i oprawić sobie w spinkę do gorsu. Cudownie by to wyglądało! Ona płaczącą! Ha! ha! pocieszy się prędko. A skoro tylko dostanę trochę pieniędzy, poślę jej na otarcie łez jaki podarek z biżuteryi, do którego dołączę mą kartę, aby wiedziała od kogo to pochodzi, te panie bowiem nieraz miewają bardzo krótką pamięć i nazwisk zapominają zupełnie.

Croix-Dieu zrozumiał, że wszelkie usiłowania w celu sprowadzenia Oktawiusza do Reginy Grandchamps byłyby daremnemi. Rodząca się miłość w młodzieńcu czyniła go na wszystko inne obojętnym. Nie podobna go było nawet podejść pochlebianiem jego próżności. Pozostawiwszy przeto przyszłego spadkobiercę milionów, jego tworzeniu poezyi, odszedł mocno strapiony, nie tracąc jednak nadziei, że jakaś nieprzewidziana przeszkoda przerwie ściślejszą znajomość pomiędzy Oktawiuszem a młodą aktorką i szukał sposobu odnalezienia owej przeszkody, gdyby potrzeba było przyjść w pomoc losowi.

— Gdzie jechać? — pytał go James, widząc, że baron wsiadłszy do powozu nie wydaje żadnego rozkazu.

— Na bulwar—rzekł Filip. Zatrzymaj się przy ulicy Magdaleny, wysiądę i pójdę pieszo.

Udał się na obiad, wyszukawszy restauracyę, w jakiej nigdy dotąd jeszcze nie jadał. Tak mocno był strapionym i zadumanym, iż niechciał spotkać kogo bądźkolwiek ze znajomych.

— Im mocniej ufamy w swoją szczęśliwą gwiazdę, tem łatwiej upadamy pod najlżejszem niepowodzeniem. Jest to reguła bez wyjątków.

Baron zniechęcony przestał wierzyć w szczęście, jakie mu dotąd sprzyjało, a wypadki, nagromadzone w ciągu dwudziestu czterech godzin usprawiedliwiały to jego pognębienie.

W celu ściśle tajemniczym ów pająk paryski osnuł sieć w około Tréjan'a i Fanny Lambert, Andrzeja San-Rémo i Herminii de Grandlieu, Oktawiusza Gavard i Reginy Grandchamps.

Dwie, z owych tak starannie uknutych intryg, bezpowrotnie runęły.

Croix-Dieu z fatalną nieprzezornością rzucił Andrzeja na szpadę kapitana Grisolles.

Oktawiusz, zerwawszy pęta w najważniejszej chwili, wymykał się z zabójczych uścisków Reginy Grandchamps. Wydostawszy się z owej trującej atmosfery, gdzie jasnowłosa Cyrce zabijała go orgiami, kto wie czy przeżyje jedenastomiesięczny termin, po upływie którego dosięgnie pełnoletności?

Był rozkochanym na seryo. Dinah Bluet, zostawszy jego kochanką obejmie nad nim wpływ nieograniczony. Na jaki cel użyje pomienionego wpływu? Czy nie zostanie spadkobierczynią owych sześciu milionów, tak chciwie pożądanych przez przyszłego małżonka wdowy Blanki Gavard?

Na myśl podobną dreszcz wstrząsnął baronem.

Pozostawali jedynie przeszkodą Tréjan i Fanny Lambert; ci jednak nie mogli zawrzeć małżeństwa po upływie dwóch i pół miesięcy. A dopóki owe tyle uroczyste „*tak*“ legalnie wygłoszonem nie zostanie, związek ten rozchwiać się może.

Myśląc o tem wszystkiem i powtarzając sobie owe szczegóły, Croix-Dieu ukończył swój obiad samotny, a zapaliwszy cygaro, udał się pieszo do swego mieszkania.

Wyszedłszy od rana, pragnął się dowiedzieć czyli nie nadeszły jakie korespondencye do niego, między któremi mogła się znajdować donosząca mu o śmierci Andrzeja.

— Trzy listy przyniesiono do pana—rzekł mu służący. Położyłem je nad kominkiem.

Croix-Dieu spojrzał na adresy. Pismo na jednym z tych listów było mu zupełnie nie znane. Wziął go i otworzył prze innemi.

List zawierał co następuje:

„Panie baronie;

„Jeden z twych dawnych przyjaciół, który nie posiadał jak ty zdolności, lub szczęścia do wytworzenia sobie tak świetnej sytuacyi, poważa się odwołać do twej wspaniałomyślności, z tem większą ufnością, iż zna do głębi wszystkie twe sprawy.

„Ów przyjaciel potrzebuje na przyzwoite urządzenie się dziesięciu tysięcy franków, drobnostki, jak widzisz. Liczy na pewno że je mu przyślesz jutro banknotami w kopercie, poste-restante, pod inicyałami: X. Y. Z.

„Odmowa z twej twej strony jest niemożebną; w każdym jednak razie uprzedzam cię, iż najmniejsze opóźnienie w przesyłce mogłoby sprowadzić dla ciebie opłakane następstwa!

„Bądź więc punktualnym, panie baronie, z uwagi na własne twe dobro i przyjmij naprzód wyrazy wdzięczności swego starego przyjaciela.“

X. Y. Z.

P. S.

„Na wypadek gdybyś z fałszywego punktu widzenia rzeczy zapragnął osądzić to moje żądanie i przysłał na pocztę paru policyjnych agentów, w miejsce przesyłki pieniężnej, uprzedzam cię, że X. Y. Z. naówczas byłby zmuszonym

przedstawić cię naturalnie wzajemnie tym panom lecz już jako *hrabiego Loc Earn'a* i *Roberta Saulnier.*"

Croix-Dieu blady, z rozszerzonemi źrenicami, przebiegał list do końca.

Po przeczytaniu ostatnich wyrazów list wypadł mu z drżącej ręki.

— Ha!—wyjąknął z cicha—otóż cios ostatni, a najstraszniejszy!... Jedna, jedyna tylko ludzka istota mogła napisać list podobny, a tą jest Sariol!...

Sariol więc żyje!... Sariol mnie odnalazł!.. Sariol trzyma mnie w swym ręku!... Wszystko rozpada się w około mnie! Przepaść i ruina zewsząd!... to okropne!...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Tom III.

CZĘŚĆ DRUGA.

Żona barona Worms.

I.

Z ostatnich wyrazów poprzedzającego rozdziału, czytelnicy przekonali się zapewne o tożsamości barona Filipa de Croix-Dieu, z Robertem Loc-Earn'em, bohaterem naszego prologu.

W jaki sposób ów kochanek Henryki, zabójca Sariola, ów bandyta, którego spotkaliśmy po wyjściu z więzienia w Poissy dzwoniącego wieczorem do opustoszałego pałacu d'Auberive i nadaremnie szukającego na wyspie Saint-Denis swojego syna Andrzeja, jakiemi nowemi środkami, mówimy, ów nędznik zdobył sobie tak wysokie stanowisko w Paryżu, pod przybranem nazwiskiem którego mu nikt nie ośmielił się zaprzeczać i żył w spokoju z policyą, tak zwykle bystro przenikającą niektóre tajemnicze egzystencye? Jest to historya wysoce dramatyczna, prawdziwa tragedya Paryża, jaką pragniemy w krótkości opowiedzieć.

Pewien bogaty bankier, niemiec z pochodzenia lecz naturalizowany we Francyi, baron Worms zamieszkiwał w 1865 roku za ową młodą i urodziwą żoną w jednej z tych eleganckich części miasta, z jakich baron Haussman stworzył nowy Paryż, pomiędzy ulicą Magdaleny, a parkiem Monceaux.

Pałac ów, poprzedzony dziedzińcem i położonym po za sobą ogrodem, składał się z obszernego korpusu i dwóch bocznych pawilonów.

Wyłączne apartamenta barona i sale przyjęcia, znajdowały się na parterze, na pierwszym piętrze zaś główne mieszkanie.

W prawym pawilonie mieściły się biura banku, w lewym, stajnie, remizy i mieszkanie dla służby.

Boczne wschody tworzyły komunikacyę między apartamentem bankiera, jego gabinetem, a przyległym doń pokojem kasyera.

Co wieczór, woźny biurowy, nazwiskiem Jan Lépaul były żołnierz, człowiek nieposzlakowanej uczciwości, stawiał sobie przy kasie łóżko obozowe i przed zaśnięciem kładł pod ręką nabity rewolwer.

Codziennie równo ze świtem, Lépaul oczyszczał energicznie pokój szczotką i miotłą, tak, aby za przybyciem kasyera i urzędników wszystko było w porządku.

W dniu ósmym Kwietnia, o godzinie siódmej rano ów dzielny człowiek z lekkiem sercem i czystem sumieniem rozpocząwszy swą zwykłą czynność porządkowania, wybiegł nagle z biura na dziedziniec.

Był bladym jak trup, drżał konwulsyjnie.

Chwiejąc się, podbiegł do mieszkania odźwiernego, który wystraszony tą nagłą zmianą w całej postaci woźnego, cofnął się zapytując:

— Co się stało, panie Lépaul? wyglądasz jak obłąkany!...

— Co się stało?—wyszepnął były żołnierz głosem złamanym—nieszczęście, zbrodnia!

— Zbrodnia?—powtórzył odźwierny z osłupieniem.

— Tak i to zbrodnia przerażająca! Pan baron...

Tu nie mógł mówić więcej.

— I cóż, mówże do licha —pytał odźwierny—cóż pan baron?

— Zamordowany!—wyjąknął głucho Lépaul.

— Zamordowany? powtórzył pierwszy bledniejąc. Lecz gdzie? Jak? Kiedy?—pytał z trwogą i przerażeniem.

— Ciało leży na kobiercu, przy kasie, brocząc we krwi —mówił woźny.—Zbrodnia została widocznie spełnioną tej nocy.

— Tej nocy! I nic nie słyszałeś?

— Nic!

— Jesteś pewnym, że pan baron nie żyje?

— Więcej, niż pewnym. Dotykałem jego ręki, jest całkiem skostniałą.

— A kasa?

— Otwarta i opróżniona...

— Morderstwo więc z włamaniem. Jakiż straszny wypadek! Co począć?

— Nie pozostaje nic, jak biedz do komisarza policyi. Trzeba, aby natychmiast przybyli. Nic nie mów przed tem nikomu, o tem co zaszło. Pani baronowa później się dowie o swojem nieszczęściu.

— Zkąd to mogło wyniknąć? — mruknął odźwierny, wzruszając ramionami.—Kto wie czy owej śmierci nie wywołało bankructwo? Biedna pani baronowa! Prawdę mówiąc, nie była ona z nieboszczykiem szczęśliwą! Ale, nie moja to sprawa. Cóż jednak z nami się stanie?

— Boże miłosierny! Skoro pomyślę że baron wrócił w dobrym humorze o pół nocy, a teraz, brr! dreszcz po skórze przebiega! Biegnę do komisarza. Stań w mojem miejscu przy drzwiach, panie Lépaul.

Woźny zajął miejsce odźwiernego, który z pośpiechem wybiegł na ulicę. W pół godziny potem ukazał się komisarz w towarzystwie sekretarza i czterech żołnierzy, dla strzeżenia wyjścia. Przed wejściem do pałacu wysłał dwóch posłańców, mianowicie jednego do sądu, z powiadomieniem o popełnionej zbrodni, żądając przysłania urzędnika i sędziego śledczego, drugiego zaś do naczelnika policyi, prosząc o nadesłanie sobie najzręczniejszych agentów.

Czekając na przybycie tych urzędników, którzy obowiązani byli rozwinąć najściślejsze śledztwo, obejrzał starannie

z zewnątrz i wewnątrz położenie pałacu, czuwając, ażeby wszystko pozostało w miejscu nienaruszonem, tak, jak było w chwili wykrycia zbrodni.

— Czy istnieje jeszcze jakie inne wyjście prócz tego tutaj?—pytał odźwiernego.

— Z tej strony, nie panie, lecz po za pałacem jest ogród, a w murze ogrodu mała furtka.

Dwóch żołnierzy umieszczono przy głownem wyjściu, a dwóch innych przy furtce ogrodowej.

— O której godzinie przybywają urzędnicy do tutejszego biura bankowego?—pytał komisarz.

— Na kilka minut przed dziewiątą — odrzekł odźwierny.

— Dozwól wejść tym panom, poznawszy ich dobrze, nikt jednak niech niewychodzi z pałacu pod żadnym pozorem, bez mego specyalnego upoważnienia.

— Dobrze, panie komisarzu.

— Kto pierwszy spostrzegł trupa pana de Worms?

— Ja—odrzekł woźny.

— Jak się nazywasz?

— Jan Lépaul.

— Jakie obowiązki pełnisz w tym domu?

— Sypiam w biurze i porządkuję te sale co rano. W dzień biegam za posyłkami.

— Jakąż to wstążeczkę nosisz przy butonierce?

— Wstążeczkę od wojskowego medalu.

— Jesteś więc byłym żołnierzem.

— Tak, z czasów Włoskiej kampanii.

— Dobrze, oprowadź mnie...

Jan Lépaul zwrócił się w stronę biura, komisarz wraz z sekretarzem szli za nim.

Liczna służba pana de Worms, stangreci, mastalerzy, kuchciki, pokojówki i lokaje, zmiarkowawszy, iż coś nadzwyczajnego się stało, zaczęli się gromadzić w dziedzińcu, brzęcząc jak pszczoły, wypuszczone z ula.

Snuto tysiące podejrzeń, sądząc iż nastąpiła kradzież, lecz nigdy nie przypuszczano morderstwa.

— Trzeba jednak powiadomić pana barona—mówiło kilka głosów, skoro komisarz zniknął w korytarzu prowadzącym do biura.

— Ja pójdę!—odezwał się jeden z lokai. —Mimo iż pan surowo zakazał raz na zawsze wchodzić do jego apartamentów, za nim mnie przyzwie dzwonieniem, mam jednak nadzieje że mi wybaczy to przekroczenie ze względu na dobre me chęci w powiadomieniu go o przybyciu komisarza.

Odźwierny, zbliżywszy się do grupy zebranych powstrzymał służącego.

— Mój Auguście—wyrzekł—nie chodź do pałacu, nie trudź się daremnie. Pomyśl raczej o inne służbie dla siebie, tak dobrej jaką tu miałeś, nie będziesz już bowiem usługiwał panu baronowi.

— Co?—zawołał chłopiec z zdumieniem. Miałże nasz pan zbankrutować?

— Pan baron nie żyje!

— Co ty powiadasz? — zawołały z trwogą wszystkie głosy razem.

— Mówię, że nasz pan został zamordowanym i to tej nocy...

Głębokie milczenie zapanowało po tych wyrazach między zebranymi, następnie wykrzykniki, pytania, krzyżować się poczęły, na jakie odźwierny nie umiał odpowiedzieć z tej prostej przyczyny, że sam nic nie wiedział. Jednocześnie komisarz policyi, prowadzony przez Lépaul'a przechodził biura i zatrzymał się u wejścia do kasy.

— To tu, panie—rzekł były żołnierz z cicha, wskazując palcem drzwi na wpół przymknięte.

Komisarz wszedłszy, oniemiał przez chwilę z trwogi w obec strasznego widoku, jaki mu się nagle przedstawił.

Bankier leżał na wznak, rozciągnięty na kobiercu, z zaciśniętemi rękoma, pośród wielkiej kałuży krwi zakrzepłej.

Rana, skutkiem przerznięcia gardła, była tak szeroką i głęboką, że nieszczęśliwy musiał umrzeć piorunującą śmiercią, nie wydawszy najmniejszego krzyku. Jego oczy otwarte wyrażały przerażenie. Tenże sam wyraz grozy widniał na nieruchomem obliczu.

Ow trup ubranym był z wykwintną elegancyą. Czarny tużurek i pantalony, błyszczące lakierki, kamizelkę i krawat biały.

Krwawe plamy widniały na krawacie i gorsie haftowanej koszuli.

Baron Worms średniego wzrostu, krzepki, był mężczyzną silnej budowy ciała. Oblicze wydatne, białej cery, oczy blado niebieskie. Jasne blond włosy, nieco kędzierzawe, rozdzielone miał po nad czołem na dwie równe części. Nosił długie faworyty i wąsy; podbródek starannie wygolony.

Nie było jakichkolwiek śladów, aby ów pokój, w którym spoczywał trup bankiera, miał być przed chwilą widownią jakiej gwałtownej sceny. Meble znajdowały się na właściwych miejscach. Świeca, stojąca na stoliku wypaliła się do ostatka, tak że aż popękały na lichtarzu krążki kryształowe.

Kasa, jedna z owych kas nowej konstrukcyi, udaremniająca najzuchwalsze usiłowania złodziei, była na oścież otwartą. Klucz, tkwiący w zamku, przekonywał widocznie, że włamanie miejsca nie miało.

Komisarz, zbliżywszy się do tej kasy żelaznej, zaczął przeglądać jej wnętrze. Znalazł tam akcye bankowe, akcye dróg żelaznych, kwity z biur kredytowych i różne inne walory, prócz czego kilka worków drobnej monety po tysiąc franków w każdym, lecz ani jednego rulonu złota, ani jednego banknota.

Widocznie złoczyńca nie chciał sobie robić kłopotu z unoszenizm tych worków z talarami, trudnych do przekradzenia, ani też zabierać mogących go skompromitować wartościowych dowodów.

Po dokonaniu tego przeglądu, komisarz zasiadł przy

biurku kasyera i zaczął spisywać protokuł. Zaledwie rozpoczął tę tyle ważną czynność, weszli razem do pokoju, sędzia śledczy, pomocnik tegoż, sekretarz i pisarz sądowy.

II.

Pomocnik sędziego, pan de Faviéres był młodym dwudziestosiedmioletnim mężczyzną, ładnym, eleganckim światowym młodzieńcem lecz obok tego i bardzo zdolnym, który za pomocą wysokich protekcyi otrzymał miejsce w sądzie Paryża, sędzia śledczy przeciwnie, osiwiały w pracy sądowniczej, miał lat około pięćdziesięciu.

Wieloletnie jego doświadczenie trwogą napełniało zbrodniarzów, których najbardziej zawikłane podstępy wykrywał z nieporównaną zręcznością rozwiązując najzawilsze kombinacye.

Obalał od razu, w jednej chwili, długo mozolnie przygotowane „alibi“, niedozwalając pozorom wywieść się w pole. Można mu było zarzucić tylko nieco uporu. Wytworzywszy raz sobie o czem przekonanie, trzymał się go zacięcie, zachwiać się nie dając. Jego powierzchowność pozbawioną była wszelkiej dystynkcyi, a ubiór całkiem zaniedbany. Ów sędzia nazywał się Boulleau-Duvernet.

Przybywszy na miejsce tej tajemniczej zbrodni, jakiej sprawcę wykryć potrzeba było, pan de Faviéres był mocno wzruszonym, a to wzruszenie dziwić nas nie będzie, skoro powiemy, że znał osobiście ofiarę. Niejednokrotnie bywał na obiadach u bankiera, a dla pani baronowej zachowywał uwielbienie, pełne poszanowania, dosięgające miłości prawie.

Pewnego wieczora, wyszedłszy z pałacu pytał z uśmiechem sam siebie:

— Do czarta! gotów jestem rozkochać się w tej tak powabnej kobiecie!

Obecnie, na widok leżącego trupa tego człowieka, które-

rego rękę ściskał przed kilkoma dniami, pan de Faviéres zbladł nagle i wyperfumowaną batystową chusteczką otarł krople potu, spływające mu po czole.

— Czy pani baronowa została o tem powiadomioną— pytał komisarza policyi?

— Nie wiem—rzekł zagadniony.

Pan de Faviéres powiedział coś cicho sędziemu śledczemu, a ten przywołać kazał pokojówkę pani Worms.

Po kilku minutach ukazała się panna Hortensya, młoda i ładna subretka. Weszła, drżąc cała.

Na widok zakrwawionego trupa, krzyknęła, ukryła twarz w ręku, omal nie zemdlała.

— Uspokój się, moję dziecię—rzekł do niej pomocnik sędziego łagodnie i powiedz nam, czy pani baronowa została powiadomioną o tym strasznym wypadku.

Dziewczyna uspokoiła się nieco, poznawszy pana de Faviéres, którego widywała w pałacu.

— Jestem pewną—szepnęła—że pani o tem nie wie.

— Zkąd pochodzi ta twoja pewność?

— Nikomu oprócz mnie nie wolno wchodzić do pani z rana, a otrzymałam rozkaz nie budzenia jej nigdy przed dziewiątą godziną.

— Może teraz tam pójdziesz?

— Dobrze, pośpieszę...

— A nie wspominając zupełnie o spełnieniu tej strasznej zbrodni—dodał pan de Faviéres—powiedz jej, że proszę bym mógł być co najrychlej przez nią przyjętym. Gdyby panią baronową zdziwiło to moje żądanie o tak niewłaściwej godzinie, oświadcz, że nie przybywam jako odwiedzający, lecz jako urzędnik. Wyrazy te, przygotują już niejako panią Worms do strasznej wiadomości, jaką jej przyniosę. Spiesz się i wracaj co rychlej z odpowiedzią...

Hortensya wyszła.

W chwili, gdy drzwi otwierała, nowa osobistość ukazała się w progu, składając niski ukłon obecnym urzędnikom.

Był to młody mężczyzna dwudziestoośmioletni, średniego wzrostu, bardzo szczupły, skromnie ubrany, nie odznaczającej się niczem, powierzchowności nawet gminnej nieco. Jego twarz matowo blada, z sinawemi na policzkach konturami, starannie wygolona, nadawała mu pozór prowincyonalnego aktora, przybyłego dla zaciągnięcia się do jakiej trupy w Paryżu. Czarne gęste włosy miał krótko przycięte.

— Jak się masz, Jobin — rzekł mu pan Boulleau-Duvernet, z gestem protekcyonalnej dobrotliwości—Prefektura cię tu przysyła?...

— Tak, panie sędzio śledczy—odrzekł przybyły—pan naczelnik policyi—oddaje mnie pod pańskie rozporządzenie.

— Cieszę się, że wybrał ciebie. Jesteś agentem gorliwym, inteligentnym, sprytnym, byłeś mi w wielu razach nader pożyteczuym.

Jobin zarumieniony z ukontentowania na oddawane sobie pochwały, ukłonił się powtórnie i założył na nos binokle o szkłach podwójnych, jakie tłumiły blask jego czarnych oczu, niezwykle ruchliwych.

— Panie sędzio—rzekł komisarz policyi, wskazując na Jana Lépaul—oto tutejszy woźny biurowy, który, wszedłszy najpierwszy do tego pokoju, spostrzegł trupa barona i powiadomił mnie o zbrodni.

Na znak sędziego śledczego, pisarz sądowy położył przed sobą arkusz stemplowego papieru i siadł gotów do pisania, lecz za nim pan Boulleau-Duvernet wygłosił pierwsze zapytanie, nieprzewidziany wypadek wywołał ogólne osłupienie.

W chwili, gdy sędzia śledczy chciał przemówić i pisarz umoczył pióro w kałamarzu, ukazała się pokojówka, Hortensya.

Była przerażająco bladą, chwiała się, zaledwie siłą utrzymując, aby nie upaść i, wszedłszy, wsparła się o ramę drzwi, nie będąc w stanie przemówić.

Obecni spojrzeli na nią z zdumieniem.

Pan de Faviéres zadrżał z obawy. Przyszła mu myśl, że dziewczyna przynosi wiadomość o nowem nieszczęściu, nowej zbrodni, że baronowa, zarówno jak jej mąż, padła pod ciosami morderców.

— Jakto?—zapytał wzruszonym głosem—widziałaś panią, rozmawiała z nią?

Hortensya potrząsnęła głową przecząco.

— Co to znaczy?—pytał de Faviéres—dla czego nie zrobiłaś tego, com ci rozkazał?

— Chciałam wykonać dane mi polecenie, wyjąknęła pokojówka.—Weszłam do pani, szukałam jej, wołałam. Pokój jest pustym, łóżko nietknięte, widocznie pani nie nocowała w pałacu. Mordercy pana barona uprowadzili ją, to pewna!

Wymówiwszy te słowa, dziewczyna łkać zaczęła.

Sędzia śledczy spojrzał na Jobin'a.

Oczy agenta iskrzyły pod szkłami okularów. Jednakie podejrzenie zrodziło się razem w umyśle urzędnika i jego sługi.

— Jakie było pożycie z sobą państwa baronów?—zagadnął nagle sędzia pokojówkę.

Gdy Hortensya zawahała się z odpowiedzią, pan de Faviéres odrzekł:

— Miałem szczęście znać zbliska panią i pana Worms; często ich widywałem. Baron, jeżeli można wierzyć niektórym złośliwym pogłoskom, pozwalał sobie na pewne małe wykroczenia po za domem, na co jego żona patrzyła z pobłażaniem. Ztąd mam przekonanie, że żyli z sobą zgodnie. Było to bardzo dobrane małżeństwo.

Hortensya w czasie powyższego opowiadania poruszała głową, gdy skończył pan de Faviéres:

— Dobrane małżeństwo—zawołała, ach! nie wierz pan temu! Pani baronowa była w rzeczy samej łagodną, najlepszą w świecie istotą. Znosiła wszystko z anielską cierpliwością, nie skarżąc się nigdy, mimo to jednak, cierpiała wiele!

Serce jej nieraz oniemal nie pękało z żałości. Płakała często, o! bardzo często!

— Tak—wymruknął sędzia śledczy.

Wymienił powtórnie spojrzenie z Jobin'em, poczem, zbliżywszy się do pana de Faviéres, wziął go pod rękę i poprowadził do okna, szepcząc z cicha:

— A gdybyśmy się też znaleźli w obec zemsty kobiecej? hę? co pan myślisz o tem?

De Favières zadrżał.

— Ach!—zawołał żywo—to niepodobna, niepodobna!

— Dla czego?

— Baronowa jest bardzo młodą, wątłą, delikatną. Jest to trzcina, jaką najlżejszy powiew wiatru zgiąć byłby wstanie. Pominąwszy fizyczne niepodobieństwo, jej drobna ręka drżąca niezdołałaby nigdy zadać ciosu podobnego temu, jaki zabił barona.

— Trzeba wziąć pod uwagę to nerwowe podrażnienie, jakie nieraz tworzy cuda — rzekł sędzia —gniew stokroć pomnaża siłę.

— Przypuśćmy. Ależ ta opróżniona kasa? Kobieta znieważona w przystępie bólu i rozpaczy, zabija dajmy na to swojego męża, ale nie kradnie tuż obok jego trupa!

— Kto wie?—odparł pan Boulleau-Duvernet—widząc się zgubioną po dopełnionej zbrodni, nie uciekałaby nie zabrawszy z sobą pieniędzy!

De Favières opuścił głowę w milczeniu. Nie czuł się być przekonanym, ale nie znalazł na razie odpowiedzi.

— Jak wytłómaczyć, powiedzieć mi proszę, nieobecność baronowej w pałacu, o czem służba niewiedziała wcale? —pytał dalej sędzia.

— Nie wiem, błądzę jak pan, w ciemnościach, pewien, iż w krótce światło zabłyśnie.

— Ba! liczę na to—wymruknął stary urzędnik; a potem zwróciwszy się do pokojówki:

— Jak się nazywasz?—zapytał.

— Hortensya Hardy.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia jeden.

— Od jak dawna pozostajesz w służbie u pani Worms?

— Od dwóch lat. Przyjęłam u pani ten obowiązek zaraz po jej małżeństwie.

— Kochasz swoją panią o ile się zdaje?

— O! tak, tak panie. Kocham ją z całego serca! Jest ona tak dobrą. Wszyscy ją w pałacu kochamy. Wszyscy ją żałujemy. Nie należy oskarżać umarłych, potrzeba jednak wyznać że nieboszczyk pan baron dawał jej cierpieć wiele!

— Znali więc słudzy to złe względem żony postępowanie barona?

— Znali to wszyscy, nie tylko słudzy! Pan baron na wszystko sobie pozwalał, nie kryjąc się z tem wcale. Ileż razy wprowadzał tu damy z pół swiatka przez tę furtkę ogrodową? Mówiono o tem w kuchni, kredensie, spiżarni, w oficynach. Zapytaj pan kamerdynera, on panu wiele opowie. Ach! działy się tu obrzydłe skandale!

III.

— Jak ci się zdaje?—zapytał sędzia śledczy pokojówkę po chwili milczenia—być może, iż pani Worms urażona w swojej kobiecej godności, opuściła pałac, by schronić się do swojej rodziny?

— Nieumiem odpowiedzieć na to zapytanie—odparła dziewczyna. Nie wiem, czy pani miała jakich krewnych. Bądź co bądź, nikt nigdy tu nie przychodził.

— O której godzinie widziałaś swoją panią wczoraj wieczorem po raz ostatni?

— Na kilka minut przed północą.

— Wróciła zkąd zapewne?

— Nie; pani wczoraj wcale niewychodziła. Zadzwoniła na mnie wieczorem, lecz zamiast kazać, jak zwykle rozebrać się powiedziała, że już dnia tego mych usług potrzebować nie będzie i pozwoliła mi udać się na spoczynek, co też bezzwłocznie uczyniłam.

— Jak wyglądała baronowa podczas tego twego krótkiego z nią się widzenia?

— Wydała mi się bardzo wzruszoną i bardzo smutną. Widząc ją bladą, z zaczerwienionemi oczyma ośmieliłam się zapytać czy nie jest chorą? Odpowiedziała mi że cierpi na silny ból głowy ale że to przeminie.

— Pani Worms dużo gości przyjmowała u siebie?—pytał dalej sędzia.

— Tak, panie, przeważnie mężczyzn. Nudziło to i utrudzało panią, ale co było począć? pan baron z całym prawie Paryżem miał znajomości.

— Między tą liczbą odwiedzających było zapewne kilka osób zostających w bardziej zażyłych stosunkach z panem i z panią baronową?

— Tak, dwóch lub trzech, lecz nadewszystko...

— Któż taki?

— Wicehrabia Gilbert de Presles...

— Młody człowiek?

— Tak, młody piękny chłopiec, bardzo elegancki.

— Często tu bywał?

— Prawie codziennie.

— A wczoraj był?

— Był, pomiędzy trzecią a piątą godziną. Pan baron nadzwyczaj uprzejmie przyjmował wicehrabiego, a skoro wróciwszy z giełdy zastał go w pałacu, zatrzymał go na obiad.

— Wiadomy ci jest adres mieszkania pana de Presles?

— Tak panie, mieszka on przy ulicy Neuve de Mathurins, pod Nr. 21.

— Czy jego zachowanie się, nie nasuwało powodów do jakich uwag, plotek, komentarzy?

— Nie rozumiem dobrze tego zapytania — wyszepnęła Hortensya.

— Czy nie mówiono czasem — badał dalej sędzia — że pani Worms uczuwa niezwykłą sympatyę, dla tego młodego eleganckiego człowieka?

Pokojówka mocno się zarumieniła.

— O! nigdy panie! — zawołała z gorącem przekonaniem. — Nigdy, nigdy w świecie żadne z nas nie pozwoiłłoby sobie powiedzieć coś podobnego! Wiedzieliśmy wszyscy, iż pani baronowa jest cnotliwą kobietą. Ja również jestem uczciwą dziewczyną, gdyby mi więc przyszło poręczyć w tym względzie za panią, nie wahałabym się ani chwili!

Gdy Hortensya kończyła te słowa, zegar marmurowy stojący po nad kominkiem w gabinecie, wydzwonił dziesiątą godzinę.

Agent oznajmił, że kasyer przyszedł i oczekuje w korytarzu, wraz z całym personelem urzędników banku.

Sędzia kazał wyjść pokojówce, a wydał rozkaz wprowadzenia kasyera.

Po chwili ukazał się tenże. Był zmieszanym i mocno wzruszonym. Widok leżącego trupa sprawiał na nim straszne wrażenie. Zbladł, trząsł się cały, usta mu drżały.

— Ach!—jęknął głucho, z widocznym w mowie akcentem niemieckim—jest to więc prawdą? Czy podobna uwierzyć? Baron zamordowany! Jakaż zbrodnia, jakie straszne nieszczęście! Wybaczcie memu zmięszaniu, panowie — dodał zwracając się do sędziego i komisarza—ten który tu leży bez życia, był dla mnie tak dobrym! On uczynił mnie tem, czem jestem. Obdarzał mnie pełnem zaufaniem. Wszystko mu zawdzięczam, wszystko mu winienem. Kochałem go, gorąco kochałem!

Wzruszenie uwięziło głos w gardle kasyera, łzy spływały po jego bladych policzkach.

— Uspokój się pan, proszę—rzekł sędzia łagodnie. Nie potrzebujesz nam tłómaczyć, pojmujemy dobrze twą boleść.

Zaczekam chwilę, ażeby ci zadać potrzebne zapytania. Oby twe odpowiedzi przyniosły nam światło, jakiego tak potrzebujemy!

— Niestety! — wyszepnął kasyer, poruszając głową— nic niewiem, nic absolutnie! Fatalna owa wiadomość uderzyła we mnie przed chwilą niespodziewanie, jak piorun! Pytaj mnie pan panie sędzio... Mimo przytłaczającego mnie smutku, potrafię nad sobą zapanować i znajdę siłę na udzielanie ci odpowiedzi.

Mówiący to kasyer, był mężczyzną wysokiego wzrostu blady i śniady, ubrany z wytworną elegancyą. Regularne jego rysy twarzy przedstawiały człowieka w średnich latach życia. Drobne zmarszczki zarysowywały się nieznacznie pod jego powiekami. Gęste płowe włosy pokrywały mu płowę. Nosił tylko faworyty, brodę miał wygoloną starannie. W ogólności miał pozór światowego człowieka.

— Zaczniemy więc, skoro się pan czujesz nieco uspokojonym—rzekł sędzia—a zwróciwszy się do pisarza dodał:

— Proszę pisać.

— Pańskie nazwisko?

— Fryderyk Müller.

— Wiek?

— Lat czterdzieści cztery.

— Miejsce urodzenia?

— Manheim.

— Pan jesteś niemcem?

— Tak, panie.

— Naturalizowanym we Francyi?

— Nie.

— Mieszkanie pańskie?

— Ulica de Neuilly, Nr. 92.

— Jesteś pan żonatym?

— Nie, panie.

— Pełnisz obowiązki kasyera w biurze bankierskiem pana barona de Worms?

— Tak, panie.

— Od jak dawna?

— Od pięciu lat, lecz na dwa lata przed objęciem posady kasyera, byłem już urzędnikiem w tym domu. Zostałem poleconym baronowi przez jego korespondenta z Berlina. Do owego czasu, przebywałem w Niemczech, rodzinnym mym kraju.

— Jak wysoką pensyę pan tu pobierasz?

— Ośmnaście tysięcy franków.

— Kiedy pan widziałeś barona Worms po raz ostatni?

— Wczoraj w południe.

— O której godzinie wyszedłeś pan z biura?

— Jak zwykle, o trzy kwandranse na piątą po południu.

— Jaką sumę pieniędzy w kasie pozostawiłeś?

— Chcąc panu ścisłą sumę oznaczyć, potrzebuję zajrzeć do mego karnetu.

— Uczyń pan to, proszę.

Fryderyk Müller wyjął z kieszeni mały portfel, cały zapisany, cyframi.

— Sześćset dziewięćdziesiąt tysięcy franków — rzekł, spojrzawszy na ostatnią kartę.

— W jakich papierach ta suma, znajdowała się w kasie?

— Czterysta czterdzieści pięć tysięcy franków w biletach bankowych, dwanaście tysięcy w złocie, ośm tysięcy w monecie po sto sous, a w różnych innych walorach około dwustu dwudziestu pięciu tysięcy franków.

— Zatem banknoty i złoto tworzyły razem według pańskiego opowiadania sumę, wynoszącą czterysta pięćdziesiąt siedm tysięcy franków? Powiedz mi pan—pytał dalej sędzia—czy ta, tak ważna kradzież nie zachwieje kredytu tutejszego bankierskiego domu i nie sprowadzi wypadkiem zawieszenia wypłat?

— Nigdy! w żadnym razie. Mamy złożone w banku dwa miliony. Wystarczyłby podpis właściciela, aby je ztamtąd odebrać.

— Ile było kluczy do tej kasy?

— Dwa klucze.

— Jeden z nich znajdował się u pana zapewne?

— Tak.

— A drugi?

— Drugi pozostawał w ręku barona.

— Gdzież ten klucz pański?

— Proszę oto jest, zawsze on się przy mnie znajduje.

— Zatem klucz drugi, utkwiony w zamku kasy, byłby tym drugim, należącym do barona?

— Tak jest, bezwątpienia.

— Czy baron zawsze nosił ów klucz przy sobie?

— Nie jest mi to wiadomem. Wiem tylko, że kładł go zwykle w prawą kieszonkę kamizelki.

— Jobin!—zawołał sędzia śledczy—zobacz!

Agent, poprawiwszy szybko binokle, ukląkł przy trupie i delikatnie wsunął dwa palce swej ręki w kieszonkę, wskazaną przez Müllera.

Wydobył ztamtąd dwadzieścia sztuk złotej monety, czerwony ołówek i mały grzebyczek w słoniową kość oprawny. W drugiej kieszonce znajdował się jedynie bardzo piękny zegarek złoty, repetyer.

— Nie ma żadnego kluczyka—odpowiedział—ale spostrzegam jakiś zgnieciony papier w lewej ręce trupa. Czy mam otworzyć tę rękę i wyjąć z niej papier?

Mimo potężnych wysiłków kasyera w celu zapanowania nad sobą, twarz jego wyrażała przerażenie, zbladł nagle, a potem mocno się zaczerwienił.

— Na wszystko czas przyjdzie—rzekł sędzia. Wkrótce zajmiemy się pomienionym papierem.

Agent powstał.

Pan Boulleau-Duvernet rozmyślał przez parę minut, poczem zaczął dalej badanie prowadzić.

— Sądzę — rzekł wskazując ręką — sądzę, że zamek przy tej kasie żelaznej, posiada jakieś tajemne kombinacye?

— Rzeczywiście — odparł Fryderyk Müller. Cztery gwoździe, wbite około zamku, odpowiadają czterem literom alfabetu. W chwili zamykania kasy tworzymy z tych czterech liter wyraz, który zmieniać można następnie według woli. Ktoby pochwycił klucz, daremnie by zeń pragnął użytkować, nie znając tego wyrazu i nie nastawiwszy nań odpowiednio mechanizmu. W braku tej przedwstępnej operacyi, najbardziej nawet cierpliwy popsułby zamek daremnie i klucz złamał.

— Jak często zmienialiście panowie pomienione litery?

— Mniej więcej co dwa tygodnie.

— A wczoraj, na jaki wyraz kasa została zamkniętą?

— Na nazwę kobiecą: „*Zina.*“ Myśl wybrania tego imienia przyszła mi na przedstawieniu „*Niemej z Portici*“ w operze. Jedna z występujących tam tancerek, nosiła tę nazwę.

IV.

— Czy inne osoby znały, lub mogły znać ów wyraz, wybrany przez pana? badał dalej sędzia.

— Znał go tylko baron Worms — rzekł kasyer. Za każdy raz, zmieniając kombinacyę zamku, oddawałem mu na kartce papieru wypisany wyraz, by tym sposobem mógł sprawdzać rachunki w mojej nieobecności, lub wziąć z kasy pieniądze w razie potrzeby.

— Jak często mu to się zdarzało?

— Trzy razy w ciągu lat pięciu najwyżej, a nigdy dla

przeglądania moich rachunków, lecz aby pożyczyć z kasy kilka biletów tysiąc frankowych.

— Nie przypuszczasz pan, ażeby ktoś z obcych osób mógł pochwycić ów *wyraz tajemniczy*, skreślony na kartce papieru i oddany przez pana baronowi?

— To bardzo możebne. Żadnych wszelako przypuszczeń czynić nie chcę. Nic niewiem co mój pryncypał robił z tą kartką po jej odebraniu. Jedynym pewnym, niezaprzeczonym szczegółem jest to, że chcąc ten zamek otworzyć trzeba było posiadać klucz do niego i znać ów wyraz. Wypada ztąd, że baron zaskoczonym został przez zbrodniarza, lub zbrodniarzów w chwili, gdy sam otwierał tę kasę.

Gest, potwierdzający sędziego, dowodził że i on podziela to zapatrywanie.

— Nader logiczny pan kasyer—wyszepnął Jobin.

— Prosiłbym pana—mówił pan Boulleau-Duvernet—o udzielenie mi niektórych szczegółów co do wspólnego pożycia barona z jego żoną.

— To zapytanie w kłopot mnie wprawia — odrzekł Fryderyk Müller. Pan Worms zapraszał mnie wprawdzie niejednokrotnie do siebie na obiady i bale. Wtedy to oboje małżonkowie zdawali się pozostawać z sobą w najlepszej harmonii. Czy było tak, skoro znaleźli się sami? Na to nie jestem w stanie panu odpowiedzieć.

— A jednak panu wiadomo zapewne, że baron uchodził za człowieka lekkich obyczajów?

— Wiem, iż go oskarżano że ma kochanki, a przez to unieszczęśliwia swą żonę. Mówiono nawet o jakiejś gorszącej, publicznej scenie, przy której nie byłem obecny. Rzadko jednak głoszono przy mnie o czemś podobnem. Moje przywiązanie do pryncypała dobrze było znanem. Wiedziano, że mnie to boli, gdy znieważano tego, któremu tyle zawdzięczałam. Byłbym zresztą potrafił nakazać milczenie tym złośliwym językom.

— Taka szlachetność uczuć, zaszczyt panu przynosi—

rzekł sędzia—Nie pytam wreszcie o barona Worms, lecz radbym poznać opinię co do jego żony.

— Powtarzam, iż bardzo rzadko widywałem panią baronowę, z wyjątkiem przyjęć oficjalnych, zaledwie ją znałem. Zdawała mi się być osobą rozumną, powabną, nieco nerwową być może i egzaltowaną, taką mi się być wydała, nie twierdzę jednak, aby nią była w rzeczy samej.

— Za nim pan wszedłeś tu, do tego gabinetu, czy wiedziałeś że pani baronowa opuściła dziś w nocy ten pałac?

Ruchliwa twarz Müllera wyrażała zdumienie i smutek.

— Nie wiedziałem, nic nie wiedziałem!—zawołał, załamując ręce. Cóż jednak... ach! nieszczęśliwa!

Wymówiwszy tę parę wyrazów jak gdyby pomimowolnie, przerwał i zakrył twarz rękoma.

— Co pan chciałeś powiedzieć? Dla czego nie kończysz?—pytał sędzia.

— Nic panie, nic!—szeptał Müller z widocznem zmięszaniem. Myśl jakaś szalona przemknęła mi nagle, ale już zniknęła. Nie chciej pan jej badać. Nie pytaj mnie zaklinam, bo niemógł bym ci dać objaśnienia.

Pan Boulleau-Duvernet nie miał potrzeby zapytywać. Odgadywał straszne oskarżenie, ukryte pod widocznem powstrzymywaniem się kasyera.

Rozpoczął szybko badanie Jana Lépaul. Były ów żołnierz nie mógł w niczem oświecić sprawiedliwości. Żaden hałas pośród nocy nie przerwał jego snu spokojnego. Znalazł rano wszystko nie tkniętem. Zamki nienaruszone, jak je zostawił wieczorem, ztąd twierdził i utrzymywał z głębokiem przekonaniem, że nikt od strony biura nie mógł wejść w nocy do gabinetu kasyera.

Po dokonanem przesłuchaniu, sędzia śledczy rozkazał odejść Lépaul'owi i Fryderykowi Müller, polecając im zarazem, aby nie wydalali się z pałacu, będąc gotowymi na jego wezwanie i na miejscu popełnionej zbrodni pozostał wraz

z swym pomocnikiem de Faviéres, komisarzem policyi, agentem i pisarzem.

— Jobin—rzekł zwracając się ku agentowi—mówiłeś o jakiejś kartce papieru, znajdującej się w ręku trupa.

— Tak, panie sędzio.

— Daj nam ten papier.

Agent przyklęknął powtórnie, wydobył z trudnością z zaciśniętych i skostniałych palców zmarłego, kartkę niebieskawego papieru, jak gdyby pomiętą drżącą ręką w przystępie uniesienia gniewu, a rozwinąwszy ją zwolna, ostrożnie położył na kolanach otwartą, gładząc rękawem dla wyrównania zagięć i fałdów.

Przy tej czynności czytał ukradkiem wyrazy, znajdujące się na niej a kreślone wielkiem pismem, na odwrót widocznie, jak gdyby podrabiane. W miarę czytania, czarne źrenice agenta iskrzyły się pod szkłami okularów jak dwa rozżarzone węgle.

— Zobaczmy co tam napisano?—zawołał pan Boulleau-Duvernet, niecierpliwie.

— Oto jest, panie sędzio—rzekł agent z poszanowaniem, podając pół arkuszek niebieskawego papieru, widocznie obdarty z większego arkusza przez jakąś niezręczną, lub bardzo spieszącą się rękę, ponieważ to obdarcie tworzyło na brzegu zęby, nieregularnie powyrywane.

Ów pół arkuszek, złożony w kształcie ćwiartki listowej, nie nosił śladu pieczątki, ani odresu.

— Ha! — zawołał sędzia z oddźwiękiem tryumfu po przeczytaniu. Odgadłem od razu! Cóż na to powiesz, panie de Faviéres?—dodał, podając mu papier.

Urzędnik wziąwszy ćwiartkę czytał głośno:

„Panie baronie“

„Jeden z uczciwych ludzi, całem sercem tobie oddany który jednakże z powodów osobistych pragnie pozostać nieznanym, nie mogąc ścierpieć ażebyś pozostał nadal oszukiwa-

nym, przez żonę niewierną i obłudnego przyjaciela, powiadamia cię, że pani baronowa opuści pałac nocy dzisiejszej i uda się do Belgii z wicehrabią de Presles, swoim kochankiem.

„Skoro odbierzesz ten list, będzie może czas jeszcze przeszkodzić ich ucieczce. Za nim odjadę, radzę ci sprawdzić jak najprędzej pieniądze, złożone w kasie żelaznej, możesz ją bowiem znaleść opróżnioną.

— A cóż?—pytał sędzia śledczy z uśmiechem zadowolenia—gdy jego pomocnik ukończył czytanie. Co powiesz na to?

— Mówię, że ten list, jako anonim, niczego jeszcze nie dowodzi—odparł de Faviéres.

— W każdej innej okoliczności przyznałbym panu słuszność w tej mierze—zawołał Boulleau-Duvernet; tu jednak autor listu zasługuje na wiarę, ponieważ przestrogę jego stwierdzają dokonane czyny. Sprawiedliwość odtąd nie będzie się błąkała w manowcach, bo winni są jej już znani. Wszak to rzecz jasna, jak słońce, niezaprzeczona jak oczywistość.

— Zatem, według pana, baronowa Worms—zaczął de Favieres.

— Jest wspólniczką popełnionej zbrodni!—przerwał sędzia z głębokiem przekonaniem. Tak, po sto razy tak jest! Uważaj pan dobrze. Mówię: „*wspólniczką*“ a nie *wykonawczynią*. Miałeś pan słuszność, twierdząc, że ręka kobiety jest zazbyt słabą na wymierzenie ciosu podobnego rodzaju. Nie baronowa go zabiła, ale wicehrabia Gilbert de Presles, na żądanie swojej kochanki!

Pan de Faviéres cofnął się z gestem zaprzeczenia.

— Ależ na Boga!—zawołał Boulleau-Duvernet, z mylnego punktu, mój pomocniku, zapatrujesz się na tę sprawę! Błędne co do tego żywisz przekonanie.

— W rzeczy samej pomimo wszystko, przekonać mnie pan nie zdołałeś...

— W jakiż więc sposób i czem pana przekonać? Gdyż

wreszcie powtarzam jest to wszystko tak jasne, jak dzień! Mógłbym przedstawić w najdrobniejszych szczegółach tę scenę morderstwa, jaka tu działa się wczoraj. Mógłbym, powtarzam i uczynię to, posłuchaj mnie pan tylko.

Baron, wczoraj wieczorem wszedł tu, pełen ufności, nic nie podejrzewając. Po otrzymaniu listu bezimiennego, poszedł do żony. Nie znalazłszy jej, pewien, iż uciekła już ze swoim kochankiem chciał sprawdzić znajdujące się w kasie pieniądze, jak mu to radził uczynić ów tajemniczy korespondent. I właśnie, w chwili, gdy otwierał tę kasę, pan de Presles rzucił się na niego i jednym ciosem, ciosem strasznym zamordował go od razu. Natychmiast po spełnieniu zbrodni ów przestępca stał się złodziejem. Zabrał złoto, banknoty i uciekł ze swą wspólniczką. Cóż mówisz na to, kochany mój pomoniku? Sądzę, iż moje dowodzenie jest prostem, logicznem? Zburz je, jeśli zdołasz?

— Jest ono prawdopodobnem, przyznaję —wyszepnął de Faviéres—a jednak powiadam że gdybyś pan znał baronowę, zmieniłbyś swe przekonania.

Sędzia uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Może to być pociągająca, urocza kobieta—odrzekł—nie przeczę. To jednak niczego nie dowodzi. Jesteś jak widzę bardzo jeszcze młodym, panie de Faviéres. Piękna twarzyczka i wyższy wielkoświatowy sposób zachowania się bierzesz za przekonywające dowody niewinności. Skoro ci kiedyś jak mnie zbieleją włosy w tem naszem ciężkiem rzemiośle, nie będziesz ufał pięknym kobietom i tkliwemu wyrazowi ich oczu. Przypominam sobie sprawę pięknego siedmnastoletniego dziewczęcia, z głową Madonny, a pełnego niewinności spojrzeniem, głosem cherubina, słowem w tej całej istocie tyle powabu i wdzięku, tyle czarującej szczerości, że pomimowolnie upatrywało się po nad jej czołem tę złotę aureolę, jaką malarze koronują świętych i aniołów. Otóż to czarujące stworzenie otruło własnego ojca rozpuszczonym fosforem, aby pochwycić jego tysiąc talarów i przejeść je z kochankiem,

łotrem, ostatniego rodzaju. Gdy po upływie kilku miesięcy uprzykrzył się jej ów kochanek, postanowiła go się również pozbyć, dla odnalezienia zapewne innego i, upoiwszy go wódką, zapaliła firanki nad łóżkiem, w nadziei, że nieszczęśliwy we śnie żywcem się spali. Ja ją zmusiłem do wyznania prawdy. Panowie sędziowie, dobrzy obywatelele i ojcowie rodzin, złudzeni jej pięknem obliczem i zwodniczą niewinnością odnaleźli na jej korzyść łagodzące okoliczności. Skazano ją tylko na dwadzieścia lat ciężkich robót. Wobec tego, baronowa Worms jest o wiele mniej winną. Jej wspólnictwo w zabójstwie męża może uchodzić za dronostkę wobec ojcobójstwa i rozmyślnego pozbawienia kogoś życia za pomocą podpalenia!

Pan de Favières, nie znalazłszy odpowiedzi na dowodzenia sędziego, opuścił głowę w milczeniu a Boulleau-Duvernet, zatarł ręce z zadowoieniem.

X.

Jobin, ów agent policyjny, siedział w zamyśleniu.

— Czy pan sędzia raczy mi pozwolić—zapytał, ażebym ściśle zbadał ów list bezimenny?

— Chętnie pozwalam—odrzekł stary urzędnik; podając mu kartkę papieru. Przejrzyj to mój kochany i zakomunikuj nam swoje uwagi. Wszak wiesz, że pokładam w tobie zaufanie. Skreślone przez ciebie raporta w sprawie owego zegarmistrza z bulwaru Beaumarchais i kupca win z des Tournelles, były zdumiewająco logicznemi, świadcząc o pierwszorzędnych twoich zdolnościach policyjnych, dzisiejsza jednak ta sprawa jest nader jasną i prostą, zkąd wątpię, ażeby ci nastręczyła sposobność do okazania twoich zdolaości.

Jobin, ukłoniwszy się sędziemu, zdjął binokle, które widocznie wkładał dla przysłonięcia blasku swych bystrych oczów, a dobywszy z kieszeni szklanną łupę, silnie powiększa-

jącą, jakiej używają amatorowie starych obrazów dla odnalezienia *podmalowań*, zaczął przy pomocy tej lupy śledzić z natężoną uwagą szczegóły pisma i zagięcia istniejące na papierze,

Po kilku sekundach, drgnął nagle z gestem zadumania.

— Co się stało? — zapytali razem sędzia i pan de Faviéres.

— Rzecz nader ważna—odpowiedział Jobin.

— Cóż tedy?

— W chwili gdy ten list został doręczonym baronowi Worms, atrament na ostatnich linjach jeszcze wyschnąć nie zdołał.

— Co mówisz? — zawołał Boulleau-Duvernet—to niepodobna!

— A jednak tak jest—rzekł agent. I to niezaprzeczenie, czego zaraz dowiodę. Wystarczy spojrzeć przez szkło powiększające, na trzy ostatnie linije pisma, by stwierdzić, że litery, kreślone w kształcie arabesek, skutkiem świeżego jeszcze płynu, łączą się z sobą na zgięciach papieru, przebijając na najmniejszej szramie. Nikt inny jak baron Worms, nie mógł tak zwinąć i zgnieść tego listu w palcach, w przystępie wściekłości. Wpadł on mu więc przed oczy w chwili, gdy ów autor bezimienny kończył swe dzieło.

— To dziwne, w rzeczy samej — wyszepnął pan de Faviéres, skonstatowawszy że agent nie mylił się w swoich domniemywaniach.—To bardzo dziwne!

Sędzia śledczy ująwszy lupę i papier—zaczął się przypatrywać tak szczegółowo jak Jobin.

— Prawda! — wyrzekł po chwili. Jest w tem coś niezwyklego, tajemniczego, niepojętego; co wywraca od razu wszelkie moje idee. Jak bowiem przypuścić, ażeby osobistość, pisząca tę denuncyacyę, oddała ją baronowi przed wyschnięciem atramentu? Potrzebaby było pisać to w jego obecności. Ależ w takim razie krócej byłoby powiedzieć?

— Może ów list bezimienny dostał się do rąk pana Worms przed jego przybyciem do pałacu? zauważył de Faviéres.

— Być może — odparł sędzia. Zaraz się o tem dowiemy.

I rozkazał agentowi przywołać kamerdynera, który ukazał się bardzo zmięszany, niespokojny, ponieważ zwykle śledztwa sądowe w popełnionej zbrodni przejmują trwogą pomimowolną tych nawet, którzy sobie nie mają nic do zarzucenia.

— Jak się nazywasz?—pytał go sędzia,

— August Mavet.

— Pozostawałeś w służbie u barona Worms?

— Tak panie. Od lat czterech pełnię tu obowiązki kamerdynera.

— Oczekiwałeś na swego pana wczoraj wieczorem?

— Jak zwykle.

— O której godzinie powrocił?

— Kilka minut po północy.

— Zauważyłeś że był zamyślony, wzburzony?

— Niech Bóg zachowa! Pan baron wrócił w najlepszym humorze, bardzo wesoły. Nucił sobie aryę jaką śpiewała panna Schneider w *„Pięknej Helenie.“*

„Powiedz mi Wenus, co czynisz, co?“

— Czy nie trzymał w ręku jakiego papieru?

— Żadnego. Miał na ręku ściśle opięte paliowe rękawiczki, zdjął je spokojnie i położył na stoliku, gdzie zapewne dotąd jeszcze leżą. Następnie zasiadł przy biurku i napisał list krótki, a oddawszy mi go, kazał przesłać według adresu, rano, przed śniadaniem, co właśnie miałem uczynić, gdym się dowiedział o tym strasznym wypadku.

— Do kogo ów list był adresowanym?

— Do pewnej damy...

— Daj mi go...

— Oto jest.

... Ukazała się Alina Pradier w pięknym kostjumie Oceanidy.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Sędzia śledczy wziąwszy kopertę, silnie pachnącą „*Jockey-Klubem*“ wyczytał te słowa:

„*Pannie Alinie Pradier*“
Ulica Frydlancka.

— Cóż to za panna Pradier?—zapytał.

— Jest to, panie—wyjąknął kamerdyner z zakłopotaniem—jest to dama, młoda i piękna dama, jaką zna cały Paryż pod innem nazwiskiem. Panowie zapewne o niej słyszeli?—dodał, zwracając się do obecnych. Nazywają ją powszechnie „*Pomarańczką*“, ponieważ kiedyś w młodości sprzedawała podobno ten owoc w Marsylii.

— Zatem pomieniona osoba była jedną z kochanek pana Worms, nieprawdaż?—pytał sędzia.

— Zmuszony jestem przyznać, iż pan baron okazywał jej wiele względów.

— Po oddaniu ci tego listu, co robił twój pan?

— Pytał mnie czy jego przyjaciel, wicehrabia de Presles był tu wieczorem. Odpowiedziałem, że nie był; wtedy kazał mi odejść, oznajmując, iż sam się rozbierze.

— Pan de Presles był przyjmowanym przez barona, jako zażyły przyjaciel?

— Tak, panie. Znajdował się tu, jak gdyby we własnym domu. Bywał codziennie.

— Opisz mi go jak wygląda.

— Piękny mężczyzna, kształtny, elegancki, pełen szyku, ma około dwudziestu siedmiu lat. Wysoki, szczupły, szatyn, oczy szare, wąsy blond prawie, bardzo długie, bez favorytów. Maleńka blizna na prawym policzku, świadczy o zadraśnięciu szpadą w pojedynku.

Pan Boulleau-Duvernet zwrócił się do swego pisarza.

— Zapisałeś pan to?—zapytał.

— Tak, panie sędzio.

— Możesz odejść—rzekł do kamerdynera, a podpisawszy protokuł, polecił dwom agentom udać się na ulicę Neuve de Mathurins pod Nr. 21 i przyprowadzić sobie wicehrabiego de Presles, jeśli ów elegencki młodzieniec nie opuścił dotąd Paryża.

Podczas wyżprzytoczonego badania ukazał się Jobin powtórnie, dziwnie zmieszany. Wyraz jego spojrzenia, głęboka zmarszczka pomiędzy brwiami, świadczyły, iż jego umysł pracował wiele, a burza wrzała pod czaszką.

— Jestem na tropie! — wyszepnął półgłosem—tak, tak, niezawodnie!

— O czem mówisz, coś odkrył?—zapytał go sędzia.

— Może nic, a może wiele!—rzekł agent. Być może iż się mylę, a kto wie czyli nie trzymam kłucza od zagadki!

— Przystępuj do rzeczy bez omówień—zawołał żywo de Faviéres.

— Przyszła mi myśl — mówił dalej Jobin, że ów list bezimienny, nie był czem innem, jak zastawionem sidłem na bankiera.

— Sidłem? — powtórzyli razem obaj urzędnicy. Zkąd i dla czego?

— Przypuśćmy, że zbrodniarz, ktokolwiekbądź by nim był, ukrył się w pałacu. Pragnie pochwycić tę znakomitą sumę pieniędzy, złożonych w kasie, o których znajdowaniu się tam jest przekonanym, niewzruszony wszelako zamek i tajemnicza jego kombinacya stawiają opór jego chciwości.

„Szuka sposobu któryby znaglił barona do otwarcia samemu tej kasy i odnajduje go nareszcie. Wie, iż właściciel mieszkania nadejdzie! Oczekuje więc jego przyjścia. Pisze z pośpiechem te kilka wierszy oskarżenia, umieszcza je w miejscu widocznem, tak, aby za wejściem barona wpadły mu przed oczy, a potem, gdy szelest kroków nadchodzącego się zbliża, ukrywa się po za szafę, lub za firankę i czeka...

„Bankier wchodzi do gabinetu, spostrzega list bezimien-

ny, chwyta go, pożera oczyma, gniecie w drżących rękach i biegnie do kasy, by się przekonać, czy denuncyacya nie skłamała.

„Jest to chwila rozstrzygająca. Morderca rzuca się z podniesionym nożem. Baron upada jak piorunem rażony przy otwartej kasie. Zabójca kradnie pieniądze i ucieka, zapomniawszy, że zostawił po za sobą w zaciśniętej dłoni zmarłego dowód niezaprzeczony swej zbrodni, dowód przygnębiający, który poprowadzi sprawiedliwość na drogę wykrycia prawdy, a następnie i pochwycenia winnego!

To powiedziawszy obok zapalczywych gestów, ażeby lepiej być zrozumianym, Jobin upuścił binokle i otarł chustką czoło, potem zroszone.

Urzędnicy spojrzeli po sobie.

— Nader logiczne twierdzenie! Zręcznie obmyślane, Zasadnicze! wołał sędzia. Wszystko to jest tak prawdopodobnem, że nieomal prawdziwem się zdaje! Dziwiłbym się nawet gdyby powyższe twe przypuszczenia błędnemi okazać się miały! Powtarzam, Jobin, ty zajdziesz daleko! Masz zdolność, bystrość umysłu, powołanie, prawdziwe powołanie! Pomówię o tobie z prefektem policyi, możesz na to liczyć.

— Ach! panie sędzio—wyszepnął agent zaczerwieniony dumą i radością, jesteś pan zbyt dobrym, łaskawym.

— Nie! Ja jestem tylko z ciebie zadowolonym i pragnę cię o tem przekonać. Prowadźmy dalej teraz nasze badania. Trzeba nam zwiedzić przedewszystkiem apartamenta baronowej.

Przywołana Hortensya, pokojówka, służyła urzędnikom za przewodnika.

Wyszedłszy z gabinetu bankiera, udali się na pierwsze piętro bocznemi wschodami i weszli w rodzaj oszklonej galeryi, napełnionej najpiękniejszemi wonnemi kwiatami, najrzadszemi egzotycznemi roślinami, rosnącemi w starożytnych fajansowych wazonach.

Po prawej, przy wejściu do owej galeryi, znajdował się apartament barona, po lewej, mieszkanie baronowej, składające się z przedpokoju, salonu, buduaru, sypialni, sali kąpielowej i obszernego toaletowego gabinetu.

Jeżeli pan Worms w domowem pożyciu nie uszczęśliwiał swej żony, starał się przynajmniej otaczać ją zbytkiem i najwykwintniejszemi wygodami.

Każda część pomienionego apartamentu była przyozdobioną z gustem i wspaniałością książęcą.

Bogactwo znajdujących się tu obić i mebli, niczem jeszcze było, obok rzadkości artystycznych, wywołujących podziw i zdumienie.

Obrazy mistrzów pędzla, starożytne bronzy, posągi marmurowe, słoniowa kość i srebro, porcelana chińska, serwska i saska, majoliki włoskie, malowidła na szkle z piętnastego i siedmnastego stulecia, obicia flandryjskie i gobeliny, nadawały temu kobiecemu mieszkaniu pozór olśniewającego muzeum.

VI.

Sędzia śledczy pan Boulleau-Duvernet był amatorem przedmiotów sztuki i artystycznie wykonanych drobiazgów. W wolnych chwilach zwiedzał sale wyprzedaży.

Gdy przechodząc spostrzegł tyle arcydzieł, z różnych epok nagromadzonych w apartamencie baronowej, oczy mu się zaiskrzyły, a jego oblicze wyrażało najżywszą radość, z chwilą jednakże przestąpienia progu sypialni, przybrał zwykłą surowość i utkwił wzrok w portrecie naturalnej wielkości, w bardzo bogatych ramach, zawieszonym naprzeciw hebanowego łóżka, wspaniale srebrem i słoniową kością inkrustowanego.

— To baronowa, nieprawdaż?—zapytał.

— Tak — odrzekł pan de Faviéres — jakże ją pan znajdujesz?

— Piękna, niestety! zbyt piękna, jaka szkoda!... Posiadać tak ujmujące łagodne oblicze, zamieszkiwać w raju i zabić swojego męża, czyli raczej co na jedno wychodzi, kazać go zabić swojemu kochankowi, okraść kasę, uciec do obcego kraju, przygotowawszy sobie tym sposobem okropną przyszłość, bo jeśli nie gilotynę i rusztowanie, to dożywotnie więzienie, nie licząc zgryzot sumienia! A! jak kobiety są szalonemi nieraz! Jestże podobnym ów portret?—zapytał po chwili.

— Jak żywy—odparł de Faviéres.

Pędzel jednego z wielkich artystów, odtworzył rzeczywiście z wielkim talentem delikatne rysy twarzy i kształtną postać młodej kobiety.

Wysmukła, ale nie chuda, Walerya Worms wyglądała zaledwie na lat dwadzieścia jeden. Sploty grube jej ciemno blond włosów okalały twarz owalną, matowo białą, z lekkim odcieniem rumieńców. Wielkie, ciemno-błękitne oczy podłużne, przy czarnych brwiach, regularnie zarysowanych, tworzyły zachwycającą sprzeczność z jasnemi włosami. Nos w prostej linii i usta małe, różowe, dopełniały uroczej całości.

Jedno z owych miniaturowych znamion, zwane przez naszych pradziadów *ziarnkiem piękności*, umieszczone poniżej lewego policzka, uwydatniało białość cery.

Walerya Worms na tym portrecie ubraną była z wdziękiem prawdziwej paryżanki w suknię z czarnego aksamitu, w kwadrat wyciętą, z długim trenem. Kształtne jej ręce odkrytemi były aż do ramion. Naszyjnik z pereł otaczał jej szyję, bransoletki obejmowały jej ręce.

Ów malarz okazał się znakomitym kolorystą, rzuciwszy tę postać na tło ciemne purpurowej draperyi. Portret ten zdawał się być żywym i prawie z ram występował.

— Wspaniałe malowidło!—wyszepnął sędzia, wpatrując się w ów portret z zachwytem.—Rzecz nieporównanie

piękna! Velasquez i Van-Dyck nie utworzyliby nic doskonalszego...

Słowa te nie zdołały rozproszyć smutku pana de Faviéres. Nie mógł pogodzić się on z myślą ujrzenia na ławie oskarżonych, walczącej przeciw obwinieniu o morderstwo tej czarującej istoty, jaką przed kilkoma dniami uwielbiał ze czcią i poszanowaniem.

Jobin pochłaniał wzrokiem ów portret.

— Kłamliwa piękność! — mówił — ktoby pomyślał, że ta twarz, tak łagodna i szczera, ukrywa brudną duszę zbrodniarza... że delikatne te ręce kalają plamy krwi! Patrząc na tę kobietę o wejrzeniu niewinnego dziecka, któżby nie pomyślał: „*Jest to anioł.*“ Tak... anioł występku niestety, kradzieży i zbrodni!

— Pisz pan—zuwołał sędzia śledczy na pisarza i zaczął dyktować rysopis baronowej, zwracając uwagę na szczegóły portretu, kolor oczu i włosów, a nawet na owe maleńkie ciemne znamię, po którem tak łatwo można było poznać tę nieszczęśliwą kobietę.

— Panno Hortensyo—dodał, zwracając się do pokojówki—sądzę że znasz doskonale garderobę swej pani?

— Tak jest—odpowiedziała.

— Łatwo ci więc będzie, przejrzawszy pozostawione tu ubrania, powiadomić mnie, w jakiej sukni pani baronowa wyjechała z pałacu?

— Pójdę do garderoby...

— Uczyń to proszę.

Pokojówka weszła do przyległego pokoju, zastawionego szafami, w których od dołu do góry wisiały różnych barw i kształtów bogate kobiece ubrania.

— Pani baronowa —rzekła Hortensya wróciwszy po kilku minutach —wyjechała w ubiorze, jaki miała wczoraj na sobie, to jest w czarnej jedwabnej sukni. Miała włożyć czarny kastorowy kapelusz, przybrany aksamitem i przyodziać się długim szalem indyjskim.

— Żadnych bagażów z sobą nie zabrała?

— Nic prócz podróżnego skórzanego worka, w jakim zwykle, wyjeżdżając do morskich kąpieli, umieszczała klejnoty, dla wzięcia ich z sobą.

W chwili gdy Hortensya kończyła te słowa, przyspieszone kroki dały się słyszeć w przyległym salonie.

— Kto idzie?—pytał sędzia.

— Wracają agenci, wysłani przez pana na ulicę Neuves de Mathurins—odparł Jobin.

Dwaj mężczyźni we drzwiach się ukazali. Mieli rozpromienione oblicza.

— I cóż?—zapytał pan Boulleau-Duvernet.

— Wicehrabia de Presles jest nieobecnym od wczoraj —rzekł jeden z agentów—wyjechał w podróż i nie wiedzą kiedy powróci.

— Macież inne szczegóły?

— Całą ich pakę, panie sędzio. Z razu odźwierny nie chciał wcale z nami rozmawiać, z góry na nas spoglądając. Odźwierny, czemże on jest, co znaczy ten gbur wobec nas? Pokazaliśmy mu nasze karty. Natychmiast zmienił ton mowy i rozwinął przed nami cały szereg następnych opowiadań.

„Wczoraj wieczorem około jedenastej wicehrabia de Presles, który jak się zdaje nie jest bogatym, ponieważ nie trzyma nawet służącego, wszedł do tegoż portyera, kazał mu znieść dość ciężką walizę i przywołać fiakra. W pięć minut później jechał pomienionym powozem Nr. 720, postawiwszy na siedzeniu przed sobą walizę. Przed odjazdem, dał luidora odźwiernemu, powiedziawszy, że zapewne nie prędko powróci.

— I to ma być wszystko, co wiecie? — pytał pan Boulleau-Duvernet.

— O! nie, panie sędzio! Gdybyśmy niedowiedzieli się nic więcej, ukradlibyśmy pieniądze panu prefektowi. Wiemy wszystko, co nastąpiło od chwili wyruszenia fiakra z ulicy

Chausee d'Antin. Woźnica jego, poczciwy chłopiec wszystko nam opowiedział, poznał on z kim ma do czynienia. Pan de Presles wysiadł w uliczce, przyległej do małej furtki, przebitej w murze. Jest to furtka ogrodowa, w tutejszym pałacu. Fiakr czekał tam, przeszło godzinę. Wicehrabia przechadzał się po trotuarze, paląc cygaro. W parę minut po północy dobył klucz z kieszeni, otworzył furtkę i wszedł do ogrodu.

Wygłosiwszy to agent, zamilkł przez parę sekund dla pochwycenia oddechu, poczem mówił dalej:

— W pół godziny później, ukazał się pan de Presles, w towarzystwie jakiejś zakwefionej damy, widocznie zmieszanej i drżącej. Dama wsiadła pierwsza, on później i rozkazał jechać do Hotelu *de Brabant*, jednego z tych małych pałacyków z umeblowanemi pokojami, położonego w prost stacyi północnej drogi żelaznej.

— Trzeba wam było biegnąć do tego hotelu, nie tracąc ani chwili—zawołał sędzia.

— Tak też uczyniliśmy. „Pędź co sił"—zawołałem na woźnicę i chłopak zaciął szkapę ostro biczem, resztki starego angielskiego konia, który mknął z nami, jak lokomotywa. Właścicielka hotelu opowiedziała nam, że ów pan z panią przybywszy do niej około godziny pierwszej w nocy, wzięli dwa pokoje i odjechali pierwszym pociągiem, wychodzącym z rana. Nie mogliśmy się nic więcej dowiedzieć. Woźnica fiakra Nr. 720 nazywa się Pidoux, przywiózł nas tu i oczekuje na dole. Zatrzymałem go na wypadek, gdyby pan sędzia chciał otrzymać od niego jakie zeznania.

— Doskonale!—rzekł Boulleau-Duvernet zacierając ręce.—Trzeba, ażeby wicehrabia z baronową zostali na granicy przytrzymanymi, dla uniknienia formalności i zwłoki czasu. Dajcie mi rozkład jazdy dróg żelaznych. Żywo! co prędzej!...

— Musi on się tu znajdować w biurze — rzekł Jobin. Biegnę!

I wyszedł z sypialni.

Podczas krótkiej jego nieobecności, sędzia kazał pisarzowi skreślić rysopisy pana de Presles i pani Worms, poczem podpisał rozkaz przyaresztowania tych dwojga podróżnych, jacy podobnymi się okażą do załączonych objaśnień.

Jobin ukazał się z rozkładem jazdy dróg żelaznych. Przejrzał go, idąc.

— Pierwszy pociąg—rzekł—wychodzi z Paryża o siódmej minut 50 rano, a przybywa na granicę o pierwszej minut 40 przejeżdża przez Mons i Blanc-Misseron.

Sędzia śledczy spojrzał na zegarek. Wskazywał on kilka minut po jedenastej.

— Wszystko dobrze idzie—rzekł do komisarza policyi, podając mu arkusze, opatrzone swoim podpisem. Wsiądź pan do fiakra, oczekującego na dole, jedź do biura telegrafu. Każ wysłać pomienione depesze do swego kolegi w Blanc-Misseron, który natychmiast po dokonanem przyaresztowaniu, niechaj sąd zawiadomi telegramem, jaki mi tu doręczę, ponieważ jeszcze w miejscu pozostanę. Rozkaż pan również powiadomić w Pałacu Sprawiedliwości, aby działano według moich wskazówek.

Komisarz udał się dla spełnienia powierzonej sobie misyi, a badanie ciągnęło się dalej, szczegółów jego wszelako przytaczać nie będziemy ponieważ większa część tychże, nie interesowałaby czytelników.

Cała służba barona została kolejno przesłuchaną; żadne z tych zeznań jednak nie rzuciło nowego światła na sprawę.

Przeszukano ogród. Ślady eleganckiego obuwia na wysokich obcasach wicehrabiego de Presles znaleziono odciśnięte na piasku głównej alei. Ślady te prowadziły aż do drzwi pałacowych.

Z zeznań zarządzającego remizą, jasno się okazywało, iż pan de Presles posiadał podwójny klucz od furtki ogrodowej,

co przekonywało, iż jego stosunki z baronową od dawna istniały.

Ów szczegół w akcie oskarżenia stanowił punkt nader ważny, ponieważ pani Worms w takim razie, będąc sama winną, traciła prawo uskarżania się na niewierność małżeńską, a nadewszystko do ukarania go morderstwem.

VII.

Ogólne badanie, poprzedzające zwykle ściślejsze szczegółowe śledztwo, dobiegało do końca, gdy przybył posłaniec z sądu, przynosząc zapieczętowaną kopertę pod adresem pana Boulleau-Duvernet.

Pomieniona koperta zawierała telegram komisarza policyi z Blanc-Misseron.

— Mamy ich! — zawołał sędzia, rzuciwszy okiem na treść telegramu.—Oto co nazwać można energicznie i żywo poprowadzoną sprawą.

I czytał głośno:

„Paryż z Blanc-Misseron; ósmego Kwietnia 1865 roku. Prokurator sądowy do pana Boulleau-Duvernet, sędziego śledczego.“

„Przyaresztowania dokonano za przybyciem pociągu z Paryża o godzinie pierwszej minut czterdzieści. Wicehrabia de Presles i baronowa Worms rozłączeni i pod dobrą strażą. Tożsamość ich nie ulega zaprzeczeniu. Oczekujemy poleceń sądu paryskiego.

„Komisarz policyi

„Joliet.“

Spojrzawszy na rozkład jazdy dróg żelaznych, pan Boulleau-Duvernet skinął na agenta.

— Jobin—rzekł do niego—będę potrzebował ciebie.

— Jestem na rozkazy pana sędziego — odparł wezwany.

Podpiszę rozkaz sprowadzenia ich tu. Odjedziesz dziś wieczorem z dwoma agentami pociągiem, wychodzącym o szóstej minut dziesięć. Przywieziesz obwinionych tej nocy i za przybyciem do Paryża osadzisz ich w Conciergerie. Gorąco pragnę przewodniczyć jutrzejszemu badaniu.

— Dobrze, panie sędzio—rzekł agent.

— Pilnuj, ażeby wicehrabia i baronowa jechali w dwóch oddzielnych przedziałach. Tobie oddaję straż po nad tą młodą kobietą. Dwaj inni agenci będą czuwali po nad panem de Presles. Zachowajcie przynależne względy dla uwięzionych, ale zarazem stosujcie się ściśle do wydanych przezemnie rozporządzeń.

— Niech pan sędzia całkowicie zaufać mi raczy.

— Być może, iż wicehrabia, widząc się być zgubionym, zechce wam umknąć podczas drogi. Weźcie więc broń na wszelki wypadek, ale nie używajcie jej jak dla nastraszenia w razie potrzeby.

— Wątpię, ażeby pan de Presles gwałtownemi środkami pogorszać chciał i tak już groźną dla siebie sytuacyę— odpowiedział Jobin.—Mimo to zastosuję wszelkie potrzebne środki ostrożności. Pozwoli pan sędzia dołączyć mi małą prośbę z mej strony?

— Cóż takiego?

— Proszę najusilniej, o wydanie rozkazu ażeby nikt przed moim powrotem nie przestąpił pokoju, w którym zbrodnia spełnioną została. Postanowiłem odbyć ścisłe przeszukiwania w tym gabinecie, jakie mam nadzieję nie będą bezrozumnemi.

— Przeszukiwania, w jakim celu?—pytał sędzia zdumiony. Winni są już w naszem ręku. Przy pierwszem badaniu wszstko wyznają Czegóż trzeba więcej? Nigdy sprawa bardziej jasną i prostą nie była.

— Niech mi pan sędzia przebaczyć raczy, wyszepnął Jobin—wszak niepodzielam jego zdania w tym razie.

— Co, co?—zawołał Bouleau-Duvernet.

— Tak—odparł ageut. Bezwątpienia, mnóstwo zebranych strasznych dowodów zbrodni obciąża pana de Presles i panią Worms, wszak między tem wszystkiem dostrzegam wiele niedostatecznie wytómaczonych szczegółów, wiele punktów ciemnych, na jakie pragnąłbym rzucić światło. Być może, iż się mylę, z pozoru tak by się zdawało, a jednak wiara ta moja silniejszą jest we mnie po nad zwątpienie.

— Jakto? miałżebyś jeszcze nie być przekonanym o współwinie wicehrabiego i baronowej?—zawołał sędzia osłupiały. Na Boga, co ja słyszę? Ty, chłopiec tak pełen taktu i bystrości umysłu? Ależ byłoby to zaprzeczać oczywistości!

— Niczemu nie zaprzeczam. Pan sędzia uważa, że są winnymi, niech i tak będzie w głębi duszy jednak, inaczej jestem przekonany—ośmielił się wygłosić Jobin, śledząc spojrzeniem fizyognomię pana Boulleau Duvernet.

— Na czem opierasz to swoje odmienne przekonanie?

— A gdyby mieli wspólnika? Gdy ktoś trzeci należał do spełnienia tej zbrodni?

— Wspólnika?—powtórzył sędzia—tak wnosisz?

— Tak...

— Któżby nim był.

— A! to właśnie, co odkryć nam trzeba, a jakkolwiekbądź trudna będzie to sprawa, nie tracę nadziei, iż zdołam ją do skutku doprowadzić, jeżeli pan sędzia przez dni kilka zostawić mi raczy wolne pole działania, o co przed chwilą upraszałem.

— Zgoda! — rzekł pan Boullean-Duvernet po chwili rozwagi.—Wiesz że pokładam w tobie zaufanie. Po dokonanej sekcyi, sam zamknę drzwi gabinetu w którym znajduje się kasa, schowam klucz i nie oddam go, jak tylko tobie.

Jobin zadowolony podziękował sędziemu, a założywszy binokle, zabrał upoważnienie do przywiezienia obwinionych

podpisane przez pana Boulleau-Duvernet, spojrzał raz jeszcze na portret baronowej i wyszedł, zatrzymawszy się na dziedzińcu pośród grupy służących i urzędników, dla usłyszenia, co mówią.

W ich całej rozmowie nic nie znalazł dla siebie godnego uwagi, nabył jedynie przekonania że zmarły baron nie wiele przez służbę był żałowanym, a natomiast ogólne współczucie zwracało się ku pani Worms.

Dziwiono się, a nadewszystko smucono jej zniknięciem, a nikt nie przypuszczał ani na chwilę by miała być pośrednio lub bezpośrednio wspólniczką morderstwa swojego męża.

— *Vox populi vox Dei*!—wymruknął Jobin. Sprawdza się to niekiedy, często nawet, ale nie zawsze. Bądź co bądź, wyjaśnić muszę to wszystko, inaczej nie byłbym chyba Pamfiljuszem Jobin'em.

To mówiąc wszedł do pierwszej, jaką napotkał restauracyi, zjadł tam obfite śniadanie, wypił butelkę wina Bordeaux, a przywoławszy fiakra, kazał się zawieść na ulicę des Orfevres, gdzie na czwartem piętrze zajmował skromne mieszkanie.

Wszedłszy do siebie, minął pusty przedpokój i otworzył do sypialni, a raczej obszernej garderoby.

Za pierwszym rzutem oka można byłoby sądzić, iż to jest aktorska gotowalnia.

Wzdłuż ściany, na hakach. wisiało mnóstwo kostyumów, począwszy od niebieskiej płóciennej bluzy mularskiego robotnika, wapnem poplamionej i najrozmaitszych uniformów, aż do czarnego fraka, z purpurową wstążeczką przy butonierce.

Po nad każdym z owych kostyumów wisiała peruka, potrzebna do skompletowania przebrania.

Pod jednym z okien pokoju, wychodzącem na ulicę, przez które falą wpływało światło słoneczne, stał wielki stół z ruchomem w pośrodku zwierciadłem.

Najrozmaitsze bielidła w postaci płynu i maści, słoiki z blanszem i różem, farba sinawa, ołówki pastelowe, słowem

najrozmaitsze przedmioty, jakich używają aktorzy przed ukazaniem się na scenie, zalegały szeroki stół w malowniczym nieładzie.

Jobin przez parę chwil tylko pozostawał w owym pokoju i nie użył żadnego z wyż wymienionych przedmiotów dla zmienienia swej fizyonomii.

Wziął nieco pieniędzy, wsunął w kieszeń mały rewolwer, wdział ciepłe palto w przewidywaniu chłodnej nocy i udał się do prefektury policyjnej, gdzie prosił o wskazanie sobie dwóch towarzyszów podróży.

O szóstej godzinie znalazł ich na stacyi i wsiadł wraz z nimi na pociąg dążący ku granicy.

Tam, zasiadłszy wygodnie w rogu kanapy, przymknął oczy i zdawał się drzemać. Pozornem to jednak było, nie spał on wcale, lecz myślał.

Podczas gdy Jobin jechał w stronę Belgii, sędzia śledczy kazał przenieść na pierwsze piętro skostniałe ciało bankiera. Położono go w ubraniu na wspaniałem łóżku stojącem w sypialni.

Opieczętowano wszystkie meble. Agenci otrzymali rozkaz wykonywania ścisłego nadzoru wewnątrz i zewnątrz pałacu; a ponieważ baron za życia należał do sekty izraelitów, zawezwano rabina z najbliższej synagogi by przybył odbyć modlitwy przy zmarłym według żydowskiego rytuału.

Należało unikać najmniejszej zwłoki w wypłatach, któraby mogła zaniepokoić pewną część handlu Paryzkiego.

Urzędnicy wezwali w tym celu kasyera, Fryderyka Müller i dali mu upoważnienie do zainstalowania w pełnieniu nadal czynności dotychczasowych w biurze, jako i podnoszenia z Banku pod osobistą odpowiedzialnością sum, potrzebnych na wypłaty, aż do dnia, w którym rozpocznie się likwidacya interesów bankierskiego domu Worms.

Tym sposobem nikt ze znajdujących się w interesach z bankiem zmarłego barona trwożyć się niepotrzebował i unikniono wszelkiej katastrofy.

Fryderyk Müller żywo oceniał wysoką mądrość w tych rozporządzeniach, lecz skoro posłyszał, że ów pokój w którym stała kasa, a który był dotąd jego gabinetem pracy, został aż do nowych poleceń zamkniętym, zbladł nagle i zadrżał.

Przypomniał sobie, iż różne papiery zamknięte w tej kasie byłyby mu koniecznie potrzebnemi do uregulowania pewnych rachunków.

Było to jednak daremne.

Sędzia śledczy, jak wiemy, dał zobowiązanie Jobin'owi w tym względzie, od którego nie odstąpił i kasyer musiał odejść, nie otrzymawszy dla siebie wyjątku.

Na chwilę przed wyjściem z pałacu, pan de Faviéres przypomniał sędziemu, że nieprzeczytał listu, oddanego przez barona kamerdynerowi wczoraj wieczorem, a adresowanego do panny Aliny Pradier.

— Masz słuszność! —rzekł pan Boulleau-Duvernet, kto wie, czyli ów list nie zawiera czegoś dla nas ważnego.

Rozłamał pieczątkę i czytał:

„Lilino“

„Ach! jakże byłaś zachwycającą tego wieczora, istny dyabełek, ma piękna, mimo żem ci odmówił drobnostki, udzielenia dziesięciu tysięcy franków, jakich odemnie żądałaś.

„Ależ ta odmowa była tylko żartem z mej strony, moja gołąbeczko! Na dowód czego idę natychmiast do kasy, do tej mojej grubej kasy, jak ją nazywasz, mimo że już północ minęła, wezmę z niej piętnaście biletów tysiąc frankowych, najpiękniejszych, najnowszych, jakie odnajdę i przyniosę ci je jutro, o drugiej godzinie, przed pójściem na giełdę.

Ów dodatek pięciu tysięczny będzie nagrodą za żart, uczyniony przezemnie. Całuję cię w oba twe śliczne oczęta. Kochający cię na zawsze,

twój baron

„Nataniel,“

Takiemi były ostatnie wyrazy, nakreślone przez barona Worms, na pięć minut przed zgonem.

VIII.

Wyraz „*typ*“, tak dziś spowszechniały i ośmieszony, służył niedawnemi jeszcze czasy za środek nader podatny różnym autorom.

Romansopisarze, wodewiliści i kronikarze posługiwali się nim jak i gdzie im się tylko podobało.

Student, gryzetka, kokota, wielka dama, wybladły młodzieniec, lichwiarz, odźwierny, profesor śpiewu, aż do kupca win, wszystkie te postacie były typami.

Mimo, iż do głębi wyzyskanem zostało to wyrażenie, zmuszeni jesteśmy użyć go obecnie.

Jobin był prawdziwym typem, wiernym typem naszych czasów, na wskroś paryskim, niemożebnym jak w naszej epoce, dającym się odnaleść jedynie pośród wielkiego miasta. A gdy ta osobistość odegra ważną rolę w epizodzie naszej powieści, chcemy nakreślić pobieżny szkic z jego przeszłości.

Pamfiliusz Tymoteusz Jobin, liczący dwudziesty siódmy rok życia w Kwietniu 1865 roku, którego przedstawiliśmy, był jedynym synem właściciela korzennego sklepu przy ulicy des Deux-Portes-Saint-Sauveur.

Ów kupiec, owdowiawszy wcześnie, marzył jedynie o karyerze adwokackiej dla syna. W tym celu młody Jobin uczęszczał na kursa do kolegium, leniwy jednak i ociężały, czuł wstręt do łaciny i greczyzny, natomiast pochłaniając zażarcie romanse złe, dobre i średnie, jakich mu dostarczała czytelnia, gdzie abonował je z własnych oszczędności tygodniowych.

Rósł tym sposobem w zupełnem umysłowem zaniedba-

niu, w zamian czego wyobraźnia chłopca rozwijała się w sposób zdumiewający, podniecana romansami, wytwarzanemi tak przez mistrzów, jako i mniej znanych autorów.

Między niezliczonym stosem tych tomów, w żółtych i czerwonych okładkach, Pamfiliusz Jobin dawał pierwszeństwo utworom, osnutym na tle fantazyi, a wtajemniczających go w różne szczegóły świata paryskiego, wielkiego świata, półświatka; a nadewszystko owego ciemnego, dziwacznego świata, poruszającego się bezustannie w podziemiach i norach stolicy Francyi.

Odczytywał „*Tajemnice Paryża*“, „*Prawdziwe tajemnice Paryża*“ przez Vidocq'a, „*Dramata Paryża.*“, „*Piekło Paryża.*„ „*Wielki człowiek z prowincyi w Paryżu.*“ Byłby pożerał i „*Tragedye Paryża*“ lecz na nieszczęście wtedy one jeszcze nie istniały.

Nęciły go pragnienia okazałego życia high-lifu, konie pełnej krwi, młode kokoty, gra w karty, zakłady, pojedynki i tym podobne.

W innych chwilach marzył o autorskim zawodzie, pragnął zostać dziennikarzem, prowadzić życie szumne, wesołe, próżniacze, wysłane banknotami, zdobytemi za pociągnięciem pióra w ciągu godziny, urozmaicone kolacyjkami w towarzystwie aktorek.

Lucyan de Rubempré, był wtedy jego bohaterem; patrząc w około siebie, szukał wzrokiem w tłumie owego strasznego opata *Carlosa Herrera.*

Po tych mirażach nastąpiły inne, bardziej ponure, lecz niemniej pociągające i spadkobierca papy Jobin wzdychał do odegrania roli w rodzaju „*księcia Rudolfa*“ pośród tragedyi nieznanych, niezbędnych tajemnic, pełnych trwogi i grozy, jakie Paryż ukrywa w niższych warstwach społeczeństwa.

Pośród tych marzeń różnobarwnych, na jakie poglądał otwartemi oczyma, Pamfiliusz Jobin przechodził nie zbyt pospiesznie klasy w kolegium, z trudnością awansując do wyż-

szych, a nie była to droga, wiodąca do adwokatury, zawierającej w naszych czasach tyle obowiązków do spełnienia, prowadzącej do tak wysokich godności do ministeryów.

Kończył lat dwadzieścia, gdy jego ojciec umarł skutkiem przeziębienia, zostawiwszy prócz dobrze zaopatrzonego sklepu sto sześćdziesiąt tysięcy franków w papierach procentowych.

Jobin, usamowolniony przez radę familijną, znalazł się posiadaczem dziesięciu tysięcy liwrów renty.

Ów skromny dochód pozwolił mu żyć dostatnio, na łonie spokojnej ciemnoty. Lecz młody spadkobierca spostrzegł, że owe banknoty mogą mu posłużyć za środek do uciech wszystkiego rodzaju, jakie niegdyś błyszczały przed jego oczyma podczas czytywania ulubionych romansów.

Wynajął sobie przedewszystkiem w bogatej części miasta, mały lokal w antresoli, jaki zapełnił gustownemi meblami. Kupił dwa konie, zgodził lokaja i grooma, miał wielu przyjaciół i kilka kochanek.

Nie dziwna przeto, iż w ciągu lat czterech zrujnował się zupełnie. Iluż innych w jego miejscu w ciągu miesiąca byliby stracili te nędzne dwieście tysięcy franków.

Gdy konie wraz z przyjaciołmi i kochankami zniknęły z ostatnim kuponem renty, Jobin sprzedał ruchomości, za jakie dostał tysiąc talarów, schronił się do małego pokoju w drugorzędnym hotelu i po raz pierwszy zapytał sam siebie, z czego mu odtąd żyć przyjdzie?

Do czarta!—odpowiedział sobie z godną podziwu filozofią—rzecz prosta i jasna! Przesyciłem się już rozkoszami życia, pragnę teraz poznać radości literackiej egzystencyi. W naszych czasach romans żywi obficie współpracowników, a teatr milionerami ich czyni!... Majątek i sława jednocześnie spływają, pocznę więc pisać!...

Kupił bezzwłocznie ryzę bruljonowego papieru, sto piór stalowych, butelkę atramentu i zabrał się do dzieła.

Po dwóch miesiącach pracy i zapisaniu wielkiej liczby arkuszy wykończył romans i dramat.

Romans nosił tytuł; „*Jaskółki z mostu Arcole.*“

Kwiat przeżyłej Paryskiej młodzieży, powciągał tam księżniczki w czarną zawiłą intrygę, gdzie ostrza nożów. trucizny i dzieciobójstwa, rozwijały się w każdym rozdziale, jak róże mchowe w willi Asniéres.

Dramat, pełen dzikiego realizmu, był zatytułowanym: *Nowy hrabia de Saint-Heléne*, poprzedzony prologiem: „*Galery w Brest.*“

— No teraz —powiedział sobie Jobin—ująwszy w rękę dwa manuskrypty, przed upływem pół roku sławnym zostanę!

I odtąd to dla nieszczęśliwego rozpoczęła się owa przerażająca egzystencya debiutanta, pragnącego na wierzch wypłynąć.

Talentu mu brakowało, przyznać to trzeba. Nieposiadał ani owej wynalazczej potęgi, jaka nieraz zapominać dozwala o brakach i wadach, ni owej czarującej formy, jaka częstokroć pokrywa ubóstwo treści. Pisał stylem niepoprawnym i ciężkim zbierając w nim kupy scen po tysiąc razy już powtarzanych, a nadomiar źle ułożonych, skutkiem czego mógł się spodziewać niepomyślnego przyjęcia, potępiono go też bez odwołania, zwracając nieczytane manuskrypty, co dozwalało mu niestety zachowywać złudzenie o wysokiej wartości prac swoich i koronować się samemu aureolą geniuszu zapoznanego.

Wszędzie otrzymywał tęż samą odpowiedź, jednaką co do znaczenia prawie i formy, różniącą się jedynie w dźwięku, jakiem wygłoszoną została, to więcej grzecznym, to bardziej brutalnym, według temperamentu tego, który ją udzielał.

— Mamy zapełnione teki. Posiadamy na lat dwa zapas manuskryptów; nie starczy nam czasu na przeglądanie nowych, zresztą, publikujemy jedynie „*znane nazwiska.*“ Idź pan gdzie indziej, kochany panie, idź pan gdzie indziej.

Gdzie indziej spotkało go toż samo.

Dramat uległ bardziej jeszcze opłakanemu losowi.

Odźwierni teatralni, spostrzegłszy zbliżającego się Jobin'a z rulonem papierów w ręku, przybierali dziki wyraz twarzy, mierzyli intruza wzrokiem od stóp do głowy, a dając mu poznać by się wynosił co prędzej groźną ręką chwytali za miotłę.

Nieszczęśliwy autor wracał wieczorem na poddasze, złamany znużeniem, zniechęcony, by rozpocząć nazajutrz tęż samą bezpożyteczną wędrówkę.

IX.

Ostatnie pieniądze tymczasem, pochodzące ze sprzedaży sprzętów, znikały jedne po drugich, kilka dni jeszcze, a Jobin znaleść się mógł bez żadnych środków utrzymania i bez wszelakiej nadziei.

Nagły blask zarumienił natenczas na owym tak czarnym firmamencie.

Wydawca groszowego dziennika, drukowanego na bibule, ilustrowanego staremi drzeworytami niemającemi najmniejszego z związku, z pomieszczaną w nim treścią, zaciekawiony tytułem: *„Jaskółki z mostu Arcole“* przeczytał manuskrypt a odnalazłszy w nim dostateczną ilość zbrodni różnego rodzaju, zgodził się na jego opublikowanie, przyrzekając płacić autorowi po pięć centymów od wiersza.

Dwadzieścia tysięcy wierszy, po pięć centymów, wynosiło to tysiąc franków, majątek prawie dla Jobin'a, tylko że ów wspaniałomyślny mecenas, nie chciał udzielić żadnej zaliczki.

Jednocześnie dyrektor jednego z podmiejskich teatrzyków, przypomniawszy sobie, że niegdyś *Hrabia de Saint-Hélene* nie zły dochód mu czynił, w nadziei, iż otrzyma podobne

powodzenie, przyjął pracę młodego autora i rozpoczął z niej próby.

— We wszystkiem trudny początek — powtarzał sobie młodzieniec.—Dzienniki i teatra przepełnione ciemnotą, ale co mnie to obchodzi? Skromne te moje debiuty wystarczą dla oznajmienia, że żyję, o przekonaniu źle uprzedzonych, co wart jestem. Największem mojem nieszczęściem było, iż pozostałem dotąd nieznanem. Jutro już nim nie będę!

Niestety! było to zapisane w księgach przeznaczenia że Pamfiliusz Jobin nigdy nie zazna trymfów literackiej chwały!

Nazajutrz, gdy poprawiając prolog swojego romansu, napawał się z roskoszą po raz pierwszy widokiem wydrukowanego swojego nazwiska, dostawca papieru zareklamował nagle wydawcę o zaspokojenie zaległych należytości, a nie otrzymawszy takowych, odmówił dostarczenia papieru.

Dziennik groszowy zmarł nagle po krótkiem swem istnieniu.

Wszystkie nadzieje Jobin'a zespoliły się teraz na jego dramacie.

Nowy *Hrabia de Saint-Hélene* był granym, ale żył tylko przez jeden wieczór.

Publiczność pozarogatkowa, nie będąca nigdy zbyt surowym sędzią, od piewszych scen gniewać się i burzyć poczęła i jedyne to przedstawienie omal że dotrwało do końca.

Jak pamięć ludzka zasięga, niesłyszano w sali teatralnej takiego wycia i takiego świstania.

Dyrektor, bardzo zacny człowiek, który podczas prób nieszczęśliwego dramatu powziął wiele sympatyi dla autora, widząc go tak zbladłym ponurym i zrozpaczonym, zbliżył się ku niemu.

— Odwagi, więcej odwagi!—rzekł. Wszystkich prawie poczynających spotyka to, co ciebie spotkało. Napiszesz inną sztukę.

— Nigdy, nigdy w życiu!...

— Ba! tak się to mówi, a zaczyna na nowo. Drugi raz bywa się szczęśliwszym.

— Jeżeli szczęście komu służy—odpowiedział Jobin. Dla mnie ono nie istnieje! Lekcja, jaką otrzymałem, jest ciężką, ale sprawiedliwą. Pomyliłem się w ocenieniu moich zdolności. Sądziłem, że posiadam talent. Niemam go i mieć nie będę! Daję za wygranę!...

— Posiadasz jakiś sposób zapracowania na życie?

— Żadnego.

— Przynajmniej trochę pieniędzy?

— Dziesięć franków wszystkiego...

— To źle do dyabła. Cóż poczniesz teraz?

— Co poczne? Rrzecz bardzo prosta. Kupię za te dziesięć franków stary jaki rewolwer, gdy wrócę do domu napiszę kilka słów do komisarza policyi i w sposób szybki, a radykalny rozetnę węzeł mojego życia.

— Co?—Chcesz się zabić?—zawołał z trwogą dyrektor. Nieszczęśliwy, jak możesz myśleć o tem, będąc tak młodym?

— Właśnie dla tego myślę o tem, żem młody—odpowiedział, uśmiechając się Jobin. Nie uzdolniony do zarobienia na życie, zbyt długo już żyłem. Za słaby do walki, niechcąc zostać ani żebrakiem, ani złodziejem wolę lepiej raz skończyć!

— Sprobój jednak czegoś.

— Czego naprzykład?

— Wejdź w szeregi armii. Czyż może być stan piękniejszy, jak zostać żołnierzem?

— Tak, gdyby walczono teraz, lecz podczas pokoju...

— To zostań aktorem.

— Byłbym złym, czuję...

— Może ci się tak zdaje?...

— Zresztą złym, czy dobrym, któżby mnie zaangażował?

— Ja, do kroć piorunów! Nie płaciłbym ci wiele, szczególniej na początek, dochody są szczupłe, wiesz o tem

dobrze, lecz wreszcie przy sześćdziesięciu frankach miesięcznie wyżyć można jakkolwiek. Gotów ci jestem ofiarować. Przyjmujesz?

— Prawdę mówiąc nie zbywa mi na chęci.

— Bierz zatem, nie wachaj się.

Jobin podał rękę zacnemu temu człowiekowi, który widocznie ocalał go od śmierci i w tydzień później debiutował pod przybranem nazwiskiem.

Nie był ni dobrym, ni złym aktorem. Został bezbarwnym. Brakło mu oryginalności. Pomimo wszelkich usiłowań nie zdołał być indywidualnym.

W jaki sposób to wytłómaczyć? Posiadał w najwyższym stopniu ową, tak trudną sztukę przetwarzania się, zmieniał fizyognomię szybko do podziwienia, a niekiedy dla rozrywki kopjował tak doskonale twarz którego z towarzyszów pozarogatkowych, że z chwilą wyjścia na scenę, publiczność brała go za tamtego.

Nie poprzestając na tem, naśladował głosy tych, których odtwarzał oblicza.

Były to jedyne jego zasługi, prócz tego nieprzechodził po za zwykłą mierność. Został pożytecznym dla sceny.

Obdarzony pamięcią wyjątkową, uczył się roli przeczytawszy ją dwa razy, co pozwalało mu na zawołanie zastępować artystów, dotkniętych chorobą.

Hojny dyrektor zwiększył mu pensyę miesięczną do stu franków. Wegetował, nie skarżąc się na swój los, nie żałując swoich zagasłych marzeń o wielkości i pochłaniając jak niegdyś książki, jakie mu wpadły pod rękę.

W owym to czasie *„romans sądowy“* zdobył sobie miejsce w literaturze, znakomitem ciesząc się powodzeniem.

Dobra, pobłażliwa publiczność, śledziła z gorączkowem zajęciem zawikłania, wiodące dramat do ław sądowych, kreślone przez najzdolniejszych autorów.

Bohaterem naturalnym, owym *„Deus ex machina“* tych wstrząsających opowiadań na każdym wierszu podniecają-

cych ciekawość, był agent policyi, przedzierający się siłą pośród ciemności tajemniczego dramatu, demaskujący zbrodniarza, mimo najzręczniej osnutych przezeń podstępów, ocalający niewinnego, jakiego fałszywe pozory wikłały w siatkę o węzłach nierozwiązalnych.

Nędznicy i łotry w ogóle nienawidzą policyi. Obrzucają ją oszczerstwami, ponieważ się jej boją. Mówimy tu ma się rozumieć o policyi naszych czasów, a nie tej, jaka się niegdyś rekrutowała z posród skazańców przez sprawiedliwość.

Vidocq, ów zręczny nędznik, Vautrin, ów geniusz galer, byliby dziś niemożebnymi.

Jobin zapalił się uniesieniem dla bohaterów współczesnej policyi, owych żyjących narzędzi działań opatrzności. Mówił sobie, że nie masz piękniejszej roli ponad pełnienie obowiązku przez tych ludzi, inteligentnych, odważnych, poświęcających swe życie obronie prawdy i sprawiedliwości, stawiających mężnie czoło wszelkim niebezpieczeństwom.

Wzniosłe i romantyczne ich egzystencye, pełne walk i tragicznych wypadków pociągały go niepokonanie. Odkrywał w sobie zdolności, mogące go wyprowadzić na świetne stanowisko i, po długiem rozważaniu, poszedł do naczelnika policyi, ofiarując mu swoje usługi.

Śledztwo co do jego poprzedniej działalności nakazanem zostało.

Wykryło ono, iż postępowanie Jobin'a było zupełnie czystem, wolnem od wszelkich podejrzanych czynów i że młodzieniec w swym szale sprawił jedynie szkodę sobie samemu.

Upoważniono go do rozpoczęcia czynności, a pierwsze sprawy, w jakich dozwolono mu złożyć dowody swej żywej inteligencyi i gorliwości w pełnieniu obowiązku, zjednały mu szacunek naczelników i przychylność sądu.

W prefekturze koledzy nazywali go ogólnie „*Binoklem*“, uważając go jako zdolnego i bystrego chłopca.

Odnalazł właściwą dla siebie drogę, ale laury sławnego niegdyś *Lecocq'a* zasnąć mu nie dawały. Pragnął trafić na jakąś wyjątkową sprawę, jedną z tych ciemnych spraw zagmatwanych, w której wszyscy błądzą, z wyjątkiem policyjnego ajenta, wiedzionego instynktem i dobrą gwiazdą, chwytającego pośród ciemności nić sprawy przewodnią.

Podobna sprawa może od razu postawić człowieka między pierwszorzędnymi.

Jadąc w stronę Belgii Jobin zapytywał siebie, czyli zabójstwo barona Worms będzie dla niego tą sprawą?

X.

Podczas, gdy ów agent policyjny oddawał się wyż wymienionemu rozmyślaniu, pociąg biegł szybko ku granicy Belgijskiej.

Noc była dżdżystą i czarną, w chwili, gdy zatrzymał się na ostatniej stacyi francuskiej.

Jobin, wysiadłszy wraz z towarzyszącymi sobie kolegami, udał się do komisarza policyi, który w przekonaniu, że sąd paryski niezwłocznie rozpocznie działanie, oczekiwał na tejże stacyi przybycia agentów.

Pokazawszy upoważnienie, wydane sobie i podpisane przez sędziego śledczego, zapytał Jobin, w jaki sposób dokonano przyaresztowania?

— W sposób najprostszy—odrzekł komisarz—bez hałasu i skandalu, wszystko zrobiło się gładko i szybko. Zaledwie kilku podróżnych zwróciło uwagę na to co zaszło. Wicehrabia de Presles i baronowa Worms znajdowali się sami, w oddzielnym przedziale wagonu. Zadziwiająca dokładność nadesłanych rysopisów, ułatwiła mi wielce zadanie, uniemożliwiając błąd wszelki w tym razie. Nadewszystko baronowa została przezemnie za pierwszym rzutem oka poznaną,

po barwie swych włosów i małem znamieniu na lewym policzku,

— Pani jesteś baronową Worms, a pan wicehrabia de Présles? — zapytałem nagle, otworzywszy drzwiczki wagonu.

Pobledli oboje i spojrzeli na mnie z obawą, lecz ani jedno, ni drugie niezaprzeczało swojej tożsamości bo z resztą wszelkie przeczenie z ich strony nie zostałoby przyjętem przezemnie.

— Któż pan? jesteś?—wyszepnął młodzieniec z lekka drżącym głosem.

— Jestem komisarzem policyi—odpowiedziałem.—Powierzono mi nader przykrą misyę, przerwania państwu podróży.

— Jakiem prawem pan mieszasz się w to?—zapytał.

„Spełniam rozkazy, nadesłane mi telegrafem z Paryża. Raczcie państwo wysiąść".

— I wysiedli?—pytał Jobin.

— Natychmiast bez żadnego oporu.

— Niepowiedziawszy ani słowa? o nic nie zapytując?

— W najzupełniejszem milczeniu.

— Znać było na nich przestrach jednakże?

— Nie, wydawali mi się tylko mocno przygnębionymi. Baronowa drżała tak silnie, że zaledwie na nogach utrzymać się zdołała. Biedna kobieta! taka powabna, tak pociągająca. Wicehrabia de Presles i on zarówno nie ma fizyognomii zbrodniarza. Mam nadzieję, iż się rozproszy ciążące na nich podejrzenie. Chodzi tu tylko o mały grzeszek miłosny, jak sądzę.

— Mylisz się pan — odparł Jobin; chodzi tu o morderstwo.

Komisarz policyi cofnął się przerażony.

— Co mówisz?—zawołał—morderstwo?

— Popełnione na osobie barona Worms przez wicehrabiego de Présles, kochanka jego żony, ze współudziałem tejże.

Tak jest niestety—kończył agent. Morderstwo wraz z kradzieżą, kilkuset tysięcy franków. Otóż o co są obwinonymi pan de Présles i baronowa.

— Ależ to straszne! — zawołał komisarz.— Ufaj że teraz ludzkim fizyognomiom. I zbrodnia ta dowiedzioną została?

— Nie śmiem odpowiedzieć twierdząco na to zapytanie — rzekł Jobin — mimo, że ciężko obciążające okoliczności gromadzą się przeciw wicehrabiemu i baronowej. Przyznaję jednak, że i te ciężko obwiniające okoliczności bywają nieraz tak zwodniczemi, jak ludzkie oblicza. Nie utrwaliłem sobie jeszcze przekonania kto spełnił tę zbrodnię. Lecz gdzież są nasi zbiegowie?

— Nie spodziewając się, że posłyszę o takiem morderstwie, a widząc że mam do czynienia z ludźmi wyższego świata, powstrzymałem się od osadzenia ich w więzieniu. Znajdują się w hotelu, tuż, obok stacyi, rozdzieleni, ma się rozumieć i strzeżeni przez żandarmów. Powiedz, czym źle postąpił?

— Bynajmniej, dobrześ pan uczynił, lecz wicehrabia de Présles miał między swemi bagażami znacznej objętości walizę, czyś pan ją zatrzymał?

— Ma się rozumieć. Waliza tu się znajduje. Jest do twego rozporządzenia również jak worek podróżny, skórzany, dość ciężki, który wicehrabia miał przewieszony na sobie.

— To najlepsze ze wszystkiego. Jak prędko odejdzie pierwszy pociąg w stronę Paryża?

— Za godzinę, minut trzydzieści pięć—odrzekł komisarz spojrzawszy na zegarek.

— Pojedziemy tym pociągiem—mówił Jobin—a teraz proszę każ mnie pan zaprowadzić do hotelu, w którym znajdują się obwinieni.

— Sam pana zaprowadzę. Po upływie kilku minut zatrzymali się obaj przed domem, dość skromnym z pozoru, oberżą raczej niż hotelem, zawierającym na parterze obszerną

jadalnię, salę bilardową i kawiarnię, na pierwszem piętrze zaś, kilka umeblowanych pokoi. Całość tego zakładu umieszczoną była *„pod patronatem ś-go Eliasza.“*

Mimo spóźnionej godziny, mnóstwo krajowców, fajczarzów, piwoszów, zapełniało kawiarnię. Rozbiegła się wieść, że miało miejsce podwójne przyaresztowanie w pociągu, przybyłym z Paryża i że żandarmi strzegą *pod ś-ym Eliaszem* ślicznego młodzieńca i młodą kobietę rzadkiej piękności, obojga ubranych po książęcemu. Ciekawi, coraz liczniej napływali do kawiarni. Nawet w dni świąt najuroczystszych właściciel zakładu nie miewał u siebie takiego natłoku gości.

Urządzenie oberży sięgało tak pierwotnych czasów, że chcąc się dostać na pierwsze piętro, trzeba było przechodzić salę, mieszczącą się na dole.

Jobin wraz z komisarzem i dwoma agentami wszedłszy do kawiarni zakrztusili się od gęstych obłoków fajecznego dymu, przepełniającego tę salę; obecni spostrzegłszy iż coś niezwykłego dziać się poczyna, otoczyli kołem nowoprzybyłych, tamując im drogę, a niektórzy ażeby lepiej wiedzieć, powchodzili na stoły.

— Panie komisarzu—rzekł Jobin—podobne zamieszanie istnieć nie może w okolicznościach, jakie przed sobą mamy do spełnienia. Racz pan wydać rozkaz opróżnienia tej sali i poleć owym ciekawym aby wracali do swoich mieszkań coprędzej. Skoro zejdziemy z wicehrabią i baronową radbym abyśmy nie zastali tu nikogo.

Komisarz skinął na żandarmów i przy ich pomocy kawiarnia opróżnioną została.

Drewniane prostopadłe schody, prowadziły na pierwsze piętro, przecięte w całej długości korytarzem, na jaki wychodziły drzwi ponumerowane. Po prawej mieściły się parzyste numera, nieparzyste po lewej.

Duża okrągła latarnia z zakopconemi szkłami, zawieszona u sufitu, oświetlała korytarz.

Dwóch siedzących żandarmów z rękoma na pałaszach opartemi, pełnili straż przy dwojgu drzwiach naprzeciw siebie będących.

Podnieśli się, widząc nadchodzącego komisarza.

— Pani Worms zamieszkała pod numerem trzecim— rzekł tenże do Jobin'a. Pan de Présles, naprzeciw pod czwartym.

— Nic nowego? — zapytał jednego z obecnych żandarmów.

— Nic, panie komisarzu — odrzekł zapytany, salutując po wojskowemu. Więźniowie rozdzieleni nie stawiają władzy najmniejszego oporu. Panicz pod 4-tym numerem, przechadzał się po pokoju wzdłuż i wszerz, przez dwie godziny. Gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa, usiadł i nieporusza się wcale. Dama z pod numeru 3-go jest spokojną, tak że nie daje znaku życia. Sądziliśmy że śpi, a ona łkała od czasu do czasu, tak gorzko i serdecznie, że aż człowieka przenikało do głębi. W rozkazie było poleconem, ażeby ich nie pozbawiać pokarmu, przyniesiono im wieczerzę, lecz wątpię aby czegośkolwiek dotknęli.

— Panie komisarzu — rzekł Jobin — ja wejdę do baronowej.

— Chcesz, ażebym ci towarzyszył?

— Nie, wolałbym raczej wejść sam, jeżeli pan na to pozwolisz.

— Wejdź! Przedstawiasz tu sąd i prefekturę, jesteś wyłącznym panem swych działań.

Agent, ukłoniwszy się, wszedł pod numer 3-ci i przymknął drzwi za sobą, nie zamykając ich jednak zupełnie.

Świeca płonąca po nad kominkiem w mosiężnym lichtarzu, oświetlała słabo ów pokój. nader skromnie umeblowany. Baronowa siedziała zwrócona do drzwi plecami, a wsparłszy obie ręce na stoliku, zakrywała twarz niemi.

Obok na talerzach, stało nietknięte jedzenie,

Na łóżku leżał rzucony kapelusz podróżny i wielki szal

indyjski, o którym przy określeniu ubioru swej pani wspominała Hortensya. Obcisły stanik czarnej jedwabnej sukni uwydatniał kształtne kontury postaci młodej kobiety. Rozrzucone sploty jej popielatych włosów rozsypywały się w nieładzie po ramionach, zwiększając jej piękność.

Baronowa siedziała do tego stopnia nieruchomie, iż sądzić można było że usnęła.

Na szmer źle spojonych desek podłogi, jakie zatrzeszczały pod butami Jobin'a, obróciła się nagle a spostrzegłszy stojącego w pobliżu młodego mężczyznę w postawie pełnej poszanowania, składającego jej ukłon, podniosła się i odkłoniwszy z lekka, oczekiwała na rozpoczęcie rozmowy.

XI.

Na kilka godzin przed tem, jak przypominają sobie czytelnicy, Jobin, z natężoną uwagą śledził portret baronowej, umieszczony w jej sypialni i odfotografował go, że tak powiemy, w najdrobniejszych szczegółach w swojej pamięci:

Obecnie, spostrzegłszy stojący naprzeciw siebie oryginał tego portretu, wpatrywał się weń ciekawie, stwierdzając zadziwiające podobieństwo malowidła i modelu, zdumiewając się, ażeby jeden dzień troski i boleści mógł sprawić podobne spustoszenie na owej młodej, tak wielce powabnej postaci.

Były to też same czyste, regularne rysy twarzy, ale zmienione, uwiędłe prawie pod naciskiem zgryzoty.

Matowa białość policzków, z lekka zabarwionych rumieńcem, zupełnie prawie zniknęła. Na przezroczysto bladej cerze twarzy, dawały się dostrzedz miejscami plamy sinawe. Na nabrzmiałych, zaczerwienionych powiekach młodej kobiety widniały czarniawe obwódki, jakby podkreślone ołówkiem. Rodzaj mgły pochodzącej z łez, bezustannie wylewanych, przyćmiewał blask jej ciemno błękitnych oczów. Purpura ust pobladła.

Stojąc nieruchoma i niema, Walerja Worms w swej czarnej sukni, z utkwionem przed siebie spojrzeniem, rozpuszczonemi włosami, zdawała się być ujawnieniem trwogi i boleści.

Pozostała mimo to piękną, lecz piękną jak męczennica, a nie obwiniona.

Nie uszło to uwagi Jobin'a, który wiedząc dobrze, że kobiety stosownie do okoliczności umieją układać fizyognomię z wyższym talentem po nad najbieglejszego aktora, był przekonanym że owa zbiegła była zbyt młodą jeszcze, aby módz zostać tak wytrawną komedyantką w podobnie groźnych okolicznościach.

— Mamże zaszczyt mówić z panią baronową Worms?— zapytał.

— Jestem w rzeczy samej baronową Worms — odpowiedziała Walerja. A pan kto jesteś?

Jobin ukłonił się powtórnie.

— Jestem agentem jednego z oddziałów Paryskiej policyi, delegowanym przez prefekta na rozkaz prokuratora Rzeczypospolitej.

Posłyszawsay wyrazy: *„agent jednego z oddziałów Paryskiej policyi, prefekt, prokurator“;* pani Worms zachwiała się tak silnie, że zmuszoną była wesprzeć się ręką o poręcz krzesła stojącego w pobliżu aby nie upaść.

Po kilku minutach, pokonawszy owo wzruszenie zapytała:

— Cóż pan chcesz odemnie?

— Mam rozkaz zawieść panią do Paryża.

— Kiedy?

— Bezzwłocznie, tej nocy.

Drżenie konwulsyjne opanowało powtórnie baronową.

— Do mego męża, nieprawdaż? wyjąknęła z przerażeniem. Ach! na imię nieba zaklinam, wszystko na świecie, wszystko! aby nie to! Przewiniłam, tak! srodze przewiniłam,

przyznaję, mimo że nie jestem tak dalece winną, jak się wydawać to może. Mój błąd jest winą w oczach świata, zbrodnią nawet może w obec prawa. Zasłużyłam na ukaranie. Niech na mnie wyrok wydadzą, niechaj mnie zamkną w więzieniu, lecz odprowadzać mnie do mego męża, oddawać mnie jemu, panie! to byłoby nazbyt okrutnem! Ach! gdybyś pan wiedział ilem wycierpiała, ulitowałbyś się nademną! Wolałabym umrzeć natychmiast, niż się ukazać przed panem Worms! Gdy nie miał mi nic do zarzucenia, byłam już wtedy tak nieszczęśliwą! a teraz gdym zawiniła przeciw niemu. Ach! on w to uwierzy, wierzyć będzie niezachwianie. Boże! co czeka mnie teraz?

Jobin zadrżał na te wyrazy.

Niepodobieństwem było, aby go oszukiwano w tyle ważnej chwili. Łzy które płynęły strumieniem z oczu pani Worms. niemogły być udanemi łzami. Widocznie owa kobieta obezwładniona, złamana boleścią, ta kobieta którą drżenie przestrachu wstrząsało od stóp do głowy, która wyciągała ku niemu swe ręce błagalnie, ona nie grała komedyi!

Agent uczuł, jak owo zwątpienie pojawiające się przed nim w pierwszych chwilach śledztwa owładać nim powtórnie zaczęło.

Baronowa nie była winną tej zbrodni. Nie wiedziała nawet że morderstwo spełnione zostało. Wierzy w to, że jej mąż żyje. Przekonanie to utrwalało się w umyśle agenta, wszak nic na jego twarzy odgadnąć myśli tego człowieka nie dozwalało.

— Widzę, że pan baron—zaczął po chwili, wzbudza głęboki wstręt w pani?

— Tak, nienawidzę go! to prawda.

— Masz pani zapewne ważne powody do uskarżania się na niego?

— Ja się nie uskarżam, uważałabym to za zbyt niegodne dla siebie i żałuję, że okrzyk rozpaczy wybiegł pomimowolnie z ust moich. Posłyszawszy, że pan chcesz mnie odprowadzić

do domu mojego męża, nie byłam w stanie zapanować nad sobą!

— Niemam prawa badania pani więcej—odrzekł Jobin, —lecz widzę, że pani jesteś bardzo nieszczęśliwą! Niewidziałaś więc pani, że wtedy, gdy wspólne pożycie nie do zniesienia ciężkim się staje, jest sposób uchronienia się odeń. Istnieją środki prawne, legalne.

— Jakie?

— Dajmy na to seperacya sądowa...

— Separacya—zawołała pani Worms—a! mój mąż nigdy by się na to nie zgodził! Znam go ja dobrze i dla tego to uciec postanowiłam. Nie udało mi się to obecnie, śmierć tylko może rozkruszyć me więzy!...

— Śmierć barona Worms, nieprawdaż?—zapytał Jobin, wlepiając nieruchomie wzrok w baronową, jedno z tych spojrzeń, przenikających do głębi duszy.

— Nie ja mówię o śmierci—odpowiedziała młoda kobieta. Niech mnie Bóg uchowa pomimo wszystko com wycierpiała, bym miała życzyć nieszczęścia człowiekowi, którego noszę nazwisko...

Odpowiedź tę wygłosiła z takim oddźwiękiem szczerości, że Jobin uczuł się być do głębi wzruszonym.

— Powiedziałaś mi, pani—rzekł po krótkim przestanke, że pan baron nie zezwoliłby na rozłączenie?

— Tak, jestem tego pewną.

— Jak sądzić więc mogłaś pani, że po ucieczce ścigać cię nie będzie?

— Panie — przysięgam, że ani na jedną chwilę nie postawiłam sobie tego zapytania, lecz spodziewałam się, że, stanąwszy na obcej ziemi, zatracę ślad wszelki za sobą, żyjąc w ukryciu, pod zmienionem nazwiskiem. Zamierzyłam podróżować wiele, szukać długo miejsca, za nim wybiorę dla siebie schronienie, w którembym zniknęła na zawsze!

— Ależ to drogo kosztuje taka koczownicza egzystencya

—mówił agent. Wicehrabia de Présles bogatym być musi bezwątpienia...

Fala krwi uderzyła z serca na twarz baronowej i okryła ją rumieńcem.

— Nie wiem—odpowiedziała — to mnie nie obchodzi! Pan de Présles ofiarował mi tylko swoje usługi i poświęcenie. Nic więcej od niego bym nieprzyjęła, on dobrze wie o tem.

— Zatem pani musisz posiadać osobiste znaczne środki pieniężne? Gdy się opuszcza swój kraj bez nadziei powrotu, zabiera się z sobą natenczas zwykle grube sumy!

— Zabrałam to, panie — odpowiedziała, wskazując leżącą na krześle skromną torbę podróżną, o jakiej Hortensya mówiła sędziemu śledczemu.

Tu, nacisnąwszy sprężynę, wyjęła z torby kilka pudełek z klejnotami, jakie otworzyła. Były tam różne garnitury biżuteryi, brylanty, perły, rubiny wielkiej wartości,

— Ach! te przeklęte klejnoty!—zawołała. Miałam je prawo zachować, są one wyłączną moją własnością. Pan Worms umieścił je w koszyczku narzeczonej, jaki mi ofiarował w wigilię owych nieszczęśliwych zaślubin. Zapisane są one w kontrakcie, więc mogę niemi rozporządzać dowolnie. Tenże sam kontrakt przyznaje mi na własność sumę trzysta tysięcy franków, lecz niechcę się o to upominać. Nie niechcę, o nic się nigdy nie zgłoszę.

— Dla czego? Może owe trzysta tysięcy franków stanowiły posag pani?

— Nie. Byłam ubogą, zupełnie ubogą! Nic nie wniosłam, jak tylko samą siebie niestety!

— Lecz baron Worms, przyznawszy pani te trzysta tysięcy franków, okazał wielką wspaniałomyślność, wysoką szlachetność charakteru.

— Tak, masz pan słuszność — wyszepnęła Walerya, opuszczając głowę—był on szczodrobliwym,

— Racz mnie pani posłuchać—zaczął po chwili Jobin— i zechciej się czemśkolwiek posilić. Będziesz pani potrzebo-

wała wiele siły do zniesienia oczekujących panią utrudzeń. Za godzinę odjedziemy.

— Do Paryża? —powtórzyła baronowa ze drżeniem.

— Tak, pani, do Paryża. Wydano mi polecenia, jakie spełnić muszę.

— Niech i tak będzie, poddaję się temu—odpowiedziała— —skoro inaczej być nie może. Wiem jednak, że istnieje dom jakiś, w którym zamykają dopóki spradwiedliwość nie wyda wyroku, kobiety, mnie podobne, winne z pozoru, które zapominały o swoich obowiązkach. Jakkolwiekbądź srogiem i smutnem byłoby życie w tym domu, błagam jak o łaskę zaprowadź mnie pan tam. Wszak to od pana zależy, nieprawdaż?

— Nie pani. Jestem niczem mięcej, jak tylko posłusznem narzędziem odbieram rozkaz jak żołnierz i jak żołnierz go wypełniam. Jutro, czyli raczej dziś jeszcze, bo już jest po-północy, staniesz pani przed urzędnikiem, który rozstrzygnie o pani losach.

— Czy ów urzędnik będzie na mnie oczekiwał przed mojem widzeniem się z mężem i w nieobecności tegoż?—zapytała baronowa,

— Bezwątpienia!

— A więc, opowiem mu wszystko, on ulituje się nademną. Dobrze pan mówisz. Potrzeba zebrać mi siły. Usłucham pana.

Tu wzięła kawałek chleba z mięsem z talerza

— Wdzięcznym pani jestem za przyjęcie mej rady— rzekł, kłaniając się Jobin. Za chwilę przyjdę po panią.

I zwrócił się ku drzwiom.

— Jeszcze słowo—wyrzekła pani Worms.

Agent powrócił.

— Wydajesz mi się pan być dobrym człowiekiem—zaczęła Walerja — zechcesz więc może pomimo całego rygoru odpowiedzieć na jedno moje zapytanie.

— Jeśli tylko będę mógł uczynić to bez narażenia się władzy.

— Powiedz mi pan więc, proszę. Pan de Présles w niczem tu nieprzewinił. Jest on wolnym, nieprawdaż?

— Z przykrością zmuszony jestem oznajmić, iż znajduje się on w tej samej, jak pani sytuacyi.

— Uwięziony dla mnie, z mojej przyczyny?—zawołała pani Worms, załamując ręce—Boże, mój Boże. Ileż kosztować go będzie to jego szlachetne dla mnie poświęcenie. Pozwól mi pan przynajmniej z nim pomówić.

— Nie mogę, wszelka rozmowa powiędzy panią, panem de Présles jest najsurowiej wzbronioną!

— Jakto? nawet w pańskiej obecności? Chciałabym mu powiedzieć tylko jedno słowo, jedno, jedyne, które pan słyszeć będziesz.

— Nie nalegaj, pani—przerwał agent. To, o co pani prosisz jest niepodobieństwem, postawiłoby mnie to w konieczności nie wypełnienia rozkazu, który ściśle wykonać jestem obowiązany.

To mówiąc Jobin ukłonił się i wyszedł.

Komisarz, oczekujący w korytarzu pytał go ciekawie:

— No i cóż?—dowiedziałeś się czego? Wyznała ci coś ta młoda dama?

— Poważam się zwrócić uwagę pana komisarza—rzekł agent—iż nie upoważniono mnie do prowadzenia żadnych badań. Czynność moja ogranicza się na przedwstępnem zwykłem sądowem postępowaniu. Wspomniona więc sprawa ani na krok się nie posunęła. Pozwól mi pan pójść teraz do pana Presles.

Jobin wszedł do pokoju pod numer 4-ty.

Gilbert de Présles, jak o tem mówił żandarm, przebiegając gorączkowo pokój przez czas długi, rzucił się wreszcie na krzesło znużony. Skoro wszedł Jobin, podniósł się i zbliżył ku niemu.

Słyszeliśmy, gdy kamerdyner pana Worms opisał go w następujący sposób sędziemu śledczemu:

„Piękny młodzieniec. Wyraz elegancyi i szyku. Dwadzieścia sześć lub siedm lat, najwyżej. Wysoki, szczupły, ciemny blondyn; włosy krótko przycięte; oczy szare! Wąsy blond długie, bez faworytów. Mała blizna na prawym policzku, pochodząca od zacięcia szpadą w pojedynku.“

Wszystko to, z wyjątkiem ma się rozumieć maleńkiej zaledwie dającej dostrzedz się blizny, tworzyło całość powabną, pełną dystynkcyi.

Możnaby było zarzucić jedynie Gilbertowi de Présles, iż wie za nadto o swej urodzie, w chwili jednakże, w jakiej go przedstawiamy czytelnikom, w jego zachowaniu się nie było śladu owej zarozumiałości.

Bladość jego policzków, tworzyła sprzeczność z ponurym blaskiem spojrzenia.

— Panie—zawołał, zbliżając się do Jobin'a—od wielu godzin, od pierwszej chwili mego niewyjaśnionego przyaresztowania, spotykam ludzi, którzy nie wiedzą, lub niechcą mi nic powiedzieć. Jeżeli pan coś wiesz, powiedz mi proszę, za co i dla czego uwięziony zostałem?

XII.

Jobin utkwił w obliczu pana des Présles toż samo badawcze spojrzenie, za pomocą którego poprzednio pragnął wniknąć w głąb duszy baronowej.

Wicehrabia nie spuścił wzroku.

— Zapytujesz mnie pan o powód przyaresztowania?— rzekł zwolna agent.

— Tak...

— Zdaje mi się, iż lepiej niż kiedykolwiekbądź inny pan znać to winieneś?

— Przysięgam na honor, nic niewiem.

— Na honor, doprawdy?—odparł Jobin z ironją.

— Ach!—zawołał Gilbert, pan mi nie wierzysz?

— Tak jest, nie wierzę!...

Usłyszawszy owo, tyle ubliżające sobie zaprzeczenie, pan de Présles zawrzał gniewem, zapomniawszy o swej sytuacyi. Oburzył się w nim człowiek z wyższego świata. Oczy mu się zaiskrzyły.

— Panie! — zawołał z groźbą, podchodząc do agenta, stojącego nieruchomie—panie, powtarzam strzeż się pan!

— Radzę panu mówić mniej głośno—odparł Jobin.

Wicehrabia, wspomniawszy na otaczające go okoliczności, nieco się uspokoił.

— Któż pan jesteś?—zapytał wyniośle, mierząc wzrokiem przybyłego.

— Jestem agentem paryskiej prefektury...

— A!...

Wymówiwszy pogardliwym tonem tę monosylabę, pan de Présles usiadł, zwróciwszy się plecami do mówiącego.

Nastąpiła chwila milczenia.

Jobin patrzył z rodzajem politowania na tego pięknego młodzieńca, którego całe zachowanie się znamionowało w nim człowieka z wyższych sfer społeczeństwa.

— Czyż w taki sposób przedstawia się winny?—zapytywał sam siebie.—Jeśli on rzeczywiście zabił barona Worms, jest mistrzem w sztuce udawania.

Wicehrabia zarówno sobie powtarzał.

— Jestem pozostawiony łasce i nie łasce tego agenta, jeżeli go urażę pogardą, zemścić się może, nie tylko na mnie ale i na baronowej. Należy go oszczędzać zarówno dla siebie, jako i przez wzgląd na nią.

Powstawszy z krzesła, zwrócił się do Jobina.

— Upewniałem pana przed chwilą—zaczął spokojnym tonem—że niewiem powodu mego przyaresztowania; jest to najczystszą prawdą, niepodobna mi nawet przypuścić, ażeby pan Worms, powiadomiony niepojmuję jakim sposobem o mej obecności w pociągu, którym jechała jego żona, mógł sądzić iż było to rzeczą naprzód uplanowaną i ztąd aby mógł wnieść

skargę przeciw nam obojgu? Podobne przypuszczenie byłoby tak dla mnie jako i baronowej ciężką obelgą!...

— Jestżeś pan pewnym zarówno—odparł Jobin—że traf o jakim pan mówisz, sprowadził pana wraz z panią Worms o północy do *hotelu Brabant*, jadących w jednym powozie?

— Ach!—zawołał Gilbert z głosem, pełnym rozpaczy—i o tem więc także pana Worms doniesiono? Zatem ta nieszczęśliwa kobieta jest zgubioną!... A jednak przysięgam panu na moją duszę, że ona nie jest winną. Ach! ten Niemiec, on będzie dla niej bez litości!...

— Przyznasz pan jednak, że niewinność pani Worms w podobnych okolicznościach—wyrzekł z uśmiechem Jobin—musi wydać się jej mężowi podejrzaną...

— E! — odparł wicehrabia, pozory często mylą, pan o tem wiesz najlepiej, śledząc zbrodnie różnego rodzaju. Zresztą gdyby baron uważał się być obrażonym przezemnie, jestem na jego rozkazy. Niechaj mnie zabije, jeżeli pragnie krwi dla zmycia plamy, wytworzonej w jego wyobraźni, lecz niech nie zobelża swej żony, bo ona nieprzeżyłaby podobnie skandalicznego procesu.

— Ha!—wyszepnął Jobin, o tyle jednak głośno, że został posłyszanym przez pana de Prèsles—gdyby tu rzeczywiście chodziło tylko o proste uwiedzenie żony...

Wicehrabia spojrzał z zdumieniem.

— Gdyby chodziło o proste uwiedzenie? — powtórzył, jest więc jeszcze coś innego? Co, co takiego. Mów proszę!

— A kasa otwarta, zrabowana, zniknione banknoty, jestże to niczem, drobnostką, pan sądzisz?

— Spełniono więc kradzież?—zawołał de Présles.

— Więcej niż na czterysta pięćdziesiąt tysięcy franków. Piękna summa, nieprawdaż?

— I ja jestem posądzony o ową kradzież? Jestem przytrzymany jak złodziej?

— A o cóż innego mógłbyś pan być oskarżonym i za co przyaresztowanym?

Okrzyk przerażenia wybiegł z piersi Gilberta de Présles. Oblał się rumieńcem, a potem zbladł i, zachwiawszy się, jak uderzony nagłym ciosem w głowę, omal nie upadł na ziemię.

Jobin podbiegł, aby go podtrzymać. Nie było potrzeby. Nastąpiła natychmiastowa reakcya. Wicehrabia odzyskał krew zimną, podniósł głowę z dziwnym uśmiechem i rzekł:

— Nie! to nazbyt głupie, bezsensowne przypuszczenie. Chybia się celu, gdy się przechodzi po za granicę prostego rozumu. Baron zaślepiony w swej nienawiści, pragnie mnie skalać, znieważyć. Niech pomni jednak, że hańba ta spadnie na jego własną głowę!...

— Cóż pan więc sądzisz? — zapytał Jobin osłupiały na powyższe wyrazy wicehrabiego,

— Sądzę, że pan Worms, okradł sam siebie, by mieć zasadę do rzucenia na mnie oskarżenia. Jestem wszelako spokojny. Sprawiedliwość wyświetli ową nikczemność. Cóż pan teraz z nami uczynić zamierzasz?

— Zawiozę państwa do Paryża.

— Ja prędko?

— Za chwilę.

— Tem lepiej. Radbym jak najspieszniej znaleść się w obecności sędziego, prowadzącego tę sprawę. Czy mogę pomówić z panią Worms?

— Niepodobna.

— Mamy więc oddzielnie podróżować?

— Tak, w dwóch oddzielnych wagonach, a przed wyjazdem pozostaje mi jeszcze przykry obowiązek do spełnienia.

— Jaki?—pytał de Présles.

— Upewnić się muszę, czy pan nie masz jakiej broni, przy sobie ukrytej.

Wicehrabia rzucił się gniewnie.

— To znaczy, że pan chcesz mnie zrewidować—zapytał głucho.

— Jest to koniecznem, niezbędnem...

— Poczynaj więc pan.

Agent przesunął z lekka rękami po ubiorze młodzieńca i nie znalazł nic podejrzanego.

— Dwóch moich podwładnych, będą panu towarzyszyli w podróży—wyrzekł po chwili—mam nadzieję iż na brak grzeczności z ich strony pan się uskarżać nie będziesz. Ale ostrzegam pana, nie zadawaj im żadnych zapytań, ponieważ otrzymali najściślejszy rozkaz unikania rozmowy. Dodam zarówno, iż wszelkie usiłowania z pańskiej strony, w celu wyswobodzenia się z pod nadzoru, byłyby daremnemi i mogłyby tylko pogorszyć pańskie położenie.

Pan de Présles na to wszystko wzruszył ramionami i Jobin wyszedł z pokoju najmocniej przekonany, że wicehrabia nie zabił barona Worms; wszak jednocześnie zapytywał siebie, w jaki sposób mógłby dowieść niewinności jego w tej zbrodni, jeżeli rzeczywiście jej nie popełnił?

Daremnie szukał punktu, rozstrzygającego ową zagadkę.

Komisarz powiadomił go, że czas już udać się na stacyę, aby zdążyć na pociąg, jadący do Paryża.

Jobin wyszedł pierwszy z hotelu *pod ś-tym Eliaszem* wraz z panią Worms, która przygnębiona trwogą i zgryzotą, zmuszoną była wesprzeć się na jego ramieniu by przebyć przestrzeń kilkudziesięciu kroków. Następnie wyszedł wicehrabia, eskortowany przez dwóch policyantów, a po za niemi nieco w oddaleniu i przez dwóch żandarmów.

Kazano mu czekać na platformie.

Naprożno szukał wzrokiem baronowej, nie spostrzegł jej wcale. Jobin ją zaprowadził do biura, zawiadującego stacyą, by uchronić tę młodą kobietę przed wzrokiem ciekawych.

Pociąg nadjechał, lecz w żadnym z przedziałów miejsca wolnego znaleść nie było można, dodano więc wagon na żądadanie komisarza policyi.

Pan de Présles zajął miejsce w pierwszym przedziale,

wraz z agentami. Jobin, zaprowadził baronową do drugiego i usiadł naprzeciw niej.

Przy słabem świetle lampki, zawieszonej u góry, niemógł dojrzeć jej twarzy, przysłoniętej gęstą woalką, lecz całe jej zachowanie się wyrażało tak głęboką rozpacz, że uczuł prawdziwą litość dla nieszczęśliwej.

Przez całą drogę pani Worms płakała bezustannie, a Jobin, jak dramaturg, przygotowujący scenaryusz sztuki, w której intryga wzmagać się poczyna, układał sobie w myślach wytyczne punkta przeciwśledztwa, jakie postanowił rozpocząć na własny rachunek, nie zależnie od prowadzonego przez pana Boulleau-Duvernet.

Przybyli wreszcie do Paryża.

Jobin wysłał depeszę do kogo należało.

Dwa fiakry na stacyi oczekiwały.

Wicehrabia z żandarmami wsiadł do jednego z nich, pani Worms z Jobin'em do drugiego i oba powozy wyruszyły w stronę Conciergerie.

Osadziwszy tu uwięzionych, nie dając sobie nawet czasu do pójścia na śniadanie, pobiegł do pałacu sprawiedliwości, gdzie się znajdują gabinety sędziów śledczych i kazał powiadomić pana Boulleau-Duvernet iż oczekuje na jego polecenia.

Sędzia nie dał długo na siebie oczekiwać i natychmiast po ukończeniu badania, w jakiem przewodniczył, kazał wprowadzić przybyłego.

— No i cóż, Jobin?—zapytał. Nieopóźniłeś się ani o minutę. Jesteś wcieloną ścisłością, to dobrze! Jakąż mi przynosisz wiadomość? Wicehrabia i baronowa pod pierwszem wrażeniem tak niespodziewanego przyaresztowania, wyznali zapewne swą zbrodnię?

— Nie, panie sędzio, nic nie wyznali, nawet grzechu uwiedzenia, czemu pani Worms zaprzecza najusilniej.

— Jakież było ich zachowanie się?

— Jak bywa ludzi uczciwych, oskarżonych niesprawiedliwie.

Tu opowiedział w krótkości sędziemu znane nam już szczegóły.

Gdy skończył, pan Boulleau-Duvernet potrząsnął głową wołając:

— Tam do pioruna! z nielada jak widzę silnymi przeciwnikami walczyć nam przyjdzie.

— Panie sędzio—zaczął nieśmiało Jobin—nie wiem doprawdy jak mam wyrazić moje przekonanie, lecz zdaje mi się, że ztąd pochodzi ta ich siła ponieważ ostatni są niewinnymi.

Boulleau-Duvernet cofnął się nagle.

— Co, co?—zawołał, co mówisz?

Jobin powtórzył poprzednio wyrzeczone słowa.

— Ależ to szaleństwo! — rzekł sędzia. Posiadamy przeciwko nim całe stosy dowodów! Wszystko ich obwinia, tak wszystko!...

— Wiem o tem.

— A więc?

— A więc, dla tego to właśnie powtarzam raz jeszcze, jestem najmocniej przekonanym, że nie są winnymi.

XIII.

Pan Boulleau-Duvernet wzruszył ramionami.

— Miej się na baczności, Jobin, ostrzegam—wyrzekł poważnie. Agent policyjny winien przedewszystkiem unikać złudzeń i paradoksów. Widzę że stoisz na fałszywej drodze. Chcesz przeczyć oczewistości, o jakiej człowiek ze zdrowemi zmysłami nie może wątpić na chwilę.

— Lecz panie sędzio—zaczął Jobin.

— Dość! — przerwał tenże surowo. Nie mam ni czasu, ni chęci do dyskutowania z tobą. Zostałeś owładnionym, jak dziecko przez ludzi, których w ciągu dziesięciu minut znaglą do wyznania zbrodni. Gdzie jest waliza pana de Présles?

— W sądowej kancelaryi.

— Cóż się w niej znajduje?

— Woreczek z biżuteryą baronowej i torba podróżna wicehrabiego.

— Cóż jest w tej torbie?

— Nie wiem. Jest na klucz zamknięta, a ponieważ zabraną została panu de Prèsles w chwili jego przyaresztowania, sądziłem, iż nie należy mi jej otwierać, aż w obecności pana sędziego.

— Przynieś te przedmioty i złóż je na mojem biurku. Powiedz mi od jak dawna zostali oboje zaaresztowani i czy nie porozumiewali się z sobą, jakiem cię o to upominał?

— Nie zamienili z sobą ani jednego wyrazu.

— Dobrze!—Idź do Conciergerie i rozkaż w mojem imieniu aby mi natychmiast dostawiono wicehrabiego de Présles, a sam zaczekaj na dalsze moje polecenia. Możesz mi być potrzebnym lada chwila.

Jobin niezadowolony, iż go tak źle zrozumiano, ukłonił się i wyszedł.

W dziesięć minut później Gilbert de Présles wszedł do gabinetu pana Boulleau-Duvernet.

Był to obszerny pokój, wyklejony zielonem papierowem obiciem, w pośrodku którego stało wielkie biurko, zapełnione aktami, fotel dla sędziego, krzesło dla pisarza i z boku dwie ławki pod ścianą.

Trudno sobie wyobrazić coś nędzniejszego, nad owe wszystkie podobne do siebie te gabinety, które obok pospolitego wyglądu ponure sprawiają wrażenie, skoro się wspomni, że sprawiedliwość ludzka przygotowuje tu wyroki, jakich ostatnim wyrazem bywa niejednokotnie rusztowanie.

Ile wycierpiał pan de Présles, wiedziony jak kryminalista przez żandarmów wśród labiryntu krętych korytarzów, przechodząc schody, na których spotykał adwokatów, patrzących z zaciekawieniem na jego postać dystyngowaną, a nade-

wszystko idąc wzdłuż galeryi, napełnionej ludźmi z jakich niektórzy znali go być może?

Niewysłowiona boleść przygniatała mu serce, na kształt uścisku jakiejś bezlitosnej ręki. Wstyd, gniew i trwoga, wynikające z poczucia własnej bezsilności, sprawiały mu napływ krwi do głowy. Żyły na skroniach tętniły mu z niesłychaną gwałtownością, wzrok mu się przyciemniał, zdawało mu się, że czaszka się rozpęknie.

Wszedłszy do gabinetu i znalazłszy się naprzeciw sędziego, doznał znacznej ulgi.

Mógł więc nareszcie się wytłómaczyć! Pierwsze jego wyrazy rozświetlą sprawę. Przytłaczająca ta sytuacya ukończy się nareszcie. Myśląc o tem wszystkiem, oddychał swobodnie. Mgła przysłaniająca mu wzrok zwolna zniknęła.

Wszedłszy, powitał sędziego, jak mu to nakazywały uczynić formy towarzyskie.

Pan Boulleau-Duvernet nie oddał mu wzajem ukłonu.

Było to ciężką obelgą, raną nadzwyczaj bolesną dla pana de Présles. W jakąż więc przepaść staczał się bezwiednie? Znalazł więc wroga przed sobą w miejscu spodziewanego wybawcy?

Serce, oswobodzone chwilowo, powtórnie mu się ścisnęło.

Sędzia, wskazawszy ręką krzesło, stojące przed biurkiem, rzekł:

— Usiądź pan!...

Gilbert spełnił polecenie.

— Panie — zaczął głosem, jakiemu napróżno dźwięk zwykły udać usiłował—ajent policyjny, wysłany wczoraj za pańskim rozkazem dla przyaresztowania mnie, dał poznać, że ciąży na mnie haniebne podejrzenie. Oskarżony jestem o kradzież! Zachodzi tu, panie, jakaś przerażająca pomyłka, jakieś straszliwe nieporozumienie. Spieszę usprawiedliwić się z tyle niepodobnego zarzutu co najrychlej!...

— Proszę zaczekać na zapytania—przerwał oschle sę-

dzia. Panie pisarzu, pisz pan—dodał, zwracając się do siedzącego urzędnika.

Wicehrabia opuścił głowę w milczeniu.

Wróg to wyraźny—pomyślał. Jestem zgubiony!

Po chwili Boulleau-Duvernet rozpoczął badanie.

— Pańskie nazwisko?—zapytał.

— Gilbert, Ireneusz, wicehrabia de Présles.

— Wiek?

— Lat dwadzieścia siedm.

— Jesteś pan żonatym?

— Nie, kawalerem.

— Gdzie pan się rodziłeś?

— W zamku de Présles, w Pikardyi.

— Zamek ten należy do pana?

— Został sprzedany przed piętnastoma laty, z chwilą nastąpionej likwidacyi interesów.

— Gdzie pan mieszkasz?

— W Paryżu, przy ulicy Neuve des Mathurins Nr. 21.

— Czem się dotąd zajmowałoś?

— Uczęszczałem na kursa prawa i zdałem egzamina. Jestem adwokatem.

Nie jesteś pan jednak zapisanym na tablicy porządkowej?

— Nie jestem i nigdy nie byłem.

— Cóż pan więc robisz?

— Nic.

— Jesteś bezczynnym. Musisz więc pan posiadać majątek?

— Bardzo mały. Mój ojciec stracił wszystko prawie na nieszczęśliwych spekulacyach. Odziedziczyłem tylko pięćdziesiąt tysiecy franków.

— To daje dwa tysiące pięćset liwrów renty. Z tak szczupłym funduszem trudno prowadzić światowe życie, jakie pan prowadzisz...

— Jeden z bliskich krewnych, mój wuj, markiz de Fa-

verne, przychodzi mi z pomocą, wypłacając roczną pensyę w ilości tysiąca talarów.

— Lecz czyż te pięć tysięcy pięćset franków wystarczają panu na konieczne potrzeby życia i koszta elegankiego pańskiego ubrania?

— Mam wiele znajomości pośród wyższego świata. Grywam szczęśliwie w wista.

— A! pieniądze z gry. I pan je rachujesz pomiędzy swoje dochody?

— Dla czego nie?

Nastąpiła chwila milczenia, poczem sędzia śledczy, patrząc w oczy panu de Présles, rzekł nagle:

— Pan jesteś kochankiem pani Worms?

Gilbert drgnął i zaczerwienił się:

— Nie, panie! — odparł stanowczo. Nie, po sto razy, nie! Pan znieważasz tę najuczciwszą z kobiet!

— Zaprzeczas więc pan oczywistości?

— Gdzież jest ta oczewistość? wskazać mi proszę!.. Zachowuję dla pani Worms głęboką życzliwość, poszanowanie i poświęcenie bez granic. To głośno wyznaję i szczycę się z tego, lecz niepozwolę nikomu odnajdować czegośkolwiekbądź plamiącego w moich stosunkach z tą zacną kobietą!

— Powiedz mi pan proszę — badał dalej sędzia—na czem spędziłeś onegdajszy wieczór, począwszy od jedenastej godziny? Uprzedzam pana, by ci oszczędzić bezużytecznych wybiegów, że szczegółowe spędzanie przez ciebie tego czasu, wiem co do minuty.

— Dla czego więc pytasz mnie pan o to?

— Nie przybyłeś pan tu ażeby mnie badać, lecz aby odpowiadać—zawołał groźnie sędzia. Odpowiadaj więc!

Nigdy cięższa troska, jak w chwili obecnej nie przytłoczyła Gilberta. Każdy z wymówionych przezeń wyrazów będzie oskarżeniem, wymierzonem przeciw baronowej, zrozumiał to dobrze, a jednak mówić było potrzeba, ponieważ milczenie bardziej by ją jeszcze potępiło.

De Présles drżał cały. Krople zimnego potu spływały mu po czole.

— Czekam—powtórzył sędzia.

— A za tem, panie — wyjąknął wicehrabia—przybyłem w powozie, nieco przed północą, do furtki ogrodowej, znajdującej się po za pałacem barona Worms. Wszedłem do tego ogrodu...

— Tą furtką, naturalnie?

— Tak, panie.

— Miałeś pan klucz od tych drzwi?

— Miałem go—odparł Gilbert zaledwie dosłyszanym głosem.

— Otrzymałeś go od baronowej, ma się rozumieć, a ten klucz otwierał ci nie tylko ogród, ale i dom cały i sypialnię żony bankiera.

— Fałsz! — zawołał Gilbert. Nigdy ani razu, przysięgam nie przestąpiłem w nocy progów tego pałacu.

— Zatem, pan twierdzisz, że twoje nocne schadzki z panią Worms miały miejsce w ogrodzie?

— Tak panie, z różnicą, że to, co pan nazywasz schadzką, było tylko poufną pogadanką, trwającą kilka minut zaledwie.

— Powróćmy jednak do onegdajszego wieczora, zaczął sędzia. O północy znajdujesz się pan w ogrodzie. Baronowa przychodzi aby połączyć się z panem, wszakże tak?

— Tak, panie.

— Cóż potem nastąpiło?

— Odprowadziłem panią Worms do powozu, który nas zawiózł do „*Hotelu Brabant*“ gdzie wziąłem dwa pokoje. Baronowa noc przepędziła w jednym z tychże, a z rana wsiedliśmy razem na pociąg, jadący do Brukselli.

— Tym sposobem uwiozłeś pan żonę bankierowi i utrzymujesz, że pomiędzy tobą a tą kobietą istniały jedynie przyjacielsko braterskie stosunki...

— Utrzymuję, ponieważ jest to prawdą.

— Dla czego więc ją pan uwiozłeś?

— Ażeby ją wyswobodzić z opłakanej egzystencyi, narzuconej jej przez męża, w jakiej pomimo całej bohaterskiej odwagi wytrwać dłużej nie była w stanie.

— Zatem pan Worms unieszczęśliwiał swą żonę?

— Tak, panie.

— W jaki sposób?

— Wszelkiemi jakie istnieją sposobami. Upokarzał ją z przerażającem okrucieństwem, wyrzucał jej w najbardziej gminnych wyrazach, że ją zbogacił, zaślubiając. Utrzymywał stosunki z kobietami najniższej kategoryi i do tego stopnia posuwał swoją bezczelność, że te shańbione istoty sprowadzał w głąb małżeńskiego domostwa.

— Stawiasz pan ważne dowody, w rzeczy samej—rzekł Boulleau-Duvernet —ale jak dotąd nie zostały one potwierdzonemi.

— Są to fakta publicznie znane — odparł Gilbert de Présles. Skandale, o jakich mówię, po kilkakrotnie się powtarzały. Sam nawet byłem świadkiem jednego z podobnych.

— Dobrze. Śledztwo to wykaże. Według słów pańskich, odegrywałeś pan rolę bezinteresownego pocieszyciela pani Worms?

— Tak panie.

— Trudno uwierzyć ażeby człowiek, tak jak pan młody, nie uczuł dla tyle pięknej i nieszczęśliwej kobiety głębszego uczucia po nad prostą przyjaźń.

— Nie analizowałem tego, co się we mnie działo—rzekł wicehrabia. Wiedziałem tylko, że mój najwyższy szacunek dla baronowej dorównywał mej dla niej życzliwości i poświęceniu bez granic. Oto wszystko, panie!...

XIV.

— Jakie pan miałeś nadal zamiary, gdyby ci się udało dostać na obczyznę?—badał dalej sędzia.

— Postanowiłem podróżować z panią Worms, oboje pod przybranemi nazwiskami, a podróżować tak długo, dopóki wszelkie ślady za nami zatraconemi by nie zostały, a następnie, umieściwszy baronową w jakiem odosobnionem schronieniu, poświęcić dla niej me życie.

— Niezmiennie w sposób platoniczny?

— Tak, panie. Obecnie wydaje się to panu być nieprawdopodobnem, skoro jednak poznasz pan tę, o której mówiemy, łatwo zrozumiesz, o ile czystem być może uczucie, przez nią wzbudzone!...

— Mówiłeś pan o długich podróżach i o jakiejś w ukryciu tajemniczej egzystencyi. Czy jednak można się puszczać daleko z kilkoma tysiącami franków? jakiemi pan rozporządzałeś?

— Pani Worms zabrała z sobą klejnoty wysokiej wartości, łatwe do spieniężenia!...

— A! zatem pan postanowiłeś żyć z osobistych dochodów baronowej?...

Żywy rumieniec oblał purpurą blade policzki wicehrabiego.

— Panie—zawołał—cóż uczyniłem, byś mnie traktował w podobnie sponiżający sposób. Być na koszcie kobiety! Jakiem prawem posądzasz mnie pan o taką nikczemność?

— Odpowiadać proszę! — zaczął surowo Boulleau-Duvernet, na jakie źródla dochodu pan rachowałeś?

— Miałem swe własne pieniądze...

— Ile?

— Blisko pięćdziesiąt tysięcy franków.

— Gdzie są te pieniądze?

— W mojej torbie podróżnej, jaką mi zabrano w chwili przyaresztowania.

Sędzia zdjął z biurka torebkę skórzaną, na maleńki zamek zamkniętą i podał ją wicehrabiemu.

— Oto przedmiot, o którym mówimy—rzekł. Proszę ją otworzyć.

Pan dé Présles spełnił polecenie.

Boulleau-Duvernet wyjął z jednego przedziału torebki pakiet banknotów, a z drugiej trzy rulony złota po tysiąc franków każdy.

Przeliczył bilety, było ich czterdzieści pięć po tysiąc franków.

— Czterdzieści pięć tysięcy franków — rzekł. Jakim sposobem podobna suma znalazła się w pańskiem ręku?

— Rzecz bardzo prosta. Sprzedałem moje renty na giełdzie, przed trzema dniami.

— Agentowi wymiany?

— Tak.

— Jego nazwisko?

— Juliusz Bleury...

— Zatem w pomienionym kapitale mieści się wszystko co pan pasiadałeś, prócz udzielanego funduszu przez pańskiego krewnego?

— Tak, panie.

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Boulleau-Duvernet nagle, jak gdyby chcąc zaskoczyć z nienacka nieprzygotowanego, rzucił zapytanie:

— A cóżeś pan zrobił z temi czterystoma pięćdziesięcioma siedmioma tysiącami franków w złocie i banknotach, które zabrałeś baronowi Worms po usiłowanem zabójstwie?

Pan de Présles, usłyszawszy te słowa, zerwał się z takiem oburzeniem, iż żandarmi, stojący w kątach gabinetu, sądząc, że obwiniony chce się dopuścić jakiego gwałtownego czynu, podbiegli by go pochwycić za ramiona, wicehrabia jednak upadł na krzesło, jak człowiek, rażony piorunem.

— A więc —wyszepnął zaledwie dosłyszanym głosem—

zatem, nie tylko o kradzież, ale o zabójstwo zostałem oskarżony?!..

— Objaśnię pana w jaki sposób się to wszystko spełniło — rzekł Boulleau-Duvernet, chwytając wrażenia i treść opowiadania Jobin'a. Znalazłszy się w pałacu, w chwili wyjścia zeń z baronową, postanowiłeś pan zabrać pieniądze, jakie naówczas znajdowały się w kasie. Silne zamki i tajemnicza ich kombinacya, oparły się temu zamiarowi. Natenczas przyszła myśl panu, ażeby żelazną tę szafę otworzył sam bankier. Pan Worms nadchodził. Słyszałeś pan jak się zbliża. Byłeś pewnym, iż szmer najlżejszy mógłby zwrócić jego uwagę i znaglić go do wyjścia. Nakreśliłeś więc szybko, zmieniając charakter pisma te oto kilka wierszy.

Tu sędzia śledczy wydobył z pośród mnóstwa nagromadzonych na biurku papierów list bezimienny i przeczytał go głośno.

— Następnie ciągnął sędzia dalej—położyłeś ów list w widocznem miejscu, ukrywszy się po za jakimś sprzętem lub firanką, wstrzymując oddech, nakazując milczenie biciu własnego serca i oczekiwałeś jak tygrys pod cieniem krzaka, czyhający na swą ofiarę!

„Pan Worms wszedł, spostrzegł list bezimienny, przeczytał go, a chcąc przekonać się bezzwłocznie, otworzył kasę.

„Nadeszła chwila stanowcza. Skoczyłeś do niego, jednym ciosem noża przebiłeś i uciekłeś, obładowany jego pieniędzmi.

„Otóż ta wstrętna scena morderstwa i kradzieży, przedstawiona w najdrobniejszych szczegółach, ta scena, o której sądziłeś, iż na zawsze nieznaną pozostanie! Szczęściem, Bóg czuwa i oddaje w ręce sprawiedliwości nie gasnącą nigdy pochodnię. Cóż mi pan na to odpowiesz?

Gilbert, blady jak śmierć, nie wyrzekł ni słowa. Osłupienie i groza w posąg zmieniły go prawie. Nic w nim nie było żyjącego, prócz oczu, błędnie patrzących przed siebie.

— Milczysz pan? — zawołał Boulleau-Duvernet z oddźwiękiem tryumfu. Brak ci odwagi, ażeby zbrodni zaprzeczyć? Ha! dobrze czynisz, zachowując milczenie, żadne albowiem twe zaprzeczenie nie zdołałoby przyćmić tak jasnej prawdy. Mamy dzięki niebu ważniejsze dowody moralne, nie ulegając ewątpliwości. Posiadamy głos, o którym sądziłeś iż zaniemiał na zawsze, a który przemówi. Morderczy nóż, jakim się uzbroiłeś, źle posłużył twej drżącej dłoni. Rana, zadana przez ciebie, nie była śmiertelną! Człowiek, którego zabiłeś żyje i oskarża cię!

Pan de Présles drgnął, drgnieniem trupa, dotkniętego iskrą elektryczną potężnego stosu Wolty.

Wyraz radości zapromieniał na jego twarzy, a sędzia osłupiały tak przeciwnym rezultatem temu, jakiego oczekiwał, pytał sam siebie, czyli oskarżony nie dostał obłąkania?

— Ha!—zawołał Gilbert—baron więc żyje, widział złodzieja, widział zabójcę. Jestem ocalony!

— Mówię że ciebie oskarża — wyszepnął Boullenu-Duvernet, nieco zmieszany.

— Być może —odparł de Présles, wierzyć temu muszę, ponieważ pan mi to mówisz, ale widoczna że ma gorączkę i w niej majaczy. Co mnie to zresztą obchodzi? Nadejdzie dzień, w którym ustąpi gorączka, spokój mu wróci z pamięcią, a w tym dniu otrzymasz pan wyświetloną prawdę. Baron Worms jest złym mężem, ale nic dotąd nieprzekonało ażeby był złym człowiekiem i nawet gdyby się uczuwał być śmiertelnie obrażonym i żywił ztąd dla mnie nienawiść, bądź pan pewnym, iż niebyłby zdolnym do tak nikczemnego czynu i nie dozwoliłby sprawiedliwości posądzać o zbrodnię niewinnego człowieka. Żądam natychmiastowej konferencyi z baronem. Nie odmawiaj mi pan tej łaski! Będę się starał zbłąkaną myśl jego wrócić do przytomności. Wyjdę od niego usprawiedliwionym, oczyszczonym z haniebnego posądzenia. Ach! panie, zaklinam, nie opóźniaj tej chwili, jaką radbym okupić połową mojego życia!

Nigdy pan Boulleau-Duvernet nie uczuł się być bardziej zakłopotanym.

Baron Worms, jak o tem zapewne nie wątpią czytelnicy, umarł niestety.

Sędzia śledczy był przekonanym, że ożywiając go, zada tym sposobem stanowczy cios obwinionemu.

Wymówione przezeń wyrazy: *„Człowiek, którego zabiłeś żyje i oskarża cię!“* powinny były według niego wyrwać zbrodniarzowi wyznanie prawdy.

Skutek bezzwłoczny mógł był uwieńczyć ów zręcznie wyzyskany pomysł, gdyby Gilbert de Présles był rzeczywiście zabójcą.

Jego niewinność psuła kombinacye sędziego, a Boulleau-Duvernet, nie chcąc przypuścić uniewinnienia, rujnującego do szczętu tyle niezbitych według niego dowodów, nie mógł pojąć, ani zrozumieć zachowania się oskarżonego.

Zadumawszy chwilę, powziął postanowienie.

— Wobec trupa swojej ofiary—pomyślał—on zdradzić się musi.

— Dobrze!—zgadzam się, niechaj i tak będzie—rzekł głośno. Zezwalam na konfrontacyę, jakiej pan żądasz...

— Dzięki ci, panie, dzięki! — zawołał de Présles. — Jestem ocalony!

W kilka minut potem dwa fiakry dążyły w stronę pałacu barona Worms.

W pierwszym znajdował się sędzia śledczy z pisarzem, w drugim pan de Présles z Jobin'em i drugim agentem.

Od rana zbity tłum ludzi oczekiwał naprzeciw pałacu, mimo iż, nie było nic do widzenia, ciekawych jednak nie brak w podobnych okolicznościach.

Na rozkaz pana Boulleau-Duvernet otwarto główną bramę i oba powozy wjechały w dziedziniec pałacu, z niezadowoleniem zebranych.

Sędzia z czterema innemi osobistościami, wszedł na pierwsze piętro, rozkazawszy Jobin'owi zatrzymać pana de

Présles w przedpokoju, przyległym do mieszkania bankiera, a sam wraz z pisarzem przestąpił próg tegoż apartamentu.

Mówiliśmy powyżej, że ciało barona Worms spoczywało na łóżku, w sypialni.

Wytworne to łoże z różanego drzewa, było ozdobione porcelanowemi medalionami, na których malowane były różne romansowe sceny.

Czarna kirowa firanka, obszyta srebrnym galonem, zakrywała w obecnej chwili te malowidła. W około łoża płonęły woskowe świece, w wielkich srebrnych lichtarzach.

Oblicze zmarłego zachowało ów wyraz przerażenia i grozy, jaki zaznaczyliśmy w chwili, gdy zbrodnia odkrytą została.

Nadaremnie usiłowano zamknąć mu powieki. Skostniałość trupia opierała się temu i oczy umarłego, szeroko otwarte, o źrenicach zamglonych, bez blasku, przedstawiały coś przestraszającego.

Jedwabna chustka, założona na szyję barona, pokrywała straszną ranę, przez którą życie uleciało.

Sędzia rozkazał zagasić świece i rozsunąć czarne firanki, a przystąpiwszy do okna zapuścił wiszące po nad nim, tak, ażeby w pokoju pół mrok panował, który około łóżka zmienił się prawie w ciemność.

Ukończywszy te przygotowania, posłał pisarza po Jobin'a, któremu przyciszonym głosem dawał jakieś zlecenia.

Agent, poruszywszy głową na znak, iż zrozumiał, wyszedł z pokoju i wrócił za chwilę, prowadząc z sobą pana de Prśsles, który uczuł się być głęboką objętym trwogą, przeszedłszy nagle z żywego światła w ów zmierzch grobowy.

Boulleau-Duvernet wskazał ręką w stronę łóżka, mówiąc:

— Baron Worms jest tam. Zbliż się pan!

XV.

Pan de Présles szedł pewnym krokiem w stronę łóżka, usiłując przebić wzrokiem mrok, panujący w pokoju, z przyczyny zapuszczonych u okien firanek.

W owym ciemnym pół mroku, rysowały się niewyraźnie kształty ciała, leżącego na łóżku. Niepodobna było rozeznać rysów twarzy i jej ponurej bladości.

Gilbert po paru sekundach, zwrócił się do sędziego, zapytując z cicha:

— Zdaje mi się że śpi. Czy można go przebudzić?

Boulleau-Duvernet nic nie odpowiedział.

— Baronie! zaczął młodzieniec po chwili milczenia— posłuchaj mnie, zaklinam! Czy mnie poznajesz? To ja. Gilbert do Présles. Oskarżają mnie o podwójną zbrodnię, której wiesz, żem nie popełnił. Przychodzę z ufnością odwołać się do twego honoru i prawości charakteru.

Wymówiwszy z cicha te słowa, wicehrabia czekał ze ściśnionem sercem.

Nic nieprzerwało głębokiej ciszy w pokoju.

— Na imię nieba, baronie, odpowiedz! — mówił dalej Gilbert. Jedno słowo wymów przynajmniej, jedno, jedyne, by przekonało, że mnie słyszysz...

Sędzia śledczy skinął ręką.

Na ten znak umówiony, Jobin wraz z drugim agentem, rozsunęli nagle u okien firanki, wpuszczając strumień światła do żałobnej sypialni.

Gilbert zadrżał.

Marmurowe oblicze barona, te oczy, nieruchome szeroko otwarte, jasno świadczyły o nastąpionej śmierci.

Młodzieniec załamał ręce z wyrazem głębokiej boleści.

— Ależ on umarł—zawołał, on umarł!...

— Zabity przez ciebie — odrzekł Boulleau-Duvernet i szybkim poruszeniem, odjąwszy chustkę z szyi bankiera, dodali. Czy poznajesz tę ranę twą ręką zadaną?

Dreszcz konwulsyjny wstrząsnął Gilbertem, nie odwrócił jednak utkwionego w trupa spojrzenia i przez parę minut smutno się weń wpatrywał.

— Oto twoja ofiara! — mówił sędzia śledczy, zdziwiony tem zachowaniem się obwinionego. — Czyliż w jej obecności ośmielisz się zaprzeczać, że nie byłeś zabójcą?

— Ha!—zawołał pan de Présles—zastawiliście więc na mnie sidła! Byliście więc tak mocno przekonanymi o mojem występku, że rachowaliście, iż zdziwienie moje i przestrach wyrwie mi z piersi wyznanie tak strasznej zbrodni, na myśl o której wstręt ogarnia i groza!... Omyliliście się panowie!... Spojrzyjcie na mnie, proszę... Czy wyczytacie na mojej twarzy obawę, albo zgryzoty sumienia? Sądzicie chyba, że jestem jednym z tych zatwardziałych kryminalistów, zachowujących się spokojnie pośród krwi...

— A więc, z ręką wzniesioną nad trupem przysięgam że jestem niewinny!

To mówiąc, Gilbert przyklęknął na podłodze.

— A gdy Bóg raczył cud uczynić—ciągnął dalej—gdyby dozwolił wybiedz jednemu choć słowu z tych ust nieruchomych, potwierdziłyby one, żem niespełnił tej zbrodni!

— Zuchwałe bluźnierstwo! — zawołał Boulleau-Duvernet.

— Nie! to panie siła czystego sumienia — odrzekł, powstając wicehrabia.

Próba widocznie się nie udała.

Konfrontacya przyniosła przeciwne, wbrew oczekiwanym rezultaty, które można było uważać za przychylne dla pana de Présles.

— Wyprowadzić obwinionego — zawołał Boulleau-Duvernet.

Gilbert pochyliwszy głowę przed trupem, sam się umieścił pomiędzy dwoma agentami i wyszedł wraz z nimi z pokoju.

— Nie! nie, po sto razy nie!—mówił Jobin, schodząc głównemi schodami. Młodzieniec ów nie był sprawcą tej zbrodni! Kto jednak w takim razie? Mnie odkryć należy winowajcę i odkryję go sam, ponieważ zacny ów sędzia, pewien, że schwytał winnego, nic mi w tem nie dopomoże.

Jednocześnie Boulleau-Duvernet myślał sobie:

— Nic go nie zmieszało, nic nie wzruszyło! Ów nędznik jest bardziej zatwardziałym, niźli sądziłem. W jaki sposób przekonać go o popełnionym występku? Będzie walczył do ostatka! Jakaż zbrodnicza organizacya! Jaka energja! Jaka krew zimna! Jeden mnie tylko szczegół zdumiewa, dla czego on pozostawił ów list bezimienny w ręku trupa, a następnie, co zrobił z ukradzionemi pieniędzmi?

Ufajmy iż przy łasce Bożej śledztwo wyświetli to wszystko!

I zeszedł z pisarzem na dziedziniec.

Wieść o przybyciu sędziego śledczego z agentami rozbiegła się i po tej części pałacu, gdzie znajdowało się biuro bankierskie i pracowali urzędnicy.

Gdy Boulleau-Duvernet przechodził dziedziniec, zastąpił mu drogę jakiś wysoki szczupły mężczyzna, o bladej cerze twarzy, kędzierzawych włosach i zapytał z niemieckim akcentem:

— Pan sędzia śledczy mnie niepoznaje?

— A, pan jesteś jeśli się nie mylę kasyerem domu Worms?—odrzekł zagadniony,

— Fryderyk Müller, tak panie.

— Może mi pan przynosisz jakie wskazówki co do tej smutnej sprawy którą się zajmujemy?

— Nieszczęściem nie panie, lecz chciałbym prosić, o jedną łaskę?

— O cóż takiego?

— Zabroniłeś pan najsurowiej wchodzić, komubądźkolwiek do pokoju, w którym zbrodnia spełnioną została. Otóż w biurku, znajdującem się tamże, pozostał papier, zapełniony cyframi, rodzaj bruljonu, jaki miałem przepisać nazajutrz, a który jest mi niezbędnie potrzebnym dla poparcia i przedstawienia na czysty mej rachunkowej odpowiedzialności. Racz mi pan pozwolić zabrać ów papier...

Boulleau - Duvernet przywołał Jobin'a. Ów agent wsiadł już do fiakra z panem de Présles i drugim policyantem.

Na rozkaz sędziego wysiadł i przybiegł.

— Jobin! — rzekł tenże po odwiezieniu obwinionego do Conciergerie powrócisz tu i wprowadzisz tego pana do zamkniętego na twoje żądanie pokoju, od którego daję ci klucze. Będziesz obecnym przy poszukiwaniu przezeń papieru, potrzebnego mi do sprawdzania rachunków.

— Dobrze panie, sędzio,—rzekł sługa policyjny, odbierając klucze z uczuciem żywej radości, a zarazem wlepiając badawcze spojrzenie w kasyera, który z zupełnym spokojem ów wzrok wytrzymał.

— Będę się starał powrócić w jak najkrótszym czasie, dodał zwracając się do Fryderyka Müller i służyć będę panu.

W trzy kwandranse później, sędzia kazał wprowadzić do swego gabinetu panią Worms, której twarz blada, zaczerwienione oczy, obok łez, spływających po jej policzkach, czyniły ją stokroć piękniejszą i bardziej zajmującą, budząc pomimowolną litość w panu Boulleau-Duvernet. Opierał się jednak temu wzruszeniu, mówiąc sobie, że powierzchowna ta boleść była jedynie maską obłudy i rozpoczął natychmiast badanie.

Zapytania jego krótko trwały, przytaczamy z nich część najważniejszą.

— Nazwisko pani?—zapytał.

— Walerja Worms.

— Nazwisko rodziców?

— Langier.

— Wiek?

— Dwadzieścia jeden lat.

— Gdzie pani się rodziłaś?

— W Paryżu.

— Jak dawno jesteś zamężną?

— Od dwóch lat.

— Rodzice pani żyją?

— Nie—jestem sierotą!

— Czy pani wniosłaś baronowi Worms jaki posąg?

— Nic, panie, nawet najskromniejszej sumy. Byłam ubogą, zupełnie ubogą.

— Małżeństwo pani było więc zawartem ze skłonności?

— Tak, ze strony mojego męża, tak panie...

— Gdzie pan Worms panią poznał?

— W rodzinie pewnego znakomitego przemysłowca, dla mnie życzliwej, gdzie byłam nauczycielką córek. Miałam lat szesnaście, gdy ojciec mnie odumarł, pozostawiwszy mi jako jedyne bogactwo, bardzo wysoką edukacyę, którą zużytkowałam, obrawszy zawód nauczycielki.

— Czy pan Worms w ślubnym kontrakcie przyznał dla pani odpowiednią sumę?

Tak, trzysta tysięcy franków, a obok tego i nader cenne klejnoty.

— Postąpienie to, przyznasz pani, świadczy o wysokiej jego bezinteresowuości.

— Nie przeczę temu.

— A jednak nie kochałaś pani swojego męża.

— Uczuwałam wdzięczność dla niego ale miłości nigdy, to prawda.

— Dla czego więc go zaślubiłaś?

— Ach! panie, któraż z młodych dziewcząt mając serce wolne, a moje było wolnem natenczas, nie jest rada zamienić przykrej, zależnej sytuacyi, pełnej trosk i upokorzeń, przy ży-

ciu z dnia na dzień na tak świetną pozycyę, jaka została mi ofiarowaną? Zresztą nie znając całkiem życia, sądziłam, że moja wdzięczność dla tego człowieka może się kiedyś zamienić na w trwalsze i głębsze uczucie.

— Jak dawno pani poznałaś wicehrabiego de Présles?

Na blade lica baronowej wystąpił żywy rumieniec. Zakrywszy twarz swemi drobnemi rączętami wyszepnęła z cicha!

— Pan de Présles był jednym z domowych przyjaciół. Znałam go od chwili moich zaślubin.

— A korzystając z owej przyjaźni męża pani i ufności, jaką go tenże obdarzał, pan de Présles starał się pani przypodobać?

— To znaczy, iż stał się dla mnie jednym z najbardziej poświęcających się przyjaciół.

— Twierdzisz więc pani, że pomiędzy wicehrabią a tobą istniała tylko przyjaźń?

— Tak!—przyjaźń najczystsza, braterska, tak panie.

— A jednak miewaliście z sobą schadzki nocami?

Baronowa opuściwszy głowę, milczała.

— Trzeba odpowiedzieć—ozwał się sędzia.

— Schadzki bardzo rzadkie, bardzo krótkie i tylko w ogrodzie, nigdy u mnie w domu, nigdy!—odpowiedziała Walerya zaledwie dosłyszanym głosem.

— Wicehrabia otrzymał od pani klucz do furtki ogrodowej?

— Tak panie.

Tu nastąpiło jeszcze kilka zapytań co do klucza, jak częstemi bywały te schadzki dwojga zakochanych, ponieważ sędziemu zdawało się być niepodobnem, ażeby pan de Présles nie bywał nigdy nocą w pałacu.

— Zdaje się, iż pani masz jakieś powody do uskarżania się na swego męża?—pytał pan Boulleau-Duvernet.

— Ja się nie uskarżam — zawołała żywo Walerya. Och! nie, ja nie uskarżam się wcale! Baron, obdarzył mnie

majątkiem i świetną pozycyą. Czegóż potrzeba więcej? Na co mogłabym się uskarżać?

— Gdyby pan Worms nie popełniał ważnych błędów w pożyciu domowem, jak wtedy wytłómaczyć i usprawiedliwić ucieczkę pani?

— Ależ panie, ja niechcę jej tłómaczyć ani usprawiedliwić. Opuszczając dom mego męża, popełniłam winę, przyznaję, była to jednak wina szaleństwa, bez najmniejszej myśli o zdradzie!

— Pan de Prèsles mając pani towarzyszyć na obczyznę, musiał się odpowiednio ku temu przygotować. Jak dawno projekt podróży został ułożonym pomiędzy nim a panią?

— Na dwa dni przed jego wykonaniem.

— Zapewne obawiałaś się pani ścigania? Dla czego więc nie wyjechałaś nocnym pociągiem, co dawałoby ci możność przebycia granicy za nim zdołanoby spostrzedz twoje zniknięcie?

— Zdarzało się, iż niekiedy pan Worms przychodził do mnie około północy, wróciwszy do pałacu, tego dnia również nastąpić to mogło.

— Zapewne to pan de Présles nalegał ażeby ucieczka nastąpiła po powrocie barona domu?

— Nie panie. Wicehrabia nie miał innej woli po nad moją.

— O której godzinie przybył po panią tego wieczora?

— Wszedł do ogrodu nieco przed północą, zbliżył się do bocznych drzwi, jakie z zewnątrz otworzyłam i wyjechaliśmy w kilka minut popółnocy.

— Gdzie baron znajdował się natenczas? w owej chwili?

— W swiom apartamencie. Nie zeszłam, aż gdym posłyszała, że on się znajduje u siebie.

— I natychmiast wsiadłaś pani do powozu, jaki na was oczekiwał?

— Tak, panie.

— I oczekiwałaś w nim pani na nadejście wicehrabiego?

— Nie panie. Pan de Présles znajdował się przy mnie. Nie opuścił mnie ani na chwilę.

— Przeciwnie opuścił on panią.

— Upewniam pana, że nie!

— Odszedł powiadam, oddalił się przez czas potrzebny, ażeby okraść męża pani, a następnie go zabić!

Zaledwie Boulleau-Duvernet wymówił te straszne wyrazy, pani Worms zerwała się z obłąkanym wzrokiem przerażająco pobladła.

— Okradł, zabił — powtarzała chrapliwym głosem niemogącym jej przejść przez gardło. I jego to oskarżają o podobną zbrodnię, jego, Gilberta?!..

Zachwiała się, a rozłożywszy ku górze obie ręce, jakby szukając oparcia, padła bez zmysłów na ziemię.

XVI.

Podczas, gdy rozgrywała się ta scena dramatyczna w gabinecie sędziego śledczego, Jobin, wróciwszy do pałacu barona Worms, powiadomił kasyera, że gotów jest ma towarzyszyć.

— Idę z panem — rzekł Müller i nie zabiorę ci wiele czasu. Parę minut wystarczą mi na potrzebne poszukiwania. Prowadź mnie więc proszę. Gabinet, w którym znajduje się kasa, posiada dwoje drzwi, nie licząc bocznego wejścia, prowadzącego do mego nieodżałowanego pryncypała! Jedne z tych drzwi wiodą do biura, możemy więc wejść niemi. Masz pan klucz przy sobie?

— Mam—odparł Jobin.

— Idźmy więc.

Agent otworzył drzwi i cofnął się zostawiając wolne

przejście kasyerowi, pilnie go obserwując, z ową wrażliwą ciekawością właściwą policyantom.

Fryderyk Mülle, przestąpiwszy próg pokoju, zatrzymał się naprzeciw brunatnej krwawej plamy w miejscu, gdzie bankier padł zamordowany.

Blade oblicze kasyera przybrało wyraz głębokiego smutku. Powieki zwilżyły mu się łzami.

Tyle krwi!—wyszepnął, ach! biedny baron! Tak młody, bogaty, szczęśliwy skończyć w sposób podobny? Ach jakże ta bolesne!

Otarł oczy chustką i opuścił głowę.

— Morderca tem bardziej jest winnym, ozwał się Jobin poważnie. Człowiek, który taki żal po sobie zostawia, musiał być uczciwym i dobrym.

— Był on nim dla mnie — rzekł kasyer, a jeżeli inni skarżyli się na niego, ja do ich liczby nie należę.

— Szlachetność ta, zaszczyt panu przynosi—odpał Jobin. Sędzia śledczy i jego pomocnik, ocenili tę pańską wdzięczność dla zmarłego. Pozwól pan dodać, że i z mej strony obudzasz pan najżywszą dla siebie sympatyę. Sądzę iż bezwątpienia naznaczą pana likwidatorem?

— Nie wiem tego, być może, to prawdopodobne. Nikt bowiem interesów pieniężnych domu Worms nie znał lepiej nademnie.

— Byłyż finanse tu pomyślnemi?

— Prosperowały wspaniale! Spadkobiercy barona znajdą czyste, zlikwidowane miliony, nie mówiąc o kapitałach, pomieszczanych w różnych spekulacyach. Są to jednakże rzeczy obojętne dla pana. Nie chcę zabierać ci czasu, wziąwszy niezbędnie potrzebny mi dokument.

Biurko Fryderyka Müller, wielkie masywne mahoniowe biuro, stało naprzeciw kasy żelaznej pod ścianą, a po nad niem znajdowało się okienko, otoczone mosiężnem okratowaniem z ruchomemi drzwiczkami.

— Z każdej strony okienka, leżały na pułeczkach arkusze i księgi rachunkowe, pooznaczane tytułami.

Na biurku znajdowała się bibuła, kałamarz, mała praska do kopiowania, otwarte pudełko ze stemplowemi markami, nożyk do rozcinania papieru i tym podobne.

Obszerna szuflada zajmowała całą szerokość biurka, po nad nią z prawej i lewej, umieszczone były małe szufladki.

Fryderyk Müller usiadł na fotelu pokrytym zieloną skórą, który był zwykłem jego siedzeniem i wziąwszy w rękę kilka zeszytów rachunkowych, zaczął je przeglądać kolejno.

Jobin stojąc tuż obok niego, nie tracił go z oczu na chwilę, przybierając pozór zupełnej obojętności.

— Gdzież u licha zarzucił mi się ten arkusz?—wymruknął kasyer niby do siebie, dość jednak głośno ażeby zostać słyszanym. Ów straszny wypadek tak zaćmił mi pamięć, nigdy dotąd niezawodzącą, że mi jej dziś kompletnie brakuje.

— Szukaj pan zwolna, nic nie nagli—rzekł agent.

Müller otworzył arkusze bibuły, zapełnione listami i różnemi notatkami, jakie przeglądał najstaranniej.

— Ach! zawołał nagle, dobywając papier zapisany cyframi.—Otóż czego szukałem. Patrz pan!...

Tu podał arkusz papieru Jobin'owi.

Agent, rzuciwszy nań okiem, zwrócił mu go mówiąc:

— Dla mnie, jest to bazgranina. Lecz gdzie ja nic nie widzę, tam pan widzisz jasno. Rzecz główna, iż pan odnalazłeś dokument. Nie mamy tu już co robić.

Kasyer, w miejsce odpowiedzi, dobył z kieszeni mały kluczyk i włożył go w zamek szuflady.

— Mam tutaj — rzekł—niektóre papiery, nie dotyczące bankowego domu, osobiste me listy, które wolno mi jest zabrać jak sądzę?...

Tu chciał otworzyć szufladę.

Jobin powstrzymał mu rękę, wołając żywo:

— Nie! nigdy! Nic z tego pokoju wyniesionem być nie może, oprócz arkusza z cyframi jaki pan trzymasz w ręku.

— Mam honor powtórzyć panu, że tu nie chodzi o żadne finansowe papiery, ale o moje własne korespondencye—rzekł kasyer.

— Zrozumiałem to doskonale i jestem przekonany o ścisłości pańskiego twierdzenia, rozkaz jednakże wydany, jest świętością dla żołnierza, a ja jestem żołnierzem sprawiedliwości, chciej pan wiedzieć o tem. Spoczywa na mnie odpowiedzialność, a obok tego mam i sumienie. Otrzyma pan upoważnienie od sędziego sledczego, a cały pałac natenczas wynieść ci na barkach pozwolę.

Gniew i niezadowolenie, jakiego ukryć nie był w stanie, ściągnęło muskuły twarzy Müllera, wydrążając głęboką bruzdę pomiędzy jego brwiami, zapanowawszy jednak nad sobą, odrzekł ze spokojem:

— Dobrze, nie nalegam więcej.

— Tem lepiej — odparł Jobin, ponieważ byłoby to z pańskiej strony daremnem. Jestem machiną, panie, niczem innem jak machiną, którą ludzkie ręce kierują. Bądź jednak przekonanym że twoje tajemnice uszanowanemi zostaną.

— Moje tajemnice?—zamołał Müller—ja nie mam żadnych!

— No! te jakieś pańskie listy i osobiste papiery. Nie spocznie na nich żadne ciekawe spojrzenie. Zachowaj pan u siebie klucz od szuflady. Jeżeli pan sędzia będzie to uważał za rzecz potrzebną powiadomi pana i otworzy szufladę w twej obecności.

Kasyer wstał z krzesła w milczeniu. Jobin zauważył jednak że pomimo pozornego spokoju w obliczu Müllera, nozdrza mu się rozdymały, a w oczach błyszczał ogień tajonej wściekłości.

Wyszli obadwa z pokoju, gdzie zbrodnia pozostawiła krwawe swe ślady.

Agent zamknął drzwi na klucz, Müller poszedł zająć zwykłe miejsce w biurze, z czego korzystając Jobin pospie-

szył do jednego z policyantów, pełniącego nadzór po nad pałacem.

— Z wyższego rozkazu—rzekł—biegnij do najbliższego ślusarza. Pokaż mu swoją kartę i przyprowadź go tu z sobą, zaopatrzonego w narzędzia potrzebne do otwarcia zamku skomplikowanego, ażeby w nim nic nie zepsuć, nie złamać. Powiedz mu, że tu nie chodzi o otwarcie drzwi, ale szuflady.

— Dobrze, kolego. Biegnę natychmiast.

— Spiesz, trzeba ażebyś powrócił w ciągu dziesięciu minut.

Czekając na przybycie agenta ze ślusarzem, Jobin szedł w stronę pokoju, jaki opuścił przed chwilą. Tym razem jednak nie przechodził przez biuro.

Szedł z opuszczoną głową, poszeptując z cicha:

— Tam do pioruna—jak mówi nasz doskonały Boulleau-Duvernet, dzielny człowiek i sędzia śledczy, lecz bardziej uparty niż całe stado mułów—to co zamierzam uczynić, jest w najwyższym stopniu nielegalnem! Przeszukiwanie bez rozkazu sądu, jest na czem umotywować natychmiastowe wydalenie mnie ze służby. Ba! jednak intencya znaczy wszystko! Działam dla dobra sprawy. Gwałcę prawo, to prawda, lecz w interesie sprawiedliwości. Jeżeli mi się nie uda, a dowiedziano by się o tem, gotowi mnie zakwalifikować na wisielca, a jeśli przeciwnie, otrzymam rezultat pożądany, ogłoszą mnie genialnym, tak! wielkim człowiekiem! Na tem świat się obraca.

Rozbierał w myślach pomienione idee, a potem dodał cicho:

— Ów kasyer daremno chciał zapanować nad sobą. Jego niepokój był widocznym i niezadowolenie. Czuwał i układał wyraz fizyognomii, wszak trudno myśleć o wszystkiem od razu. Nozdrza mu się wzdymały, w oczach błyszczała nienawiść. Co u dyabła może być w owej szufladzie?

To mówiąc, Jobin wszedł do pokoju, a usiadłszy na stojącem przed biurkiem fotelu, otworzył bezwiednie arkusze bi-

buły, leżącej mu pod ręką i przeglądał z roztargnieniem znajdujące się tam notatki.

Nagle drgnął i wydał okrzyk zdumienia a pochwyciwszy kawałek niebieskawego papieru na jakim nic nie było napisane, oglądać go zaczął z uwagą.

Ów papier, rozmiarów prawie in octavo, stanowił niezaprzeczenie część, albo ćwiartkę większego arkusza, z jakiego nieuważnie i z pośpiechem oddartą została, ponieważ oddarcie to zamiast być równem, przedstawiało wzdłuż nieregularności jakie przyrównać można do zębów piłki żelaznej.

Jobin poszukawszy na biurku, znalazł nożyk do rozcinania papieru.

Był on zrobiony z czarnego drzewa; naśladującego dąb stary, jakie fabrykują tuzinami w niektóryeh częściach Szwajcaryi. Rzeźba przyozdabiała rękojeść. Ostrze znajdowało się tylko z jednej strony.

Agent wyjął z bibuły kawałek białego papieru, złożył go na dwoje, a przecinając grzbietem nożyka, otrzymał zupełnie tak nieregularne powyrywania, jakie się znajdowały na liście bezimiennym, odkrytym przezeń w ręku trupa.

— Nie ulega wątpliwości!—rzekł głośno. Tutaj to zastawiono sidła, w jakie wpadł baron Worms. W tym to pokoju oskarżający list napisanym został przez kogoś znającego doskonale zwyczaje tego domu.

Przyłożył ćwiartkę niebieskawą do oka, pod światło dzienne i dostrzegł rysujące się w przezroczu litery tworzące ten wyraz: *„nia w Essone.“*

Papiernia w Essone, powtórzył Jobin, dałbym moją głowę że na kawałku bezimiennego listu znajdę dopełniających sześć liter tworzących wyraz *„papier“* jakich tu właśnie brakuje i że te z brzegu powyrywania zgodzą się z sobą. Odnalazłem rzecz wielkiej wagi. Jestem na śladzie. Przewodnia nić sprawy znajduje się w mem ręku. Potrzeba tylko iść za nią.

To mówiąc, schował starannie w portfel ów papier nie-

bieskawy, gdy wszedł wysłany policyant ze ślusarzem, zaopatrzonym w pęk kluczów i narzędzia różnego rodzaju.

Zamek w biurku nie przedstawiał wiele trudności skomplikowanych.

Po kilku minutach szuflady otwartemi zostały, w głąb których spojrzawszy, Jobin przekonał się, że zawierały one nader szczupłą liczbę listów i notatek.

— Dziękuję ci mój kochany—rzekł do robotnika wsuwając mu w rękę sto sous, idź wypij coś za moje zdrowie, a za godzinę powracaj tu ażeby zamknąć to wszystko i uporządkować.

Zostawszy sam ze swym podwładnym, Jobin wyjmował jedne po drugich listy adresowane do kasyera domu Worms i przebiegał je wzrokiem.

Pierwsze z tych listów odnoszące się wyłącznie do spraw osobistych Müllera były tak mało znaczącemi, że agent zawołał z powątpiewaniem:

— Do czarta, otóż żem się zawiódł! Jakąż myśl głupią miał ów kasyer, chowając owe szpargały!

Nakoniec w głębi szuflady, znalazł dwie małe paczki, jedną przewiązaną sznurkiem czerwonym, a drugą wstążką błękitną.

Woń tytuniowa wybiegała z pierwszej; przenikliwy zapach „Ess-bouquet“ wydzielał się z drugiej.

XVII.

Rozwiązawszy czerwony sznurek paczki, woniejącej tytuniem, Jobin spojrzał na adres pierwszego listu.

Brzmiał on w tych słowach:

„*Poste restante*“
Pan F. M. Nr. 1004
w Mieście.

Marka oznaczała biuro pocztowe na placu giełdy. Data sięgała czasu przed czterema miesiącami.

— Zobaczmy, zobaczmy!—wyszepnął agent. Wydobył list z koperty i rozwinąwszy go drgnął spojrzawszy na drukowany nagłówek:

„*Agencja Roch i Fiumel. Objaśnienia poufne wszelkiego rodzaju. Poszukiwania dłużników. Przedstawianie projektów małżeństw. Codziennie od dziewiątej z rana do dziesiątej wieczorem.*“

Ulica Montmartre Nr. 131. W pobliżu giełdy i bulwaru.

— Do czarta!—zawołał Jobin—nasz kasyer ma, widzę, stosunki z agencyą Roch i Fiumel, jaka jest współzawodniczką z nami i piszą do niego poste-restante. To ciekawe na honor! Zobaczmy.

Treść listu była nader zwięzłą, brzmiała ona w tych słowach:

„Panie“

„Zamiar dokonany. Otrzymane potrzebne objaśnienia. Oczekuję pana jutro, we Czwartek, w galeryi Viviennes, o godzinie ósmej wieczorem.

Pozdrowienie załączam

„Sta: Pi...

P. S. Potrzebuję dwudziestu franków. Jobin skrzywił się z niezadowoleniem.

— Brak szczegółów—rzekł—przejrzyjmy inne listy.

Druga koperta nosiła tenże sam adres. List w niej pomieszczony zawierał oznaczenie nowej schadzki, tenże sam dziwny podpis Sta: Pi... i post-scriptum w tych słowach:

„*Potrzebuję dwudziestu franków.*

Trzeci, czwarty i piąty list, oddzielone tygodniową przerwą czasu, zawierały tęż samą treść prawie, z różnicą

miejsca schadzek i godzin. Dopisek z żądaniem dwudziestu franków wciąż był jednakim.

Jobin śmiać się zaczął.

— Ów biedny Sta: Pi... pomyślał, wciąż potrzebował dwudziestu franków. Jakże go żałuję!

Szósty list, różnił się nieco, mimo że jego zwięzłość była taż sama.

„Panie“

„Główne, a niezmiernie ważne objaśnienia otrzymano co *do dwóch osobistości* i ich działania. Schadzkę oznaczam na dziś wieczorem, w galeryi Orleańskiej.

Twój uniżony sługa

Sta: Pi...

P. S. *Potrzebuję pięćdziesięciu franków.*

— Do czarta!—wyszepnął Jobin.—Potrzeby pana Sta: Pi... wzrastają, jak widzę! Pięćdziesiąt franków. Mądry młodzieniec!

Siódmy list oznaczał schadzkę, z żądaniem, dwudziestu franków.

Ósmy wreszcie oznajmiał:

„Panie“

„Na jutro, postanowione. Przyjdź pan dziś do agencyi o wpół do szóstej. Będę na ciebie oczekiwał. Piękna robota. Zobaczysz.

Twój

Sta: Pi...

P. S. *Potrzebuję stu franków!*

— Co chciał rozumieć ów Sta: Pi... wyszepnął agent, pisząc: *Na jutro?* Miałożby to oznaczać dzień wyjazdu baronowej i pana de Présles? Ciemność, lecz ją rozjaśnię, gdy poznam tego nienasyconego Sta: Pi..! Chyba bym się nie nazywał Jobin, gdybym nie znalazł sposobu wydobycia zeń tej tajemnicy!

Tu rozwiązał błękitną wstążkę, owijającą drugi pakiecik woniejący perfumami Ess-bouquet i przerachował listy.

Było ich sześć.

Wszystkie bez marek pocztowych i bez adresów.

Jobin powyjmował je z kopert.

Gęsty i twardy papier angielski jak pargamin, nosił na każdym z tych listów nagłówek w rodzaju tarczy z liter A. i P. związany wieńcem róż, a podtrzymywaną przez dwóch amorków.

Zawierały one po kilka wierszy zaledwie, kreślonych kobiecym charakterem pisma.

Podajemy te listy dosłownie.

Nr. 1.—„Jesteś wcieloną miłością, mój Fred., marzyłam o tobie. Przyjdź dziś wieczorem. Jutro zapłacić trzeba tapicerowi. Nie zapomnij przynieść z sobą pięciu tysięcy franków na załatwienie z nim rachunku, inaczej byłabym zgubioną. Całą wiarę pokładam w tobie mój Fred.“

Nr. 2.—„Najmilszy mój bebe; nie przychodź dziś wcale. Idę do mojej chrzestnej zamieszkałej w Saint-Germains. Ta biedna kobieta mocno jest słabą. Smutno mi, ale pocieszam się, myśląc o tobie. Jeden z moich powozowych koni okulał. Pójdź do handlarza, dobierz mi drugiego do pary. Wszak wiesz że ciebie tylko jednego kocham na zawsze mój Fred.“

Nr. 3.—Co mnie obchodzić może twoja pozycya i jakieś tam towarzyskie względy? Mężczyzna, który nieśmie ukazać się z kobietą, jest głupiem zwierzęciem. Musisz mi towarzyszyć dziś wieczorem do Variétés, albo na spacer. Pragnę mieć lożę pierwszego piętra. Widzisz ile ustępstw ci robię? Grałam wczoraj w bakara u Kory i nie naderemno! Mam dług wynoszący sto luidorów, przynieś je, a okażesz się nad wyraz uprzejmym i grzecznym.

Nr. 4.—„Och! szkaradny Fred., nieznośny zazdrośniku!

Szpiegujesz mnie więc przez swoją policję? Ależ moj kochany ona cię okrada! Wszystko to są głupstwa daremne! Gdybym cię zdradzała, miałabym pieniądze, a najlepszym dowodem iż cię nie zdradzam, że ich nie mam! Pamiętaj że jutro przypada termin wypłaty handlarzowi za konia. Przynieś dziś w wieczór trzy tysiące pięćset franków. Gdybyś mnie nie zastał, zaczekaj, będę u Anny.

Nr. 5.—„No i cóż zatem? A więc tak mój dobry, jest to prawdą. Cóż chcesz ażebym robiła i z czego mam żyć? Jesteś samolubem. Gdybyś mnie kochał tak jak twierdzisz, pragnąłbyś przedewszystkiem ażebym była szczęśliwą. Czyż podobna ci walczyć z tak grubą rybą? Wyjaw wszystko, jeżeli ci się podoba. A jeśli nie czujesz się być zdolnym do walki, zachowaj się lepiej spokojnie. Zresztą co ci to pomoże? Jeżeli nie służy ci wejście głównemi drzwiami, możesz wchodzić małemi, które nie są gorsze od tamtych. No i jakże ci się to zdaje?

Nr. 6.—Ostatni.

— Tak? a zatem wszystko skończone! Rozstajemy się z sobą. Sądzę, że pan poczujesz się do obowiązku zapłacenia ostatniej należytości tapicerowi, wynoszącej pięć tysięcy franków w dniu 30 bieżącego miesiąca. Racz przyjąć wyrazy poważania

„Sługa

„A.“

Jobin dodał cyfry pieniędzy, żądanych w korespondencyi.

— Piętnaście tysięcy sto franków! zawołał—w ciągu czterech miesięcy, prócz innych ubocznych sum zapewne. Do czarta! pan kasyer musiał mieć grube pieniądze! Nie mógł zatem nic zaoszczędzić z swej pensyi.

W głębi szufiady, pod listami „Sta: Pi...“ i panny A. znajdowały się różne notatki rachunkowe z wymiany weksli

i operacyi giełdowych, większość których stratę wykazywała.

Jobin, przejrzawszy je, potrząsnął glową.

— Ho! ho! — wymruknął — gra na giełdzie. Smutny i ostateczny środek, gdy nie można czerpać pełnemi rękoma w kasie, napełnionej cudzemi pieniędzmi! Rzecz dziwna, jak ów Fryderyk Müller wydaje mi się być podejrzanym.

— Powiedz to jednak panu Boulleau-Duvernet? Roześmiał by mi się w nos, głośno, ów godny sędzia! Trzeba poszukiwać samemu i odnaleść. Kto może być owa panna A. P. pisząca tak pięknym stylem i ortografią?

Myślał przez chwilę, a potem jak gdyby uderzony jakimś nagłym światłem zawołał:

— A! gdyby to była Alina Pradier, kochanka barona Worms? Dla czego nie? Tą grubą rybą, o jakiej ona w liście wspomina, że walczyć przeciw niej niepodobna, byłby w takim razie sam bankier. Rywalizacya miłosna pomiędzy kasyerem a pryncypałem, wzrastająca bezustannie potrzeba pieniędzy. Kto wie czy tu nie leży rozwiązanie zagadki? Czy jednak ta kobieta jest Aliną Pradier? W jaki sposób o tem się dowiedzieć?

Postawiwszy to zapytanie, Jobin rozmyślać począł na nowo, a po kilku sekundach rzekł sam do siebie:

— *Sta: Pi...* o tem mnie powiadomi.

Skopjowawszy kilka listów z owej prywatnej korespondencyi, związał czerwonym sznurkiem i błękitną wstążką obie paczki i położył je w zwykłem miejscu w głębi szuflady, na rachunkowych notatkach.

Przybyły ślusarz zamknął kluczem zamek, a skoro zniknął ślad wszelki dokonanych poszukiwań, Jobin wyszedł z pałacu barona i wróciwszy do siebie na ulicę des Orfévres, zmienił się na wytwornego eleganta, przywdziawszy wykwintne ubranie i bez straty czasu udał się pod numer 151 na ulicę Montmartre, gdzie znajdowały sią biura agencyi Roch i Fumel.

Ów dom był nader starannie utrzymywanym.

Jobin, dosięgnąwszy drugiego piętra, wszedł do obszernego przedpokoju, pięknie wywoskowanego, zapełnionego ławkami dla oczekujących, w jakim znajdował się jakiś szczupły w podeszłym wieku mężczyzna, który siedząc pod oknem przy stole, pisał coś na stemplowanym papierze.

Za ukazaniem się agenta, ów starzec podniósł głowę, skinął ręką, witając i zwolna, wygłosił to zdanie zadawane przezeń niezmiennie każdemu z przybywających:

— Czy do pana Roch, osobiście, lub też do agencyi Roch i Fumel?

— Do agencyi—odpowiedział Jobin.

— Celem otrzymania poufnych objaśnień?

Jobin skinął głową potwierdzająco.

— Proszę udać się do gabinetu po lewej, pan Fumel jest sam.

Jobin, otworzywszy drzwi, wszedł do pokoju średniej wielkości, zapełnionego numerowanemi księgami prawie aż do sufitu; obok czego, znajdowało się tu kilka krzeseł i biurko, przy którem siedział Fumel, wspólnik pana Roch, były adwokat.

Powyższa osobistość, przedstawiała wcielony obraz biurokraty, surowego, ścisłego w pełnieniu obowiązków formalisty.

Wysoki, chudy, posiwiały, z pożółkłem, gładko wygolonem obliczem, miał krawat biały na długiej cienkiej szyi i czarny tużurek wyszczotkowany starannie, ale miejscami poprzecierany, widocznie od długiej służby.

Stalowe okulary, założone na długim kończatym nosie Fumela, przyćmiewały blask jego czarnych przenikliwych oczu.

Odpowiedział z godnością na ukłon Jobina, a uniosłszy się z lekka na fotelu, wskazał ręką krzesło zapytując:

— Przybywasz pan dla otrzymania poufnego objaśnienia?

— Tak...

— W prywatnej czy handlowej sprawie?

— W prywatnej.

— Interes pieniężny?

— Nie, panie...

— Zatem sercowa sprawa?

— Tak jest...

— Chodzi więc?...

— O pewną damę, piękną damę.

Fumel uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Dobrze—odpowiedział. Nazwisko tej damy?

— Alina Pradier.

— Doskonale! Sprawy, dotyczące kobiet, są wyłączną specyalnością Picolet'a, jednego z najzręczniejszych naszych pracowników.

I podniosłszy głos zawołał.

— Hej!... Stanisław!... Stani!... chodź no tu na chwilę mój chłopcze.

Stanisław Picolet, pomyślał Jobin: Sta: Pi... toż samo... Mam go nareszcie!...

XVIII.

Otwarły się drzwi główne. Wszedł Stanisław Picolet, spojrzał ciekawie na Jobin'a, a następnie, zwróciwszy się ku Fumelowi, czekał na zapytanie.

Sta: Pi... był młodzieńcem dwudziesto-czteroletnim, tego wzrostu co nasz agent policyi, szczupły, lecz bardzo biednie ubrany.

Jego chude, blade oblicze, mające niejakie podobieństwo z rysami twarzy Jobin'a, cechowało wyraz bystrości, zuchwalstwa i cynizmu. Czarne, gęste włosy, strzępiły mu się na skroniach, zarys małych wąsików, puszył się pod nozdrzami.

Postać ta, będąca jednem z głównych kół owej podejrzanej agencyjnej maszyny, nie mogła być lepiej do owych krętych czynności zastosowaną.

— Stani,—rzekł do niego Fumel, używając tego zwykłego skrócenia. Ów pan, nowo przybyły klient do naszego domu, pragnie pozyskać objaśnienia o pewnej damie. Przejrzyj notatki mój Stani...

Młodzieniec dobył z kieszeni obdarty portfel, kawałek ołówka i siadł gotów do pisania.

— Panie—rzekł Fumel, zwracając się do Jobin'a zechciej powtórzyć nazwisko pomienionej osoby.

— Alina Pradier, wygłosił agent.

Dziwny uśmiech wybiegł na usta Stanisława Picolet.

— Już napisałem—rzekł.—Jej adres?

— Ulica Frydlancka...

— Cóż pan życzy wiedzieć?

— Dla Panny Aliny Pradier uczuwam wiele sympatyi, lecz mało ufności—rzekł Jobin. Czynię dla niej stosunkowo wielkie ofiary, a mam powody wątpienia o jej moralności. Chciałbym przeto wiedzieć dokładnie, jak o niej sądzić w tej mierze, tak co do jej przeszłości, jako zarówno i teraźniejszości.

— Poznasz pan wymienione szczegóły w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Mamże przesłać panu te objaśnienia?

— Nie trzeba, sam przyjdę po nie, lecz zwłoka czterdziestu ośmiu godzin, to nazbyt długo. Czy nie możnaby pozyskać coś prędzej?

— Nie podobna! Policja żądałaby najmniej trzech dni czasu; my jednak jesteśmy zręczniejsi niźli agenci prefektury.

Jobin uśmiechnął się pomimowolnie.

— Pojutrze, na godzinę czwartą po południu sprawa już będzie przygotowaną — rzekł Stani... i salutując po wojskowemu przybyłego wykręcił się na pięcie i wyszedł.

— A teraz, kochany panie i nowy nasz kliencie—rzekł

Fumel—wypada nam pomówić o kwestyi pieniężnej. Upewniam pana, iż wygórowaną nie będzie. Mamy ustanowioną taksę na sprawy tego rodzaju. Zwyczajem agencyi jest wszakże odbierać połowę umówionej należności z góry przed rozpoczęciem interesu, a drugą połowę po dostarczonych objaśnieniach.

— Och! biedne moje oszczędności, pomyślał Jobin.

Mimo to wszystko, wziął tę sprawę do serca i postanowił do końca ją doprowadzić.

Zaczął się targować o wysokość wynagrodzenia z tak wielką energją i oporem że otrzymał ustępstwo od taksy ustanowionej i złożywszy pieniądze na ręce Fumela, odszedł.

Na pierwszym przedziale wschodów spotkał Stanisława Picolet, który nań widocznie tam oczekiwał.

— Ugodziłeś się pan z pryncypałem? — zapytał go żywo.

— Tak...

— I zapłaciłeś?

— Ma się rozumieć. Oto pokwitowanie.

— Czekaj pan na mnie w kawiarni, na rogu ulicy Croissant. Przyjdę tam za pięć minut, ponieważ mam panu coś ważnego do powiedzenia, coś bardzo ważnego...

— Dobrze—rzekł agent.

Zadowolony z obrotu sprawy, Jobin udał się w miejsce wskazane, a usiadłszy w kącie przy stole, przeglądał dzienniki.

Po kilku minutach ukazał się Stani... podszedł ku agentowi i zaczął rozmowę zapytaniem:

— Co mi podać każesz?

— Wszystko, co zechcesz. Rozporządzaj.

— Zgoda! Widzę, żeś dobry chłopiec. Hej! garson— zawołał — dwa jaja na miękko, kawałek szynki, butelka Maçou i kieliszek koniaku!

Posługujący stał w zamyśleniu.

— Ten pan zapłaci, dodał Stanisław wskazując Jobin'a.

Garson nie wahał się dłużej.

— Kłopoczą mnie tu, z przyczyny starego rachunku nędznych siedmnastu franków—wyszepnął Picolet—lecz ja mam sposób. Cofnę moją klientelę a będę uczęszczał do Brébant'a. Ale nie oto teras tu chodzi. Roch i Fumel są łotrami; wyobraź pan sobie, że niemogą się obejść bezemnie, a pozwalają umierać mi z głodu! Nigdy ani grosz jeden nie spłynie do mej kieszeni.

— Ztąd potrzebujesz pan bezustannie dwudziestu franków; ozwał się Jobin, przypomniawszy sobie o owym postscriptum w listach Sta: Pi...

Młodzieniec spojrzał na mówiącego z zdziwieniem i nieufnością, sądził wszelako, iż zdanie powyższe odnosiło się do zaległego rachunku w kawiarni, o jakim mówił przed chwilą.

— Tak niestety!—odrzekł wciąż potrzebuję dwudziestu franków. Sądzę że będziesz tyle względnym i dasz mi czterdzieści?

— To zależy od okoliczności — odpowiedział Jobin— Nie jest to o ile mniemam ani podarunek, ani pożyczka jakiej żądasz odemnie. Cóż mi więc ofiarujesz w zamian za dwa luidory?

— Objaśnienia, dotyczące Aliny Pradier natychmiast, bezzwłocznie.

— Jakto, już je otrzymałeś? — zawołał agent udając zdziwienie.

— Mam je przy sobie, jak najściślejsze! Nic w nich nie brakuje. Za te dwa żółte pieniążki, otrzymasz pięćset szczegółów. No! jakże ci się to podoba?

— Targ dokonany—odparł Jobin sięgając po portmonetkę.

— Słyszałeś pan zapewne o morderstwie jakie narobiło tyle wrzawy — zaczął Picolet, schowawszy pieniądze do kieszeni.

— O zabójstwie barona Worms?

— To, to, właśnie!

— A więc, ów bankier Worms, był kochankiem tej panny. Odebrał ją swojemu kasyerowi, niejakiemu Fryderykowi Müller, który ukrywając przedemną swój adres i nazwisko, pisywał listy poste-restante, sądząc iż pozostanie mi nieznanym. Co więcej, ów Müller posełał tej jak ją zowią „*Pomarańczy*“ grube pieniądze. Zkąd je brał? Nie moja to sprawa. Śledziłem go zarówno i ztąd znam wszystkie szczegóły.

— Nie ulega więc wątpliwości — pomyślał Jobin—iż jest to ta sama kobieta. Trzeba dowiedzieć się o reszcie.

Stanisław Picolet, po zjedzeniu jaj, chciwie pochłaniał szynkę i wypróżniał butelkę.

— Patrząc na pański dobry apetyt—zaczął Jobin—sądzić by można, iż pan nie jadłeś śniadania?

— Przeciwnie, jadłem kiełbasę z kawałkiem chleba, ale to znaczy tyle co nic.

— Masz pan apetyt do pozazdroszczenia.

— Jadłbym trzy dni z rzędu, bez przerwy.

— Zapraszam więc pana na obiad.

— Doprawdy? każesz mi pan dać obiad wspaniały?

— Przy ulicy Montorgeuil, pod skałą Caneale.

— Ach! jest to mojem marzeniem! Lecz wybacz, kochany kliencie, iż cię zapytam, zkąd pochodzi dla mnie nieznanego tyle życzliwości z twej strony?

— Rozmowa z tobą przyjemność mi sprawia, lubię tego rodzaju małe tajemnice i jestem pewny, że przy obiedzie opowiesz mi coś jeszcze bardziej ciekawego o Alinie Pradier, baronie Worms i kasyerze.

— I o żonie bankiera—dodał Picolet.

— Jakto, znasz baronowę —zapytał żywo Jobin.

— I wicehrabiego de Présles, zarówno! Znam wszystkich, w całym Paryżu. Ach! możesz wierzyć mojemu słowu, że policyjni agenci wobec mnie, są niczem.

Jobin skrzywił się pomimowolnie, lecz rychły uśmiech pokrył owo skrzywienie.

Było to ciekawem w rzeczy samej, widzieć jednego z najzręczniejszych policyjnych agentów, czerpiącego objaśnienia od jakiegoś pobocznego członka agencyi Roch i Fumel.

Zapłaciwszy za spożyte przez Picolet'a śniadanie, Jobin, niechcąc go stracić z oczu ani na chwilę, z uderzeniem piątej godziny udał się wraz z nim do restauracyi na ulicę Montorgueil, gdzie wszedłszy do oddzielnego gabinetu, zadysponował wytworny obiad z likierami, jakie powinny były rozwiązać język gościowi.

Picolet zresztą lubił mówić wiele. Mówił zatem bez przerwy, a tak długo że o dziesiątej wieczorem, jeszcze znajdowali się obadwaj w restauracyjnym gabinecie, gdzie Sta: Pi... kompletnie pijany, wylewał łzy, ściskając z rozczuleniem agenta, który nawzajem przyrzekał dlań być bratem i ożenić się co prędzej by mu dać możność czuwania nad swoją żoną i powiadamiania go, gdyby miała nastąpić jaka katastrofa małżeńska.

Jobin niepotrzebował już dowiadywać się więcej, wiedział wszystko, co tylko samemu było Picoletowi wiadomem.

Nie przytaczamy szczegółowo opowiadań tego ostatniego, na którego wpływ dobrych potraw i silnego wina, czynił wymownym więcej niż by było trzeba. W zamian wyjaśniamy okoliczności, jakich nie mogła znać agencya domu Roch i Fumel.

Baron Worms przed zawarciem małżeństwa należał do kategoryi ludzi pozbawionych wszelkiego poczucia moralności, nieumiejących stawić oporu namiętnościom jakiegobądźkolwiek one byłyby rodzaju.

Jego wielki majątek, którego pierwotne źródło było zupełnie nieznanem i nadzwyczaj pomyślny wciąż obrót pieniężnych interesów, czyniły zeń finansistę wysoce poważanego w świecie giełdowym.

Co zaś do jego uczciwości, gdy się ma po za sobą miliony, łatwo jest zyskać opinię uczciwego człowieka.

Gdyby ów bankier zubożał, nie przebierałby w środkach bezwątpienia, ażeby zostać bogatym.

Jedną rzecz tylko ów naturalizowany Niemiec przekładał po nad pieniądze. Były to roskosze miłości.

Uwielbiał kobiety, a niestały w swoich fantazyach, zmieniał często kochanki.

Przed kilku laty, jak wiemy, zajął się młodem dziewczęciem, sierotą, Waleryą Langier, jaka w domu pewnego bogatego przemysłowca pełniła obowiązki nauczycielki i swojemi bezustannemi grzecznościami skompromitował ją do tego stopnia, że straciła miejsce.

Widząc się biedne dziewcze osamotnionem, beż żadnych środków utrzymania, przekonany iż trzyma ją w swem ręku, kupić ją postanowił. Walerya jednak sprzedać się nie chciała. Odepchnęła ze wzgardą świetne ofiary barona w taki sposób, że bankier, straciwszy wszelką nadzieję uczynienia z niej swojej faworyty, rzucił się na pociechę po otrzymanej odmowie, w rozpustę wszelkiego rodzaju.

Chybił jednakże celu. Nie tylko że o niej nie zapomniał, ale co gorsza, ów początkowo kaprys chwilowy, zmienił się w nim w gwałtowną namiętność.

Powiedział sobie natenczas, iż bez tego młodego dziewczęcia żyć mu niepodobna i za jakąbądź cenę, mimo iż był wrogiem małżeństw w ogólności, postanowił zaślubić Waleryę.

XIII.

Nieolśniona bynajmniej tym wielkim niespodziewanym majątkiem, młoda dziewczyna przyjęła oświadczyny pana Worms i ów dziesięcio milionowy bankier, chcąc się okazać wspaniałomyślnym, przyznał Waleryi w ślubnym kontrakcie,

jako jej posag, sumę sto tysięcy talarów, obdarzając ją obok tego klejnotami wysokiej wartości.

Dziewczyna, nie spodziewając się niczego, nic nie pragnąc, przyjęła tę szczodrobliwość z ukrytym wstrętem.

Nastąpiły zaślubiny.

Przez cztery pierwsze miesiące, młoda pani baronowa czuła się być dość szczęśliwą.

Ów były Niemiec, pragnąc poszczycić się niezwykłą pięknością swej żony, zaczął dostarczać jej zabaw i rozrywek różnego rodzaju, rzuciwszy ją tym sposobem w wir światowy, tak, ażeby nuda i smutek nie zdołały zbliżyć się ku niej; poczem wierny dawnym swoim zwyczajom, usunął się od niej, tak jak to czynił dotąd ze swemi kochankami.

Zobojętnienie zastąpiło miłość, nie pozostawiając nawet owego tkliwego szacunku, w miejsce zniknionej namiętności.

Pozostawiwszy żonę na stronie, pan Worms z najwyższym cynizmem zaczął prowadzić życie wolnego libertyna, nie kryjąc się z wydatkami wielkich sum na kobiety z półświatka, ukazując się wszędzie w towarzystwie kurtyzanek najbardziej znanych w Paryżu, posuwając bezczelność aż do przyjmowania tych kobiet nocą, w swoim oddzielnym apartamencie, wobec własnych służących.

Mimo całej pobłażliwości Waleryi, niepodobna było, by jako legalna małżonka, urażona w swej osobistej godności, nie uczuła owej obelgi.

Obojętność, byłaby przyjęła bez szemrania, ale zniewaga tego rodzaju, rodziła pogardę, a pogarda oburzenie.

Odważyła się na wypowiedzenie kilku bardzo delikatnych uwag i na kilka skarg cichych.

Za pierwszem odezwaniem się, baron zamknął jej usta brutalnie, odpowiadając jej z niemiecką opryskliwością, że zaślubiwszy ją bez majątku i dawszy jej tak świetną pozycyę, nie wolno jej się uskarżać i że będzie działał dowolnie tak teraz, jak i w przyszłości.

— To jeszcze najmniejsze złe—dodał—wobec niepowetowanego głupstwa jakie uczyniłem założywszy sobie pęta na szyję tak śmiesznem i nędznem małżeństwem!...

Walerya opuściła głowę, otarła łzy i milczała, żałując gorąco owych czasów, gdzie uboga, lecz niezależna, utrzymywała się z udzielania lekcyi. W owej epoce pracy i niedostatku, nadzieja przynajmniej ją podtrzymywała. Obecnie o szczęściu marzyć już nie wolno jej było.

Osamotnionej pośród bogactwa, żadna nie pozostawała nadzieja. Rozwiane sny niepowrócą już więcej. Trzeba jej było teraz iść smutnej przez życie, pozbawionej tkliwego współczucia pośród świetnej z pozoru egzystencyi, a wrzeczywistości jednostajnej, pełnej trosk i upokorzeń, bez najmniejszego promyka pociechy.

Myliła się jednak tak sądząc.

Znalazł się pocieszyciel.

Wicehrabia Gilbert de Présles był od dwóch lat poufnym przyjacielem bankiera, jednym ze stałych gości w jego mieszkaniu.

Żywa sympatya, jaką uczuwał dla Waleryi od pierwszych chwil jej małżeństwa, wywołała uczucie głębokiej litości, gdy widział tę młodą kobietę zdradzaną przez męża, osamotnioną, znieważaną.

Uczucie to szybko zmieniło się w miłość i powiedzmy od razu, gdy nam wypada w kilku wierszach zanalizować szczegóły tego epizodu, w miłość dzieloną przez panią Worms, która z całą tkliwością uciekała się do tego ożywczego źródła.

Spieszymy dodać, że owa miłość była czystą bez skazy, coś w rodzaju braterskiej przyjaźni, przynajmniej ze strony baronowej.

Oboje młodzi i piękni, pokochali się nawzajem, nigdy wszelako ich ust nie złączył pocałunek.

Rzecz pewna, iż wicehrabia żywił w głębi duszy nadzieję, iż w bliższej lub dalszej przyszłości, ta kobieta oprzeć się nie zdoła obustronnemu gorącemu uczuciu, ukrywał jednak

myśl tę głęboko i Walerya z niezachwianą ufnością wierzyła w ów platoniczny związek dusz, w czem znajdowała jedyne swe szczęście i zapomnienie boleści.

* * *

Zeznania uczynione panu Boulleau-Duvernet, wkrótce po popełnionej zbrodni, powiadomiły nas, że Fryderyk Müller przedstawiwszy się za poddanego niemieckiego, był od lat siedmiu urzędnikiem, a od pięciu kasyerem w bankierskim domu pana Worms.

Przez te ostatnie pięć lat, Müller mógł rościć w rzeczy samej prawo do nazwy wzorowego kasyera.

Niezmordowaną wytrwałość w pracy, pilność, zdolność, uczciwość, te tyle cenne zalety, w wysokim stopniu jednoczył on w sobie.

Mimo pozorów światowego człowieka, żył skromnie, unikał sposobności do zabaw, odosobnił się, wynająwszy mały domek dla siebie przy ulicy de Neuilly, starając się jak najmniej wydawać, zbierając znaczne oszczędności z swej pensyi.

Baron Worms cieszył się niewymownie ze swego pracownika i błogosławił berlińskiego korespondenta za nadesłanie sobie tak wyjątkowo doskonałego człowieka.

Pewnego wieczora, Fryderyk Müller nie mogąc wymówić się od zaproszenia jednego z kolegów, jak on kasyera w pewnym bankierskim domu Paryża, udał się na ów obiad do restauracyi.

Uczta w jakiej uczestniczyło pięciu zaproszonych, była nadzwyczaj ożywioną i przeciągnęła się do północy.

Było to w Sobotę. Nazajutrz następowała Niedziela, Czynności kasowe w dniu tym były zawieszone. Można więc było dłużej się zabawić bez uszczerbku dla pracy.

Fryderyk Müller ażeby nie okazać się dziwakiem, poszedł z towarzyszami na bal opery, gdzie spotkała go niespodziewana przygoda.

Jakaś kobieta, ująwszy go pod rękę, zaczęła go int rygować z przyczyny jego ponurej i smutnej fizyognomii.

Była ona wysokiego wzrostu, zamaskowana. Czarny kapturek pokrywał jej głowę, pod fałdami jedwabnego domina rysowała się kształtna postać, a głos mimo że nieco chrypliwy, wskazywał młodą istotę. Silna woń perfum wydzielała się z jej ubrania.

Müller odpowiedzial z razu obojętnie na jej zaczepki. Zdawał się być wahającym i zakłopotanym, jak człowiek, do którego przemawia ktoś obcym językiem, w miarę jednakże, gdy owo domino rozwijało zastosowane do niego dowcipne żarciki, odurzony przenikliwym zapachem perfum, oddziaływających na niego jak gdyby aromat silnego wina, kasyer barona Worms zmienił się powoli; obłudna niemiecka powaga znikała z jego oblicza, zostawując miejsce wesołej efronteryi doświadczonego hulaki emeryta i wkrótce odpowiadać zaczął z werwą, dorównywającą dowcipowi swej towarzyszki, w owym nie dającym się dosłownie przytoczyć, żywym jak musujący szampan żar, którego z razu niby nie rozumiał wcale.

Zapędził się tak dalece w swem oszołomieniu, że domino zawołało z zdumieniem:

— Ależ mój niemiecki kasyerze, ty jesteś na wskroś paryżaninem!

— Znasz mnie więc?—zapytał Müller?

— Tak, trochę, od dnia, w którym mi wymieniałeś czek, przez okienko swej kasy. Mówię ci otwarcie, bardzo mi się podobałeś. Lecz jedźmy na kolację, a raczej na śniadanie, ponieważ to już piąta nad ranem.

W gabinecie, domino zdjęło maskę i Müller przypomniał sobie iż w rzeczy samej widział niegdyś tę osobę.

Była to Alina Pradier, piękna brunetka z bujnemi splo-

tami włosów tak czarnemi, iż barwa ich mieniła się w granatową prawie i czarnemi, piekielnie ognistemi oczyma.

Alina miała opinię wielce kapryśnej hetery. Była istotą niebezpieczniejszą niż wiele jej podobnych.

Wychodząc tegoż samego dnia z pałacyku przy ulicy Frydlanckiej, w którym zamieszkiwała ta niegdyś kupcowa pomarańcz, Müller postanowił posłać tej swojej nowej kochance bransoletę złotą za dwadzieścia pięć luidorów.

Nazajutrz jednak, rozmyślił się i sam zaniósł ów podarunek!

Po upływie tygodnia, szalenie zaszołomiony, a co więcej wściekle zazdrosny, pozyskał już nazwę *„pana“* u pokojówki owej kokoty.

Przez trzy miesiące utrzymywał się ów związek przy pomocy wielkiej liczby listów w rodzaju tych jakie przytoczyliśmy powyżej.

Müller nie szczędząc pieniędzy, stał niezachwianie na zdobytej pozycyi kochanka Aliny aż do dnia w którym spostrzegł iż jest zdradzanym.

Co począć? Bardziej niż kiedykolwiek rozkochany badać ją zaczął. Alina Pradier skłamała, rzecz naturalna, spostrzegł to od razu i postanowił ją śledzić.

Śledzić? lecz jak i kiedy?

Od godziny dziewiątej z rana do czwartej po południu, kasyer przykuty jest do kasy, jak szyldwach na warcie. Wszelka wycieczka jest niepodobną.

Müller wynalazł na to sposób. Inni zrobią za niego to czego sam zrobić nie mógł.

Prospekt agencyi Roch i Fumel jaki wpadł mu w ręce, powiódł go na ulicę Montmartre. Stanisław Picolet otrzymał zlecenie szpiegowania Aliny Pradier, a kasyer dla ukrycia swego nazwiska rozkazał adresować listy pod inicyałami poste-restante w biurze pocztowem przy ulicy Rousseau, gdzie codziennie przechodził wracając z biura.

W krótkim czasie przekonał się, że jego podejrzenia były uzasadnionemi.

Miał rywala a tem groźniejszego, że był nim jego własny pryncypał, baron Worms.

Mąż Waleryi, zawrócił sobie głowę Aliną Pradier, ujrzawszy ją pewnego wieczora w loży teatralnej i rzecz nie do uwierzenia, hetera ta, bardziej kapryśna niż kiedy, nie przyjęła wizyty bankiera, zawiązawszy wtedy stosunki z jego kasyerem. Opór ten jednak nie przeciągnął się zbyt długo, oddaliwszy Fryderyka Müller, który nie chciał być przez nią jakoby z łaski przyjmowany, zwróciła się do barona Worms, roztoczywszy po nad nim absolutną władzę dzięki zapewne wyższości wad swoich i zapanowała tak nad nim, jak dotąd żadna z kobiet.

Te to okoliczności sprowadziły w najwyższym stopniu skandaliczną scenę o jakiej wspominali świadkowie badani przez pana Boulleau-Duvernet.

Pewnego wieczora, a raczej pewnej nocy, wprowadzonej pod dach małżeński Alinie Pradier, przyszła fantazya zwiedzić sale przyjęcia w pałacu.

Pan Worms, zawsze i we wszystkiem posłuszny na jej skinienie, oprowadzał ją z zapaloną świecą w ręku.

— Bardzo to piękne — odpowiedziała popatrzywszy chwilę — radabym jednak widzieć to wszystko przy pełnem gazowem oświetleniu.

— Chcesz? rozkażę natychmiast oświetlić — zapytał śmiejąc się baron.

— Jakto, tej nocy?

— Jednej chwili, w oka mgnieniu. Powiedz że życzysz sobie, a obudzę kamerdynera i w ciągu dziesięciu minut nastąpi illuminacya.

Alina Pradier potrząsnęła głową.

— Nie! Ja mam inną myśl, lepszą—odpowiedziała.

— Inną myśl, lepszą?—powtórzył baron. Jaką? chciałbym wiedzieć?

— Wydaj bal, ja na nim będę—zadecydowała stanowczo.

Baron spojrzał na swoją kochankę z osłupieniem.

Mimo, że nawykł do kaprysów owej kobiety, wyż wymieniony jednakże przez nią zdawał mu się przechodzić granicę najbardziej rozbujałej fantazyi.

— Cóż to? co znowu?—zawołała z gniewem Alina.—Dla czego patrzysz na mnie tak osłupiałemi oczyma, jak gdybym powiedziała coś szalonego?

— Jak to? — Ty chcesz przyjść na bal do mnie, tu, do pałacu?

— Tak, chcę!

— Do mojej żony?

— Do twojej żony, do ciebie! Tak!

— Ależ to niepodobna, niepodobna!—powtarzał.

— Ach! tępa głowo! — zawołała z podrażnieniem. Jeśli bal będzie maskowy, któż zgadnie że ja na nim jestem?

Baron uspokojony, uśmiechać się zaczął.

— To prawda — odpowiedział, to prawda! Masz myśl doskonałą!

— Ja zawsze miewam takie myśli...

— Możemy to urządzić, lecz proszę bez żadnych scen na balu!

— Za kogóż mnie bierzesz, na Boga? Bądź spokojnym. Zachowywać się będę jak mniszka!

XX.

Nazajutrz pan Worms, którego cynizm nie cofał się przed najhaniebniejszem szaleństwem nakazanem przez Alinę, rozesłał po Paryżu liczne zaproszenia na bal *kostyumowo-maskowy*, jaki miał się odbyć u niego w następującym tygodniu.

Dopisek umieszczony po niżej karty różowej, objaśniał zaproszonych, że maski były obowiązującemi dla kobiet, tak, jak charakterystyczne kostyumy lub płaszcze Weneckie dla mężczyzn.

Żony bogatych bankierów, agentów giełdowych, spekulantów, pochwyciły z radością ową sposobność do współzawodniczenia w zbytku, eleganc yi i okazania wdzięku w oryginalności.

Przez cały tydzień rysownicy, krawcy i szwaczki renomowane, zasypanymi byli zamówieniami, jak niegdyś w przed - dzień słynnego balu, wydanego przez księcia de Morny, jaki zostawił tyle pamiętnych wspomnień.

Przyszedł nareszcie ów wieczór tak niecierpliwie oczekiwany.

Około dziesiątej wieczorem, powozy zajeżdżać poczęły z zaproszonymi przed peron pałacu.

Pan Worms w kostyumie finansisty, złotem drapowanym z czasów Ludwika XV-go, stał w małym salonie dotykającym przysionka, odbierając osobiście karty zaproszenia, jakie podawał mu lokaj w porcelanowej wazie japońskiej.

Baronowa z odkrytą twarzą, w skromnym kostyumie wieśniaczki Bretońskiej, czarownie była piękną tego wieczora. Przyjmowała on przybywających w progu wielkiego salonu. Wszyscy oni prawie wymieniali swoje nazwiska, witając ją ukłonami.

Gilbert de Présles, zachwycająco piękny w ubiorze Palikara, pożerał ją wzrokiem.

Pomiędzy gośćmi, mężczyzna wysokiego wzrostu w kostyumie Armeńczyka stał nieruchomy pod oknem, nie mówiąc nic do nikogo, widocznie wyosabniając się z ogólnej wrzawy i wesołości.

Był to Fryderyk Müller, ponury, smutny, przygnębiony znaną nam troską, pełen nienawiści dla barona od chwili, w której tenże odebrał mu Alinę Pradier.

Salony zwolna się zapełniały.

Niesłychane bogactwo kobiecych kostyumów, różnorodność barw, blaski drogocennych klejnotów, sprawiały zamęt w umyśle, wzrok olśniewając.

Dwadzieścia milionów iskrzyło tu pod postacią drogich kamieni na ramionach i we włosach kobiecych.

Dwie niewidzialne orkiestry, umieszczone w górnej trybunie między krzewami raźno przygrywały. Organizowały się kadryle i bal dochodził kulminacyjnego punktu ożywienia.

Baron Worms na swojem stanowisku w małym salonie, zdawał się być jak gdyby strudzonym i niespokojnym.

Czas mijał, było już blisko północy, a osobistość oczekiwana przeń nie przybywała.

— Kapryśna, szalona dziewczyna—mówił sobie z cicha—gotowa nie przyjść na tę uroczystość dla niej umyślnie wydaną. Co znaczy że dotąd nie pojawiła się wcale? Rzecz jasna, zdradza mnie do czarta!

Północ wybiła.

Rytm uroczego walca cichnąć już zaczął. Obie orkiestry umilkły.

Nagle szmer powstał ode drzwi wielkiego salonu, zbliżając się i rosnąc z każdą chwilą.

Ze strony męzkiej ów szmer wyrażał zachwyt i zdumienie, ze strony żeńskiej zdumienie wraz z oburzeniem.

Obecni powstali z miejsc swoich. Każdy miał coś do powiedzenia na ucho sąsiadowi swemu, albo sąsiadce.

We drzwiach salonu ukazała się kobieta majestatycznej postaci i bez najmniejszej oznaki zakłopotania szła pośród grupy osłupiałych gości.

Ta kobieta, której górną część twarzy pokrywała aksamitna półmaska, posiadała godne podziwu kształty plastyczne, odkryte więcej niżby przyzwoitość tego wymagała.

Była to Alina Pradier w kostyumie Oceanidy, jaki bywa jedynie widywanym w sztukach sensacyjnych niższego ro-

dzaju, wobec publiki mniej drażliwej na względy przyzwoitości.

Ów kostyum składał się z trykotów jedwabnych cielistego koloru, ściśle opiętych, pozostawiając zupełnie odkryty gors i ramiona. Nieco zielonej gazy i kilka liści wodnych roślin morskich, zastępowały tunikę. Długie czarne włosy Aliny spadały ciężką masą na jej plecy, olśniewającej białości.

Odkryte ręce założone miała brylantowemi bransoletkami, takież kolczyki i gwiazdy błyszczały w jej włosach. W prawej ręce dzierżyła mały trójząb złoty.

— Ależ to arcydzieło gustu i piękności—myśleli mężczyźni.

— Ach! to haniebne! szeptały kobiety.

Baron Worms po wejściu Oceanidy ukrył się wśród zaproszonych, złorzecząc nazbyt mitologicznemu przebraniu swej faworyty.

Napróżno od trzech dni badał ją o szczegóły tego przebrania. Niechciała nic wyjawić po nad to:

— Bądź spokojnym mój ukochany, ręczę że się to uda i wywoła niesłychane wrażenie.

Jakoż owa „*Pomarańcza*“ nie skłamała, efekt był potężny, wywołał wrażenie.

Oceanida zdawała się tego nie spostrzegać i zachowywała się w swoich jedwabnych trykotach tak swobodnie i śmiało, jak Wenus w „*Orfeuszu w piekle.*“

Zaproszeni zgromadzili się w około baronowej Worms, zarzucając ją pytaniami, jakie można streścić w tych słowach:

— Piękna osoba, lecz ekscentryczna. Zdaje się że sama przybyła? Twarz ma ukrytą pod maską, poznać jej zatem nie można. Tobie jednakże baronowo jako gospodyni domu, zapewne musi być znaną?

— W rzeczy samej, znać ją powinnam skoro znajduje się u mnie w salonie—wyjąknęła z pomięszaniem Walerya, pod-

czas gdy jej serce dziwna uciskała trwoga—mimo to nieodgaduję, niewiem kto może być ona.

— Baron jednak wiedzieć powinien, wszak sam odbiera karty zaproszonych gości?

— To prawda, pójdę zapytać go o to.

Tu pani Worms przeciskać się poczęła przez tłum zaproszonych szukając męża, którego odnalazła nareszcie.

— Mój przyjacielu—rzekła do niego z lekkiem zakłopotaniem—przychodzę do ciebie jako posłanniczka od obecnych tu dam.

— Ha! ha! roześmiał się ironicznie bankier—damy przysyłają do mnie ambasadora. Na honor! to zaszczytu dla mnie zbyt wiele!

— Dziwią się, niepokoją—mówiła dalej baronowa—obecnością osoby pięknej niezaprzeczenie, ale ubranej w dziwnie nieprzyzwoity kostyum...

— Tak, kostyum jest nieco drastycznym, — odrzekł pan Worms — przyznaję że jest nawet i cokolwiek nieprzyzwoitym być może, co chcesz jednakże. Te włoszki mają tak mało taktu i zastanowienia. Nawykłe do obnażonych w swym kraju posągów, naśladują je przy przebraniu, nie widząc w tem nic złego.

— A! jest to więc Włoszka?

— Tak i wielka dama! Tak moja droga. Dama wysokiego rodu, niezmiernie bogata! Markiza de Mentano.

— Po raz pierwszy słyszę to nazwisko—wyszepnęła Walerya.

— I ja przed dwoma dniami nie znałem go wcale! Bądź jednak spokojną, to co ci mówię, jest autentycznem. Ambasodor Włoski pisał do mnie wczoraj, polecając mi swoją szlachetną rodaczkę i prosząc dla niej o zaproszenie na nasz bal.

— Zaprosiłeś więc zapewne i markiza wraz z jego żoną?

— Nie, ona sama przebywa w Paryżu. Uspokój więc

proszę, obecne tu damy, których skromność cierpiałaby może na niedyskrecyi tego kostyumu.

Walerya odeszła a za chwilę później zaczęło krążyć po salonie to zdanie z ust do ust powtarzane:

— Jest to wielka dama włoska, protegowana przez ambasadora.

I przygłuszono rodzący się skandal.

Wszystko co tu opowiadamy, odbyło się w daleko krótszym czasie, niż spotrzebowaliśmy go na opisanie powyższych szczegółów.

Orkiestry grać zaczęły i tłum młodzieży otoczył Oceanidę, zapraszając ją do następujących kadrylów.

Podawszy rękę jednemu z nich, dozwoliła się prowadzić.

Objawiło się natenczas ogólne zaciekawienie.

Każdy chciał ujrzeć jak tańczyła owa markiza przybrana w tak obcisły kostyum, spodziewając się nastąpienia jakiejś nowej ekscentryczności.

Oczekiwania zawiodły obecnych tym razem.

Oceanida odznaczyła się wdziękiem w granicach zakreślonej przyzwoitości.

Zadziwiło jednak kawalera owej mniemanej cudzoziemki kilka drastycznych wyrazów, wybiegłych z różowych jej ust pomimowolnie, ale młodzieniec ów mało podróżując po świecie, wytłómaczył sobie, że w owym pięknym kraju Italii gdzie kwitnie pomarańcza, wszystkie wielkie damy w podobny sposób się zachowują.

Kilka bufetów zaopatrzonych w zbytkowne potrawy i napoje umieszczono na galeryi przyległej do wielkiego salonu.

Młodzieniec zaprowadził tam piękną Włoszkę.

— Może pani pozwoli podać sobie kilka kropel wina Szampańskiego?—zapytał.

— Dobrze — odpowiedziała—nie tylko kilka kropel, ale cały kieliszek i to pełny po brzegi.

Wychyliła go, następnie drugi, a potem trzeci.

— No! teraz dobrze się czuję—dodała—idźmy rozpocząć polkę, potrzebuję ruchu, uczuwam jak gdyby chodziły mi mrówki po nogach.

— O! prastare rzeki Tybru i Arno!—pomyślał młodzieniec, malownicze tarasy wiecznego miasta! O! laguny weneckie, most Westchnień, place Lwa i Marka, jakże wasze dzisiejsze rodaczki wyrażają się żargonem Mabilu!

Godzina tak upłynęła.

Mniemana markiza korzystając z czasu, odwiedzała bufet po kilkakrotnie, racząc się tam Cliquot'em pomięszanym z winem Bordeaux i ponczem palonym, skutkiem czego kompletnie sobie podpiła.

Po wychyleniu ostatnich tamże kieliszków, stanęła pośród zebranych gości a chwiejąc się z boku na bok, zawołała.

— Precz tańce salonowe! przekleństwo im wraz z obłudą salonów! Zbierajcie się w około mnie młodzieńcy, zobaczycie jak się to zdobywa kawalerów! Ach! jak mi gorąco! Tem lepiej. Zobaczycie czegoście dotąd niewidzieli! Tam gdzie panuje przymus, nie ma zabawy!

I zerwawszy szybkim ruchem maskę, odkryła obecnym oblicze Aliny Pradier przezwanej *„Pomarańczą“*

XXI.

Wielu młodych ludzi i niektórzy ze starszych mężczyzn znali osobiście Alinę. Wszyscy wiedzieli o jej bliskich stosunkach z baronem Worms. Nastąpiło więc ogólne osłupienie, w połączeniu ze wstrętnem zgorszeniem.

Szmer oburzenia i dające się słyszeć wykrzykniki, zdradzały stan umysłów zebranych tu gości.

Pani Worms wszystko widziała, wszystko zrozumiała.

Śmiertelna bladość pokryła jej oblicze.

Przez parę sek und wahać się zdawała, poczem, powziąwszy stałe postanowienie, zbliżyła się ku swemu mężowi, który całą siłą zbierając przytomność, starał się nie stracić równowagi umysłu, wobec ogólnego a tak jawnego oburzenia.

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia, grupy się rozstąpiły, dając wolne przejście znieważonej małżonce w jej własnym domu.

Walerya położyła rękę na ramieniu barona i rzekła do niego z cicha, zaledwie dosłyszanym głosem.

— Nie o[illegible]rzam cię, panie, żeś był wspólnikiem nikczemnego planu, jaki się odbył przed oczyma zebranych. Przypuszczam że cię oszukano, nadużyto twej dobrej wiary i wszyscy przekonają się o tem jeżeli przez szacunek dla mnie i znajdujących się tu osób, wypędzisz natychmiast ztąd tę kobietę!

Baron mocno się zarumienił. Czuł słuszność żądania ze strony żony. Żałował gorzko nie haniebnego czynu, jaki popełnił, lecz następstw mogących wyniknąć z tego.

Pozostawało mu jedyne honorowe wyjście z owego położenia. Należało mu, zebrawszy całą energię, wyrzucić za drzwi ową nikczemną istotę, sprawczynię tego obrzydłego skandalu.

Nie miał ku temu odwagi i, jak dzik, broniący się psom a rzucający na myśliwego, postanowił siłą brutalności wydobyć się z przygniatającego go położenia.

— Czyś zmysły straciła?—odrzekł usiłując onieśmielić Waleryę surowością głosu. — Ma więc być zwyczajem w naszym domu znieważanie gości? Innej ja grzeczności oczekiwałem z twej strony!! Ktokolwiekbądź wstąpi w me progi, szanowanym być powinien! Kto czyni mi zaszczyt odwiedzenia mnie, nie odmówi zaszczytu i pozostania u mnie na dłużej!

— A więc ta kobieta?

— Ta „pani“ jest moim gościem — zawołał baron z gwałtownością, wskazując gestem Alinę. Nakazuję ci ją szanować!...

— Nie każesz więc jej odejść?

— Nie! i bronić jej będę, gdyby było trzeba nawet przeciw tobie!

— A zatem ja jestem tutaj zbyteczną? — wyjąknęła Walerya. Zatem ja wyjść ztąd powinnam?...

— Jeśli tak sądzisz możesz to uczynić!

Pani Worms zadrżała, przejęta zgrozą. Spojrzała na męża i Alinę Pradier.

Blade oblicze barona przedstawiało wyraz dzikiego, niewzruszonego postanowienia.

Alina zwycięzko się uśmiechała.

Pani Worms z okrzykiem ciężkiej boleści, chwyciwszy się za głowę jak obłąkana, wybiegła z salonu, podczas, gdy w około niej i po za nią rozlegał się szmer głębokiego współczucia i litości.

Zaledwie zniknęła ta nieszczęśliwa kobieta szmer ustał, a jego miejsce zajęło tak pogardliwe milczenie, że pan Worms, nie zdolny stawić dłużej czoła burzy, wywołanej swoim cynizmem, chwycił za rękę Alinę, wołając:

— Wychodź pani!... Mają słuszność. Nadużyłaś mej dobrej wiary. Nie tu jest miejsce dla ciebie!

I wyprowadził ją, a raczej wywlókł aż do przysionka, gdzie zarzuciwszy jej płaszcz na ramiona, rozkazał kamerdynerowi odprowadzić ją do powozu, sam zaś powrócił do salonu, gdzie starał się wytłómaczyć obecnym ów skandal, wynikły z nadużycia jego ufności przez włoskiego ambasadora.

Słuchano przez grzeczność owych objaśnień, pozornie dając niby im wiarę, wiedziano jednak dobrze co o tem sądzić i powyżej opisane przez nas zdarzenie tak

ujemnie oddziałało na zebranych, że zabawa odrodzić się już nie zdołała.

Piękności, zaproszone przez barona, uważały się słusznie za ciężko obrażone przez wprowadzenie kobiety z pół świata do ich towarzystwa, obok czego poczytywały sobie za obowiązek stanąć po stronie znieważonej pani Worms.

Naprożno obie orkiestry z podwójną werwą wygrywały walce i kadryle, rozpoczęło się wyludnianie salonu i wkrótce w owych rozległych, rzęsiście oświetlonych apartamentach pozostało jedynie kilku amatorów ostatniego kotyljona.

Pierwszą myślą Waleryi było uciec do swego pokoju, aby, zamknąwszy się w nim, zapłakać swobodnie, nie z gniewu, ale z boleści nad swem upokorzeniem, rozważyła jednak, iż może zabraknąć jej siły, że upaść może, zdławiona łkaniem na schodach i schroniła się do zimowego ogrodu, słabo oświetlonego, pełnego bujnej wegetacyi, zacienionego zielenią na kształt dziewiczego lasu, przyległego do galeryi, na której zastawionemi były bufety.

Gilbert de Prèsles szedł za nią, zbaczając roztropnie wśród tłumu zebranych, aby zapobiedz wszelkiej niedyskretnej ciekawości; zaś ów Armeńczyk, czyli raczej kasyer Fryderyk Müller, niemy świadek skandalu wywołanego przez Alinę Pradier, postępował ostrożnie za wicehrabią.

Walerya upadła na ławkę umieszczoną w ciemnym zakątku zimowego ogrodu i ukrywszy twarz w dłoniach, gorzko płakała.

Nagle zadrżała i wybiegające łkanie stłumiło się w jej piersiach.

Pan de Présles ukląkł przed nią.

Po raz pierwszy oddała swe drobne ręce pocałunkom tego którego, dotąd kochała jak brata.

Czyż można było uważać to za winę z jej strony? Biedna kobieta tak potrzebowała być przez kogoś kochaną.

— Ach! Gilbercie — szepnęła—ty jeden mi tylko na świecie pozostajesz. Zbyt wiele na mnie spada niezasłużo-

nego wstydu, zbyt wiele otacza mnie niegodziwości! Dziś zniewaga publiczną się stała. Bóg świadkiem, na nią nie zasłużyłam. Czuję iż braknie mi sił do zniesienia czegoś podobnego! Osłoń mnie swoją opieką, Gilbercie. Broń mnie i ocal!...

Oddzielony od wicehrabiego i Waleryi pnącemi się tylko krzewami i liśćmi, po za któremi się ukrył, Fryderyk Müller był niewidzialnym świadkiem powyższej rozmowy.

Posiadł tajemnicę dwóch istot, gorąco się kochających, mimo, że ani jednego wyrazu miłości nie wymówiły ich usta.

Domyślił się, że Gilbert posiadać musiał klucz od furtki. Poznał ich nocne schadzki w małej altance ogrodowej i z radością szeptał sobie:

— Baron Worms zabrał mi moją kochankę. Nadejdzie dzień nie zadługo, w jakim rzucę mu w twarz zdradą jego żony! Niewinna dotąd owa platoniczna tkliwość inne wkrótce przybierze rozmiary. Dzisiejsze ich tu wspólne spotkanie się popchnie całą siłą pary sprawę pana de Présles. Pragnienie zemsty powiedzie baronową do grzechu. Będę potrzebował dowodów i mieć je będę!

Nazajutrz Müller wrócił do agencyi Roch i Fumel, przy ulicy Montmartre i połączył się na nowo z prawą ręką tegoż zakładu, nieoszacowanym Picolet'em.

Sta... Pi: został proszonym przezeń o rozpoczęcie swej śledczej pracy, wszakże tym razem nie po nad Aliną Pradier, ale nad żoną barona Worms.

Usłyszawszy to Picolet, wzruszył ramionami.

— Dobrze—zawołał—lecz czyli się to da zrobić?

— Dla czegóżby nie?

— Jestem zręcznym do spraw podobnego rodzaju, tej jednak wtedy podjąć się chyba mogę, jeśli mnie pan wprowadzisz do pałacu bankiera i dopomożesz w zawiązaniu znajomości tak z baronową, jako i wicehrabią, to natenczas jedynie tylko pożytecznym panu być mogę.

Fryderyk Müller przekonać się go starał, że wszelka

bliższa znajomość Picoleta'a z baronową i wicehrabią jest bezpotrzebną, ponieważ owo szpiegowanie, o jakie chodziło, miało się odbywać w ogrodzie.

Sta... Pi: potrząsnął głową.

— Nie, to niemożebne — odpowiedział. Ogród otoczony murem, rzecz naturalna. A zatem przeskakiwać trzeba. Dziękuję! Drabinka sznurowa, rzecz nazbyt romantyczna. Niedołężną jest wprawdzie nasza straż miejska, gdyby jednak spostrzegli kogoś siedzącego wierzchem na murze, zwróciło by to ich uwagę. A sędzia, ów miły sędziulek, o którym zapomnieliśmy, wdał by się nie zawodnie w tę sprawę. Jest zamieszczonym w kodeksie pewien artykuł 381, któryby do mnie zastosowano, jak rękawiczkę gdybym został schwytanym. Musiałbym tłómaczyć, iż ze względu na moralność, rozciągnęłem nadzór po nad miłosną intrygą dwojga zakochanych, możesz pan jednak być pewnym iż nie uwierzono by memu zapewnieniu i w oka mgnieniu wysłano by mnie do Brestu lub do Tulonu! Nie, tego niechcę! Wolę pozostać w Paryżu.

— Gdybyś pan miał klucz od furtki, uniknął byś tego niebezpieczeństwa—rzekł kasyer.

— Gadaj pan zdrów! istniało by ono ciągle. Użycie dobranego klucza, rzecz przewidziana. Zresztą jednakże, przy wielkiej ostrożności można by się może jakoś wydobyć z tego. Masz pan ten klucz?

— Oto jest!

— A gdzież się znajduje ta furtka?

— Pokażę ją panu dziś pomiędzy dziesiątą a jedenastą wieczorem:

Picolet rozpoczął bezzwłocznie swój nadzór po nad zakochanemi, co lubo nie przynioslo na razie rezultatów pożądanych, w dalszej przyszłości nie chybiło celu.

Baron Worms okazywał się być coraz więcej brutalnym, coraz bardziej zobelżał swą żonę, czyniąc tym sposobem wspólne pożycie małżeńskie niemożebnem.

Pewnego dnia w przystępie szalonego gniewu, poważył się unieść rękę na Waleryę.

Od owej to chwili zrodziło się w umyśle baronowej postanowienie ucieczki dla uchronienia się raz na zawsze od tyle wstrętnej i ciężkiej egzystencyi.

Picolet, któremu owo nowego rodzaju szpiegowanie bardzo do gustu przypadało, był obecnym przy układaniu planu wyjazdu dwojga zakochanych, o czem nie omieszkał powiadomić Müllera.

Pisząc: „na jutro postanowione“ znaczyło to, że nazajutrz Gilbert de Présles z baronową mieli wyjechać z pałacu.

Ów współpracownik agencyi Roch i Fumel, jak wiemy, w stanie podpiłym, opowiedział te rzeczy szczegółowo Jobin'owi, biorąc go za młodzieńca szalenie zakochanego w Alinie Pradier, a tem samem wielce o nią zazdrosnego. Zakończył opowiadanie temi słowy:

— Otóż uciekli oboje, jak sobie tobie to ułożyli, para zakochanych gołąbków! Lecz niech mnie dyabli porwą, jeślim nie przewidywał, że przed ową ucieczką wyporządkują na czysto kasę bankiera.

— Zatem pan sądzisz, że to oni zabrali pieniądze?—pytał Jobin.

— Dobre zapytanie! Któż więc inny mógłby to zrobić? Sądzę że nie pan, ani ja zarówno:

— Ileż osób wiedziało o ich wyjeździe? — badał dalej agent.

— No! dwie osoby, ja i pan kasyer.

— Nikt więcej?

— Nikt! Gotów jestem położyć na to głowę pod gilotynę.

— Dobrze... dobrze!...— rzekł Jobin głośno, a w duchu pomyślał sobie:

„Skoro tak, mam sprawę w kieszeni!

XXI.

Późno wieczorem wyszedł nasz agent policyjny z restauracyi „pod Skałą Caneala“, zostawiwszy Stanisława Picolet w stanie upiłym, uśpionego na dywanie.

Wsiadłszy do fiakra, kazał się zawieść na ulicę Frydlancką do panny Aliny Pradier.

Przyjemna owa osóbka oczekiwała na przybycie pewnego, bardzo bogatego przemysłowca, jaki jej w dniu poprzednim został przedstawionym i wydała najsurowszy rozkaz swej służbie nie wpuszczania nikogo, prócz wyż wymienionej osobistości.

Jobin na kartce papieru nakreślił te słowa: „Ze strony pana prefekta policyi“ rozkazując pokojówce doręczyć natychmiast ów papier swej pani.

Jakoż nastąpił bezzwłócznie skutek pożądany i agent został wprowadzonym do buduaru Aliny.

Znalazł ją bardzo wzburzoną i niespokojną, mimo że usiłowała ukryć swoje wzruszenie.

— A! to pan — zawołała—który przychodzisz ze strony policyi?

— Tak pani. Oto moja karta agenta.

— Co to znaczy? Czego chcą odemnie? Ja nie zrobiłam nic złego. Powiedz pan, czy mi zagraża jakie oskarżenie?

— Nie, upewniam, jeżeli pani odpowiesz szczerze na kilka przezemnie zadanych ci pytań; w przeciwnym razie, oczekuje cię Saint-Lazare.

— Saint-Lazare?—zawołała bledniejąc Alina.

— Tak jest, niestety. Wiadomo pani zapewne że dla niej otwartemi być mogą drzwi niektórych poprawczych zakładów, zostających pod pewną władzą administracyjną.

— Zapytaj mnie pan — wołała z trwogą kokotka, opowiadać będę prawdę, najczystszą prawdę. O czem chcesz ażebym ci mówiła?

— Oznacz mi pani cyfrę pieniędzy, jakie Fryderyk Müller, kasyer pana Worms wydał na ciebie przez kilkomiesięczny czas trwania związku waszego, lecz proszę o ścisłe oznaczenie sumy.

Alina Pradier miała zwyczaj, jak wiele jej koleżanek, zapisywania u siebie regularnie przychodów i wydatków.

Służącą jej do tego oprawną księgę położyła przed Jobin'em:

— Otóż co pragnąłbym wiedzieć—rzekł tenże zsumowawszy ogół do 60,000 tysięcy franków wynoszący.—Pomnij pani—dodał, że nikt na świecie, a nadewszystko Fryderyk Müller wiedzieć nie powinien że ja tu byłem i że pani zemną się widziałaś. W razie najmniejszej niedyskrecyi czeka cię Saint-Lazare!...

Przestraszona Alina, milczeć przysięgła i agent wsiadłszy do fiakra kazał się wieść do mieszkania pana Boulleau-Duvernet, przy ulicy Konstantyna.

Ów sędzia śledczy był w domu. Siedział po nad aktami tej sprawy, studyując je pilnie.

— Ty, u mnie? O tej godzinie? — zawołał, widząc wchodzącego Jobin'a.

Czyż masz mi coś nowego do powiedzenia.

— Tak jest, panie sędzio.

— Tem lepiej, ponieważ ów wicehrabia wraz z baronową sprawiają mi wiele kłopotu. Podczas mego długoletniego prawniczego zawodu, nie spotkałem podobnie zatwardziałych hultajów. Panią Worms doprowadziło to aż do zemdlenia, prawdziwego omdlenia, skonstatowanego przez lekarza. Nie zechcą się przyznać do niczego. Potrzeba by nam było mieć przeciwko nim jakieś przekonywające ważne dowody; masz że takowe?

— Zdaje mi się że je pozyskałem.

— Dowody ich zbrodni?

— Przeciwnie, ich niewinności.

Boulleau-Duvernet zerwał się z fotelu ale tym razem nie zgromił Jobin'a jak poprzednio.

— W takim razie—odrzekł po chwili milczenia, któżby według ciebie mógł być zabójcą barona?

— Odpowiem na tę kwestyę lecz niech pan sędzia przed tem zapytać pozwoli, czy ów list bezimienny, pisany do pana Worms znajduje się w aktach leżących na tym biurku?

— Oto jest rzekł sędzia.

Wziąwszy go Jobin, wyjął z pugilaresu ćwiartkę niebieskawego papieru, znalezionego przezeń w bibule kasyera i przyłożył ją do listu.

Nie tylko że wycięcia obu kawałków zgadzały się z sobą najzupełniej, ale wyrazy: „Papiernia w Essone“ widoczne wewnątrz łączyły się również doskonale.

— Ha! — zawołał Jobin z dźwiękiem tryumfu—byłem o tem przekonany! Teraz mogę powiedzieć z absolutną pewnością: Mordercą barona Worms jest Fryderyk Müller!

— Co, kasyer?

— On sam...

— Ależ to szaleństwo!

— Ja mówię że prawda.

— Dowody, przedstaw mi dowody!

— Posiadam ich wiele! Na ich zebranie to właśnie zużytkowałem dzisiejsze popołudnie i wieczór. Niech pan sędzia wybaczyć raczy pewne nielegalności w mojem postępowaniu, choćby ze względu na wieńczący je skutek.

Tu opowiedział w krótkości, szczegóły, wiadome czytelnikom.

Po kilkakrotnie w czasie jego opowiadania sędzia brwi marszczył z niezadowoleniem, nie przerywał jednak mowy agenta, a gdy ten skończył:

— Masz słuszność — rzekł. Zgadzam się z tobą w zupełności. Fryderyk Müller zrabował kasę, aby wywrzeć

zemstę na tym, który mu zabrał tę kobietę. Powiadomiony przez swego szpiega o wyjeździe baronowej z wicehrabią, korzystał z ich ucieczki ażeby zwalić na nich cały ciężar zbrodni i zgnębić ich pod nawałem pozornych dowodów. Dokonałeś mistrzowskiego dzieła, demaskując tego łotra, Jobin'ie. Jestem z ciebie zadowolony. Nie należy zatem pozwolić aby tak niebezpieczny złoczyńca wymknął się z rąk sprawiedliwości. Udzielę ci pełnomocnictwo ujęcia go i sprowadzenia, jakie wykonasz jeszcze tej nocy.

Bulleau-Duvernet, wziąwszy arkusz papieru, zapełnił go, podpisał i podał Jobin'owi. Agent schował pomieniony arkusz do portfelu, ale nie ruszył się z miejsca.

— Na co czekasz?—zapytał go sędzia.

— Prawdziwy zaszczyt przynosi mi pańskie oświadczenie iż pan jesteś ze mnie zadowolonym—wyszepnął Jobin z lekkim zakłopotaniem, polegając na tem, upraszałbym o położenie we mnie całkowitego zufania, a tem samem i odłożenie do jutra wieczorem przyaresztowania Müllera.

— Dla czego ta zwłoka?

— Podobna jemu osobistość posiada tysięczne sposoby do wymknięcia się z rąk sprawiedliwości, znajdzie on nawet środek za pomocą którego oczywistość zmieni w zwątpienie. Ja więc zobowiązuję się przeszkodzić wszelkim jego wybiegom i zmuszę go do wyznania winy wprzód za nim stanie przed panem sędzią.

— Ty to uczynisz?

— Uczynię.

— Jakim sposobem?

— Racz mnie pan, błagam, nie badać w tym względzie. Nie trudno byłoby mi w prawdzie odpowiedzieć na to panu sędziemu, lecz jak mówi jeden z naszych starych poetów:

Chcąc być pewnym swego dzieła,
Dokonać je naprzód trzeba.

Boulleau-Duvernet zamyślił się chwilę.

— Niech i tak będzie—rzekł nie badam cię o szczegóły twojego planu. Działaj według własnego przekonania, lecz bądź ostrożnym, bacz pilnie aby ów nędznik z rąk ci się nie wymknął.

— Niech pan sędzia będzie spokojnym. Będę osobiście czuwał tej nocy nad małym domkiem w którym ów kasyer zamieszkuje. Jutro z rana dwaj agenci zastąpić mnie przyjdą i nie stracę go z oczu na chwilę. Oni to doręczą mu rozkaz przyaresztowania, Gdyby Fryderyk Müller wiedziony instynktem uciec chciał drogą żelazną, w drodze pochwycić go zdołają.

— Idź! działaj, daję ci pełnomocnictwo w tej sprawie?

— Dzięki panu sędziemu za tyle zaufania—rzekł Jobin i wyszedł.

Nazajutrz z rana kasyer o zwykłej godzinie, udał się pieszo do biura bankierskiego Worms, śledzony w pewnej odległości przez jednego z kolegów Jobin'a.

Drugi policyant, stał na stanowisku około domku i dostrzegł przybywającą z miasta służącę Müllera, która otworzywszy drzwi kluczem weszła do mieszkania.

Po ukończeniu swojej roboty odeszła koło południa.

Agent pozwolił jej oddalić się na pewną odległość, poczem doścignąwszy ją, przedstawił posiadane upoważnienie i zaprowadził do komisarza policyi, który uspokoiwszy wystraszoną kobietę kazał jej pozostawić sobie klucz od mieszkania kasyera, polecając aby do jutra rana nigdzie z domu od siebie nie wychodziła.

Po zamknięciu biur, Fryderyk Müller poszedł do kawiarni, gdzie długo i uważnie wczytywał się w gazetę sądową publikującą szczegóły o „Sprawie Worms“ przyaresztowaniu osobistości podejrzanych o morderstwo, jako i obciążających je dowodach.

Podczas czytania wspomnionego artykułu pozostał zupełnie spokojnym, bez najmniejszej oznaki smutku lub trwogi.

Następnie udał się jak zwykle na obiad do angielskiej restauracyi, przy ulicy Magdaleny, z tamtąd na Pola Elizejskie na przechadzkę i wrócił na ulicę de Neuilly około dziewiątej wieczorem.

Ów mały domek w jakim zamieszkiwał, dziś już nie istnieje. Wznosił się on w pobliżu fortyfikacyi, był jedno-piętrowym.

Na parterze znajdowała się jadalnia, salon i kuchnia, Na pierwszem piętrze gabinet pracy i dwie sypialnie.

Po za domkiem znajdował się maleńki ogródek, zacieniony kilkoma drzewkami, wychodzący na drogę wiodącą w pole. Za to wszystko Fryderyk Müller płacił rocznie komornego tysiąc dwieście franków.

Gazowe latarnie umieszczone w pewnej od siebie odległości, słabo oświetlały tę ulicę, szczególnie podczas ciemnych nocy.

Kasyer wracając do domu, nie zwrócił uwagi na fiakr stojący o kilkadziesiąt kroków dalej, przed sąsiednim domem. Otworzywszy drzwi kluczem zapalił zapałkę, minął pierwsze piętro a wszedłszy do pokoju tak skromnie umeblowanego jak cela zakonnika, zapalił lampę.

Zaledwie zdołał to uczynić, zabrzmiał głos dzwonka od strony bramy tak gwałtownie iż kasyer drgnął pomimowolnie.

XXIII.

— Co to znaczy? — pytał sam siebie z niepokojem. Niespodziewam się nikogo. Nigdy nikogo tu nieprzyjmuję, Kto może dzwonić o tej godzinie? Ktoś się pomylił bezwątpienia, lub który z uliczników zadzwonił dla zabawki.

I założywszy umbrelkę na lampę stał nieruchomy, z natężonym słuchem, silnie bijącym sercem oczekując.

Kilka sekund tak upłynęło.

— Odgadłem! — wyszepnął Müller oddychając swobodniej, widocznie ktoś się pomylił.

Powtórnie przedłużone a bardziej gwałtowne dzwonienie, zadało kłam jego twierdzeniu.

Müller podbiegłszy ku oknu otworzył je nie bez trudności, drżenie albowiem nerwowe wstrząsało jego ręką i wychylił się na zewnątrz.

Przy bramie jakaś czarna postać stojąca na chodniku rysowała się wyraźnie.

— Czego pan żądasz?—zapytał kasyer.

— Pragnę się widzieć z panem Müller—odrzekł głos, na dźwięk którego zadrżał pytający.

— Cóż pan chcesz od niego? badał dalej.

— Odpowiem ci na to panie Fred. skoro mnie wpuścisz do swego Luwru, co radzę ci uczynić jak najprędzej dla ułatwienia rozmowy.

— Kto jednak jesteś?

— Ha! ha! niepoznajesz mnie więc po głosie? zaśmiał pytający, to dziwna. Nie lubię wygłaszać mego nazwiska na ulicy, tr ąci to bowiem pospolitością. Proszę więc otwórz, a spieszsię, ponieważ mam nader ważne szczegóły do udzielenia ci panie Fred. szczegóły, nie cierpiące zwłoki.

— Idę—rzekł Müller zamykając okno.

I otworzywszy w biurku szufladę, wyjął z niej mały rewolwer, wsunął go do kieszeni i szedł z lampą w ręku, ażeby otworzyć.

— Nie jest to grzecznie dać wyczekiwać na ulicy biednemu Sta: Pi... — zawołał przybyły, wpadając z pośpiechem w dziedziniec.

— Ach! to pan, panie Picolet—odrzekł kasyer poznając w mroku szczupłą postać i blade oblicze współpracownika agencyi Roch i Fumel.

— No! tak, ja jestem. w mej własnej osobie. Czyż cię to dziwi panie Müller?

— Zkąd znasz moje nazwisko, mój adres?

Picolet wzruszył ramionami.

Jakież to naiwne zapytanie—odrzekł śmiejąc się głośno, Czyliż pan nie znasz mojego rzemiosła jakie mi nakazuje wszystko i o wszystkiem wiedzieć? Gdym pisywał do pana listy poste-restante, pod inicyałami F. M. — wiedziałem już wtedy bądź pan pewnym, iż mam zaszczyt korespondować z panem Fryderykiem Müller, kasyerem harona Worms i nie mało krwi sobie napsułem widząc z pańskiej strony tak mało przezorności w zachowywaniu „incognito.“

— W jakim celu przychodzisz pan dziś do mnie?

— Ażeby porozmawiać.

— Cóż pan mi masz do powiedzenia? Służyłeś mi pan, ja ci zapłaciłem, skwitowaliśmy się nawzajem.

— Nie dosyć na tem. W pomienionej okoliczności musiemy przeprowadzić dyskusyę. Ja pana uważam jako mojego dłużnika i mam nadzieję że w ciągu pięciu minut pan przyznasz mi słuszność w tym względzie.

Müller potrząsnął głową przecząco.

— Płacę, com winien—odpowiedział; nigdy więcej.

— Zgoda, lecz jeżeli pan dłużnym coś jesteś?

— Nic dłużny nie jestem.

— Tak pan uważasz? No! to od chwili w której pożegnam się z panem, pójdę do pewnego sędziego śledczego, o którym zdaje mi się pan słyszałeś, do sędziego Boulleau-Duvernet i prosić go będę ażeby on uregulował pomiędzy nami rachunek, skoro pan niechcesz sam tego uczynić.

Kasyer zbladł jak ściana.

— Nie rozumiem o co chodzi?—wyjąknął zmieszany.

— No! to pan jutro zrozumiesz—odparł Picolet. Dobranoc panie Fred. wybacz że cię napróżno kłopotałem. Odchodzę.

— Jakto, nie wyjaśniwszy mi słów swoich?

— Wszak pan mnie słuchać nie chciałeś.

— Przeciwnie. Mów pan. Wejdź ze mną.

— To co innego. Stajesz się pan grzecznym jak wi-

dzę i jestem pewny że w krótkim czasie obadwaj porozumieć się zdołamy.

Müller szedł po wschodach prowadząc przybyłego za sobą do pokoju.

— Siądź pan — rzekł wskazując mu krzesło i jednocześnie przenosząc lampę w głąb pokoju, dla ukrycia przerażającej bladości swej twarzy.

Powróciwszy, siadł i zaczął:

— Mówiłeś mi pan o sędzim śledczym, co to ma znaczyć? Dla czego?

— Sądzę iż pan o tem wiesz dobrze.

— Nic niewiem.

— A zatem będę miał przyjemność powiadomić pana. Pracowałem dla ciebie kochany panie Fred. i sądzę że pan byłeś z mych drobnych usług zadowolonym.

Müller rzucił się niecierpliwie.

— Do rzeczy!—zawołał przystępujmy do rzeczy.

— Ależ to właśnie jądro kwestyi. Jesteśmy w całej pełni. Wszakże pan wiesz ile od ciebie z trudem wydostałem podczas bezustannego śledzenia Aliny Pradier, barona Worms, baronowej jego żony i wicehrabiego de Presles, ich przyjaciela. Nędzną sumę dochodzącą najwyżej czterystu franków.

— Cóż mnie to obchodzi? Dałem więcej niż ugodziłem!

— Powinno pana wiele obchodzić. Jestem biedakiem, bez żadnych środków utrzymania. Czwartą część życia spędzam na ustawicznem bieganiu za sztuką dwudziestofrankową jaka rzadko kiedy pochwycić mi się daje. Czy to nazywa się życiem zapytuję pana, jeśli się ma jak ja upodobanie do zabaw i chęć do wyławiania pieniędzy? A więc zaprzysiągłem sobie iż jeśli kiedykolwiek znajdę sposobność do pozyskania majątku, chwycę się tego obiema rękami i wymknąć się temu nie pozwolę. Taka właśnie sposobność dziś mi się wydarza, trzymam ją i nie wypuszczę, nie, nigdy!

Tu zamilkł.

— Pozwoliłem panu mówić, nie przerywałem — rzekł kasyer, wyznam jednakże iż coraz mniej pana rozumiem.

— Panie Fryderyku Müller, potrzebuję stu tysięcy franków—zawołał Picolet.

— Co pan mówisz?

— Mówię o stu tysiącach franków.

— Może pan spodziewasz się dostać je odemnio?

— Stanowczo, ma się rozumieć.

Müller wzruszył ramionami.

— Jesteś pan żartownisiem, albo szalonym!

— Ni jednym, ni drugim—odrzekł Picolet. Mówię na seryo, w pełnej przytomności zmysłów. Daj mi pan sto tysięcy franków, to cię nie zrujnuje, zostanie ci jeszcze trzysta pięćdziesiąt siedm tysięcy z tej sprawy. Piękny grosz zaiste!

Müller zerwał się z krzesła.

— Co, co pan mówisz? — wyjąknął stłumionym głosem.

— Mówię że zabrałeś pan czterysta pięćdziesiąt siedm tysięcy z kasy barona Worms, zamordowawszy go, i że mnie się należy część z tego!

— Ach! nędzniku!—zawołał kasyer gotów skoczyć z zaciśniętą pięścią na przybyłego. Picolet nie poruszając się z miejsca, powstrzymał go ukazując siedmiostrzałowy rewolwer, poczem rzekł:

— Nie czyń głupstw nadaremnie. Moje postanowienie jest niewzruszonem, zresztą nie zrobię ci nic złego. Nie służąc w policyi, nie jestem zobowiązanym do oskarżania ciebie. Daj mi sto tysięcy franków, a stanę się twoim wspólnikiem zachowując tajemnicę, która pomimo wszystko dyabelnie jest podłą. Co począć, jednak pieniądz przedewszystkiem! Praktykowanie cnoty i moralności nie przyniosłoby mi nigdy pięciu tysięcy franków rocznej renty. No jakże, zgadzasz się na moją propozycyę?

Fryderyk Müller odzyskał krew zimną.

— Jesteś zuchwałym łotrem! — rzekł z pogardliwą iro-

nją, ten jednak proponowany mi szantaż nieprzyjdzie do skutku! Czegóż mam się obawiać z twej strony co mi zależy na tak głupiem i śmiesznem oskarżeniu? Mordercy barona Worms znajdują się już w rękach sprawiedliwości, widać że o tem nie wiesz, lub zapomniałeś. A więc powiadamiam cię, o tem i przypominam. Nie tylko jesteś nędznikiem panie Picolet lecz jesteś i głupcem.

Przybyły wstawszy, ukłonił się komicznie i odrzekł:

— Dzięki za kompliment, panie kasyerze. Wszystko to bardzo piękne, ale błąkamy się w manowcach. W ów wieczór popełnionego morderstwa, od jedenastej, do godziny pierwszej po północy, znajdowałem się w ogrodzie, od którego klucz mi dałeś. Jakaś dziwna myśl przyszła mi do głowy. Postanowiłem jako amator prowadzić dalej śledztwo rozpoczęte przez ciebie. Zachciało mi się widzieć naocznie wyjazd dwojga rozkochanych. Widziałem jak odjeżdżali pozostawiwszy za sobą otwartą bramę. Wiedziony ciekawością a może i myślą jakiego zysku, (jestem albowiem równym tobie hultajem) wemknąłem się do pałacu. Widziałem jak palce ci drżały gdyś kreślił wyrazy w liście bezimiennym, jaki później znaleziono w ręku zmarłego. Widziałem wchodzącego barona Worms. Widziałem... Mamże dokończyć co potem widziałem?

— Nie! — wykrzyknął Müller, przytumionym głosem. Milcz! milcz!

— Wszystko to zapisałem sobie w najdrobniejszych szczegółach w przewidywaniu iż gdyby mnie spotkał jaki wypadek, sędzia Bolleau-Duvernet odebrał by nazajutrz w swym gabinecie w pałacu Sprawiedliwości, nader pewną drogę, ów mały dokument. No! jakże teraz, przyjmujesz mą propozycyę?

— Tak.

— Dasz mi sto tysięcy franków?

— Dam, lecz pod warunkiem.

— Pod jakim?

— Że otrzymawszy te pieniądze wyjedziesz na trzy miesiące z Paryża.

— Lecz będę mógł później powrócić?

— Tak, bo w ciągu tych trzech miesięcy zrobię co mi pozostaje do zrobienia.

— Zgadzam się i czekam na pieniądze.

— Mniemam iż sądzisz mnie być tyle przezornym, iż banknotów jakie policya odkryć by mogła nie trzymam u siebie. Są one umieszczone w pewnem miejscu. Dziś w nocy wydostać ich nie mogę, wszak jeśli podejrzywasz że cię chcę oszukać, pozostań u mnie, a jutro równo z dnia brzaskiem zapłacę, ci za twoje milczenie.

— Nie! wypłacisz mi je natychmiast!—zawołał przybyły innym zupełnie głosem, który nie był dźwiękiem mowy Picoleta, Musisz zapłacić, za oddaną sobie przysługę!

To mówiąc, zerwał perukę z wypomadowanemi na skroniach puklami, odrzucił przyprawione wąsy i zamiast cynicznej twarzy Stanisława Picolet, Müller ujrzał przed sobą szydercze oblicze Jobin'a.

Fryderyku Müller, aresztuje cię w imieniu prawa!—mówił agent dalej. Oto wydane mi ku temu upoważnienie! Bez oporu więc zapowiadam! Wiesz że jestem uzbrojony. Komisarz policyi oczekuje we fiakrze, przed bramą z dwoma silnemi agentami. Poddaj się więc, radzę!

Kasyer wydał okrzyk wściekłości, jak dzikie zwierzę, nagle w zasadzkę schwytane, szukał wzrokiem wyjścia nie znajdując go wcale.

Jobin spokojny, uśmiechnięty, bawił się rewolwerem.

Po upływie sekundy i Müller się uspokoił.

— Poddaję się—rzekł głucho.

— Najlepiej uczynisz.

Agent, zbliżywszy do ust świstawkę, wydał z niej dźwięk ostry.

— Powiadamiam—rzekł—komisarza i moich kolegów, że sprawa skończona. Wejdą tu. Bądź spokojny, mają oni klucz od twojej służącej.

Słychać było otwierające się drzwi od ulicy.

Fryderyk Müller wybuchnął dzikim śmiechem, a włożywszy rękę do kieszeni, wyjął z niej rewolwer i w mgnieniu oka wystrzelił trzykrotnie w Jobin'a.

Agent padł jak massa bezwładna na podłogę.

Zabójca wywrócił lampę, zapanowała głęboka ciemność w pokoju pełnym krwi.

XXIV.

Policja naprzód przewiduje wszystko.

Komisarz i agenci zaopatrzyli się w małą zakrytą latarnię, jaką otworzyli wchodząc do domu.

Trzy strzały rewolwerowe rozległszy się w milczeniu nocy, powiadomiły ich o jakiejś ponurej tragedyi rozgrywającej się na pierwszym piętrze.

Przebiegłszy szybko schody, weszli do pokoju gdzie odbyła się scena wyż przez nas opowiedziana.

Jobin leżał rozciągnięty na podłodze pośród kałuży krwi, jakiej upływ zwiększał się z każdą chwilą. Był on przedmiotem jaki naprzód wpadł wchodzącym przed oczy.

Nieszczęśliwy agent nie dawał znaku życia.

Jeden z policjantów podniósł go, chcąc obejrzeć rany.

— Natychmiast się nim zajmiemy — wyrzekł komisarz, przedewszystkiem jednak trzeba nam szukać i odnaleść mordercę.

Sypialnia nie zawierała najmniejszego zakąta, żadnej kryjówki, w której Fryderyk Müller mógłby się ukryć po nowej swej zbrodni.

Przeszukano dwa inne pokoje; były prawie próżne, zaledwie cośkolwiek umeblowane.

Jedno z okien, dostrzegli szeroko otwartem a to okno wychodziło na ogródek.

— On tędy uciekł—rzekł jeden z policyantów. Piętro jest dość wysokie i być może ów łotr połamał nogi w upadku.

Nie tracąc czasu, zeszli wszyscy na dół.

Deszcz od kilku dni wciąż padał.

Głębokie ślady obcasów dostrzedz się dawały w rozmiękłej ziemi ogródka, Takież same ślady prowadziły do nieco wzniesionego muru, wychodzącego na drogę.

Kilka kamieni obrosłych bluszczem leżało pod murem i dla człowieka lekkiego, z silnem postanowieniem, przeskoczyć go było igraszką.

Ogródek był pusty.

— Uciekł nam ten łotr! — zawołał, komisarz. Piękna wyprawa zaiste...

— Ba! — odrzekł jeden z agentów, da się to wszystko powetować. Gdyby spróbował dziś w nocy wyjechać z Paryża, jutro go schwytają. Wszystkie oddziały żandarmeryi odbiorą nakaz depeszami, a zabójca ten jest łatwym do rozpoznania. Nie odważy się jechać drogą żelazną, upewniam. Zbyt jest przezornym aby wpadł w wagon, jak w zastawioną pułapkę. Nie to mnie jednak niepokoi.

— Cóż więc takiego?

— Jobin. Tak dobry chłopiec. Zdolność pierwszorzędna! Szczerze go żałuję! A jednak sam winien temu co nastąpiło. Pragnął sam działać, aby pozyskał sławę gorliwego agenta i otóż jaki los sobie zgotował!

— Być może ocalić go jeszcze zdołamy...

— Miejmy nadzieję, ale ja na to nie liczę.

Komisarz z agentami wrócił na pierwsze piętro.

Rozebrano Jobin'a i spostrzeżono z przerażeniem że trzy kule przebiły ciało. Powstrzymano krew szarpiami i bandażami i przeniesiono bezwładnego do fiakra, wioząc go do najbliższego szpitala.

Doktór służbowy zbadał bezzwłocznie ranionego i ku wielkiemu zdumieniu obecnych oświadczył, iż jakkolwiek głębokiemi były zadane rany, żadna z nich nie zdawała się być śmiertelną i że gdyby nie nastąpiły jakieś nieprzewidziane komplikacye agent może powrócić do zdrowia za kilka tygodni.

Powiedzmy, że uspokajająca ta przepowiednia miała się spełnić w rzeczy samej i że jeżeli na teraz straciemy z oczu poczciwego Jobin'a, odnajdziemy go nieco później.

Boulleau-Duvernet oczekiwał niecierpliwie upoważnienia, jakie oddałoby w jego ręce człowieka, którego odtąd uważał za wyłącznego sprawcę tych zbrodni.

Około jedenastej godziny wieczorem ujrzał wchodzącego do siebie komisarza policyi, mocno niezadowolonego, który mu opowiedział nastąpione szczegóły bynajmniej nie korzystne dla ścigających mordercę.

Sędzia śledczy usiłował się uspokoić powtarzając, iż jeśli dziś nie schwytano zbrodniarza, jutro go na pewno schwytają.

W oczekiwaniu jednak na spełnienie tego, trzeba było co prędzej rozstrzygnąć o losie baronowej i wicehrabiego, których niewinność nie ulegała teraz zaprzeczeniu, wobec nowego morderstwa i ucieczki kasyera.

Boulleau-Duvernet spędził noc całą na redagowaniu raportu, prosząc, ażeby Izba Sądowa wydała w jak najkrótszym czasie rozkaz wrócenia wolności uwięzionym.

Wyszedłszy z Conciergerie Walerya Worms miała zaledwie kilkominutową rozmowę z panem de Présles i udała się dla przepędzenia roku żałoby do jednego z tych domów religijnych, gdzie przyjmują damy pensyonarki.

Odnajdziemy nie zadługo wicehrabiego i baronową, obecnie jednak nadmienić musiemy, iż po upływie dni kilku, pani Worms powiadomioną postała, iż odnaleziono w papierach bankiera testament, własną jego ręką kreślony w miodowych miesiącach małżeństwa.

Mocą owego testamentu, którego zniszczyć zaniedbał skoro pomiędzy niemi nastąpiło oziębienie stosunków, baronowa pozostawała ogólną spadkobierczynią majątku.

Cyfra owej tak niespodziewanie pozyskanej fortuny, dosięgała jedenastu milionów!

Powróćmy wszakże do Fryderyka Müller, który dla wielu czytelników nie jest może tak całkiem nieznanym, jak by to zdawać się mogło.

Położywszy Jobin'a trzema strzałami z rewolweru, ów kasyer przed wywróceniem lampy, nie zaniedbał pochwycić kapelusza, jaki wchodząc umieścił na stole.

Agenci przywołani świstawką, wchodzili już na schody. Jak i gdzie uciec?

Müller wbiegł do sąsiedniego pokoju, a zamknąwszy drzwi za sobą, otworzył okno i na ryzyko, skoczył z pierwszego piętra w ogród.

Stanął szczęśliwie na nogach i nawet w głowie nie zamąciło mu się wcale. W minutę później, znajdował się na wierzchołku muru z którego zeskoczył na drogę wiodącą w obręb fortyfikacyi.

— Tom umknął zręcznie! — wyszepnął. Jestem ocalony!

Pewien, iż przez kilka minut co najmniej będą przeszukiwać jego mieszkanie, szedł przez ulicę de Neuilly krokiem spokojnym opóźnionego powracającego; przystanął na chodniku naprzeciw swojego domu, widział światło latarni, widział przez szyby okien chodzących po pokojach ludzi i udał się w stronę Łuku Tryumfalnego, gdzie wsiadłszy do fiakra kazał się wieść do rogatek Tronowych. Następnie wszedł do pierwszego lepszego domu, z którego wyszedł natychmiast, zapytawszy odźwiernego o jakiegoś zmyślonego lokatora, który to manewr powtarzał po kilkakrotnie w różnych odmiennych częściach Paryża i nakoniec około godziny pierwszej po północy, zapłacił fiakrowi, wysiadłszy na rogu ulicy świętego Dominika.

Wyłącznym celem tej jego nocnej przejażdżki było pozyskania możności pozostawania jak najdłużej w powozie.

Spojrzawszy na oddalający się fiakr, Müller poszedł dalej o kilkadziesiąt kroków i zadzwonił do wysokiej jakiejś kamienicy.

Drzwi otworzyły się.

Głęboka ciemność panowała w bramie. Odźwierny gaz zagasił przed udaniem się na spoczynek.

Ów łotr właśnie na to rachował.

— Kto idzie? — pytał odźwierny przez szybę swego okienka.

— To ja, ojcze Andrzeju, ja, Godard — rzekł kasyer głosem w którym nie było śladu niemieckiego akcentu.

— A! wróciłeś więc już pan ze wsi, panie Godard?

— Jak widzisz ojcze Andrzeju.

— A w dobym zdrowiu?

— W bardzo dobrym.

— Może pan chcesz światła?

— Nie, mam przy sobie zapałki.

— A zatem dobranoc ojcze Andrzeju. Nie przychodźcie jutro do mnie zbyt rano. Jestem znużony i chce spać długo.

Kasyer udał się schodami na piąte piętro i wszedł do małego mieszkania składającego się z dwóch pokoików.

Na cztery miesiące przed tem, w przewidywaniu mogących nastąpić wypadków najął to mieszkanie pod nazwiskiem Godard'a, podając się za właściciela ziemskiego w okolicach Pontoise, pragnącego mieć stałe pomieszczenie w Paryżu.

Od czasu do czasu przychodził tam nocować, zwykle po północy i w przyjaznych stosunkach zostawał z odźwiernym.

Zamknąwszy drzwi za sobą, zapalił dwie świece, zdjął flakon szczelnie zamknięty z pułeczki starego biurka i trzecią część płynu z pomienionego flakonu nalał w miednicę napełnioną czystą wodą.

Zanurzywszy głowę w tej mięszaninie zmył nią silnie swe włosy, z których zniknęła barwa rudawa, a stały się one zupełnie czarnemi.

Następnie położył się i spał spokojnie przez kilka godzin. Wstawszy nad ranem, przystrzygł sobie faworyty i z wprawą komedyanta przygotowującego się do wystąpienia na scenie, przyprawił sobie czarną jedwabistą brodę, a po nad górną wargą długie zakręcane wąsy.

Ukończywszy to, założył na nos binokle i przejrzawszy się w zwierciadle wyszepnął.

— No! tu, nie przyjdą mnie szukać, na pewno, zresztą pan Godard właściciel ziemski z departamentu Seine i Oise nie jest bynajmniej podobnym do niemieckiego kasyera Fryderyka Müller, jak ów Fryderyk Müller nie jest podobnym do hrabiego Loc-Earn'a.

Ów były kochanek Henryki, wypuszczony z domu poprawy w Poissy, miał przy sobie kilka banknotów tysiąc frankowych zaoszczędzonych przezeń z pensyi sekretarza i intendenta, jakie zdołał wsunąć w kieszeń w chwili zaaresztowania go w pałacu d'Auberive.

Po niespodziewanym wejściu Henryki do klasztoru i zniknięciu dziecka wraz z rybakami z wyspy Saint-Denis, Robert Loc-Earn, nie chcąc rozpoczynać na nowo awanturniczego życia w nizkich sferach społecznych, gdzie policja mogłaby go odnaleść, osądził, że pobyt w Paryżu był dlań niepodobnym przez lat kilka.

Postanowił więc opuścić Francyę i szukać fortuny w Hamburgu i Baden.

Ów nędznik, jak go znamy, ze świetną intelligencyą przyswajał sobie łatwo wszelkie cudzoziemskie narzecza. Nauczył się w kolegium języków niemieckiego, włoskiego, russkiego i angielskiego.

Przeżywszy lat trzy po drugiej stronie Renu, mówił tak biegle po niemiecku jak gdyby zrodzony w tej narodowości.

Pragnąc ze znanych nam powodów zmienić francuskie swe pochodzenie, przedstawiał się jako Badeńczyk i wyrobił sobie akt urodzenia na nazwisko Fryderyka Müllera.

XXV.

Z biegiem czasu namiętność gry opanowała do tego stopnia Roberta Loc-Earn'a czyli raczej Fryderyka Müller, że straciwszy na szulerce wszystkie pieniądze, znalazł się nagle bez żadnych środków utrzymania.

Pozostawało mu jedynie wystrzelić sobie w skroń z rewolweru. Traf niespodziewany nadarzył mu sposobność do zawarcia znajomości z pewnym Prusakiem, ze strony którego zjednał sobie sympatyę eleganckiem wielko światowem zachowaniem się i bystrą inteligencyą.

Ów młodzieniec, syn bogatego bankiera, widząc kłopotliwe położenie tego, którego sądził, być swoim współziomkiem, ofiarował mu miejsce w biurze swojego ojca.

Loc-Earn przyjął propozycyę, wypełniał przyjęte obowiązki z nadzwyczajną gorliwością i zadowoleniem zwierzchników, gdy baron Worms zażądał przez korespondencyę wysłaną do jednego z kolegów, przysłania sobie urzędnika ze znajomością obcych języków i ów Berlińczyk wysłał mu Fryderyka Müllera z najlepszemi rekomendacyami.

Wiemy, iż po upływie dwóch lat, ów mniemany Badeńczyk został kasyerem.

Przez całe lat siedm Loc-Earn działał jak uczciwy człowiek, mimo przerażająco skalanej swojej przeszłości, a być może nawet dla tego.

Porównywając swe przeszłe życie pełne niebezpieczeństw i niepokojów, ze swą obecnie czynną egzystencyą, uczciwą zapełnioną pracą, kasyer przyznawał sobie, że przyjemnie jest zasypiać wieczorem, bez trwogi aby zostać obudzonym nazajutrz przez komisarza policyi i żandarmów.

Ów łotr spodziewał się po upływie dwudziestu lat gorliwej pracy zostać posiadaczem dość okrągłej sumki pieniędzy, z jakiej niepotrzebowałby zdawać rachunku ludzkiej sprawiedliwości.

Nieszczęściem jednak ta jego nowa moralność była moralnością wyrachowania i samolubstwa, nie oparta na żadnej z tych trwałych podstaw honoru i wierzeń, jakie jedynie nadają człowiekowi niewzruszoność w jego prawości.

Otóż jak wiemy, Loc-Earn który dotąd nigdy nie kochał, nigdy, nawet Henryki d'Auberive, owej uroczej istoty, zaszołomiony namiętnie w Alinie Pradier, wypróżnił dla niej swą kasę, wydał wszystkie oszczędności, a chcąc pokryć deficyt zaczął grać na giełdzie, co zamiast dopomódz, pogorszyło jego położenie.

Na kilka dni przed owym balem kostyumowym, wydanym przez barona Worms ów kasyer poznał, że niepodobna mu będzie przeciągnąć dłużej nad kilka tygodni sfałszowania ksiąg rachunkowych, mimo że to czynił z wielką zręcznością.

Dowiedziawszy się o istniejącej miłości pomiędzy Walerya Worms, a panem de Présles i ich projekcie odjazdu, przyszła mu myśl spełnienia ostatniej jeszcze kradzieży i zrzucenia tego wszystkiego na rachunek zbiegów.

Wieczorem, w dniu odjazdu baronowej i Gilberta de Présles, wemknął się w głąb ogrodu a potem do pałacu, gdzie zapaliwszy świecę otworzył kasę, wyjął z niej złoto, banknoty, a zamknąwszy ją chciał uciec, gdy posłyszał na bocznych schodach kroki powracającego pana Worms.

Zaledwie zdołał zgasić świecę i zapuścić firanki u okna, gdy ukazał się bankier z lampą w ręku, przybywający po piętnaście tysięcy franków dla Aliny Pradier. Otworzył kasę a ujrzawszy ją opróżnioną, spojrzał w około siebie obłąkanym wzrokiem.

Zatrzymał spojrzenie na firance, której lekkie poruszenia fałdów całkiem źle zrozumiał.

— Okno być musi otwarte — rzekł sam do siebie i tędy umknął ów złodziej.

Postąpił parę kroków aby upewnić się o tem.

Kasyer niechybnie mógł zostać odkrytym. Baron przyzwałby pomocy, nastąpiłoby przyaresztowanie, sąd i galery.

Loc-Earn nosił zawsze przy sobie sztylet w kieszeni. Skoczył jak tygrys i baron w jednej chwili z przerżniętem gardłem padł nie wydawszy krzyku.

Morderca natenczas z potwornym spokojem zapalił świecę, uciął kawałek papieru, nakreślił list bezimienny pismem zmienionem i nie dozwoliwszy nawet zaschnąć ostatnim wierszom, zgniótł papier i wsunął go w rękę zmarłego.

Reszta szczegółów jest nam wiadoma.

Od owej chwili miesiąc upłynął.

Mniemany Godard właściciel ziemskiej posiadłości w departamencie Seine i Oise pod pozorem dręczących go bolów reumatycznych nie wychodził z mieszkania przy ulicy ś-go Dominika, gdzie odźwierny przynosił mu obiady i dzienniki.

Po upływie dwóch tygodni, ów więzień dobrowolny zauważył iż przestano zajmować się sprawą Worms'a.

Wszelkie poszukiwania policyi w celu odnalezienia Fryderyka Müller były nadaremnemi. Sądzono że ów łotr przemknąwszy się przez granicę, uciekł do Niemiec.

Nikt nie przypuścił, ażeby kasyer mógł się ukrywać w Paryżu i zwolna zapominać o nim poczęto.

Prawdziwa broda odrosła przez ten czas mniemanemu Godard'owi pod przyprawną brodą; z końcem miesiąca poznał że ta ostatnia była mu niepotrzebną. Przemiana była kompletną. Nie podobna byłoby dostrzedz obecnie jakiejkolwiekbądź łączności z owym Francuzem o czarnym zaroście, a tym niegdyś niemieckim kasyerem z rudemi włosami i favorytami.

Müller oznajmił wreszcie swojemu odźwiernemu, że reumatyzm go opuścił i powraca na wieś. Jakoż w rzeczy sa-

mej opuścił Paryż, uwożąc z sobą czterysta pięćdziesiąt tysięcy franków, skradzionych baronowi Worms.

Wielu innych hultajów tego rodzaju, zadowolniłoby się tą sumą, Loc Earn jednak skutkiem poprzednich swoich stosunków z Aliną Pradier uczuł wzrastające w sobie pragnienie zbytku, wytwornego życia i roskoszy różnego rodzaju.

Jak niegdyś marzył o posiadaniu majątku pana d'Auberive tak teraz śnił o milionach.

Dla jakich planów oddalił się więc z Paryża?

Najprzód sądził, iż wypada mu żyć w pewnej odległości od tego wielkiego miasta, dopóki sprawa Worms nie przejdzie w stan całkiem zapomnianego wspomnienia, czas zresztą nie zbyt odległy dla znających lekkość Paryżan i szybkość z jaką zapominają.

Następnie uczuwał konieczną potrzebę stworzenia sobie nowej indywidualności, utrwalonej na niezaprzeczonych dowodach, zważając, iż wszelkie przybrane nazwiska niedostatecznie pokryć by mogły jego zbrodniczą przeszłość.

Ażeby dosięgnąć owego upragnionego celu postanowił zwiedzić kraj cały, w oczekiwaniu na jakiś szczęśliwy traf i dobrą gwiazdę.

Jedno i drugie pomyślnie mu posłużyło.

Pewna miłosna awantura, zawiązana na drodze żelaznej, powiodła go we Franche-Comté, do małej wiejskiej oberży w Cusane, w pobliżu Baume-les-Dames.

Pewnego wieczora gdy zapaliwszy cygaro stanął we drzwiach tego zajazdu, podziwiając malowniczy krajobraz roscielający się przed jego oczyma, półkola skalistych wzgórz obrosłych u wierzchołka drzewami, a poniżej zasłane oceanem zieloności, spostrzegł pomiędzy tem zwaliska starego zamku feodalnego, z czworograniastą wysoką wieżycą, sięgającą prawie aż pod obłoki.

— Co to za ruiny?—pytał oberżystę.

— Są to zwaliska zamku Croix-Dieu.

— Piękna nazwa—wyszepnął Loc-Earn.

— Baronowie de Croix-Dieu w dawnych czasach—mówił dalej oberżysta—byli bogatszymi nawet od hrabiów Cavabas. Wszystkie lasy i ziemie uprawne w okolicy do nich należały, począwszy od Pont-les-Moulins, aż po drugiej stronie do Guillon, a nawet dalej. Wszystko to zwolna zniknęło.

— Rodzina zatem wygasła?

— Nie ze wszystkiem, ale już prawie.

— A! istnieją więc jeszcze baronowie Croix-Dieu?

— Tst!—wyrzekł oberżysta, kładąc palec na ustach.

Loc-Earn usiłował odgadnąć powód tego nagłego znaku milczenia, gdy spostrzegł nadchodzącego małego zgarbionego starca, w długim połatanym surducie, w czapce wełnianej na głowie i drewnianych sabotach.

Ów starzec trzymał w ręku koszyk, a w nim wypróżnioną butelkę i drugą flaszkę mniejszej objętości, oraz blaszany półmisek.

— Janie Simon — rzekł drżącym głosem do oberżysty— każ mi podać za dwa sous chleba, za dwa również zupy, za cztery sous mięsa, za cztery wina i za sześć sous wódki.

— Natychmiast, panie baronie — rzekł właściciel zajazdu, odbierając koszyk z naczyniami w który miał włożyć tę skromną żywność w zamian za otrzymane dziewięćdziesiąt centymów.

— Żegnam pana barona, ozwał się wynosząc koszyk napełniony pokarmem.

— Do widzenia, Janie Simon — rzekł starzec. I szedł chwiejnym krokiem drogą, którą przybył.

— Cóż to za dziwna osobistość?—pytał Loc-Earn.

— Jest to ostatni z baronów Croix-Dieu—odparł zapytany. Sądziłbyś pan zapewne iż ma on lat z dziewięćdziesiąt, gdy rzeczywiście, liczy dopiero rok siedmdziesiąty. Nie dziwna! Ów biedny człowiek odmawia sobie wszystkiego, z wyjątkiem kieliszka wódki, jaka go podtrzymuje na siłach.

Widziałeś pan co sobie kupił. Jest to żywność na dwa dni dla niego.

— Jest skąpym?

— Nie! jest tylko ubogim. Trzysta franków rocznej renty panie, niema co z tem wiele wojować...

— Zamieszkuje w zamku?

— Nie! mieszka on w starym domu, zbudowanym w tych zwaliskach przez jego dziada którego to budynku rzecz prosta nie jest w stanie utrzymać. Leci tam woda podczas deszczu, jak z fontanny.

— Sam mieszka?

— Sam zupełnie. Nie ma żony, dzieci, ani służącj. Miał brata znacznie młodszego od siebie, który wyjechał z kraju od dawna, zaciągnąwszy się do jednej z armii cudzoziemskich, nie chcąc służyć we Francyi. Mówią, że ów brat umarł, na pewno jednak nie jest to wiadomem. Co zaś do tego starca, nie pożyję on długo. Kiedykolwiekbądź znajdziemy go skostniałym na posłaniu. Zresztą nie zależy mu wiele zapewne na tak ciężkiem i smutnem życiu.

Robert Loc-Earn spał mało tej nocy, a myślał wiele.

Nazajutrz z rana poszedł do ruin zamczyska i zaczął rozmawiać ze starcem, który mimo słabej pamięci przypomniał sobie, iż przed kilku laty odebrał wiadomość o śmierci swojego brata, chwalił położenie zamczyska, piękne widoki i nakoniec za kupno tych ruin ofiarował okrągłą sumę dziesięć tysięcy franków płatne natychmiast w brzęczącej monecie.

Dziesięć tysięcy franków, pięćset franków rocznej renty, to bogactwo dla ubogiego!

Ostatni potomek baronów de Croix-Dieu wierzyć nie chciał temu, sądząc że ów przybyły żartuje z niego.

Loc-Earn upewnił go w tym względzie i akt sprzedaży zamczyska został tegoż samego dnia podpisany przez obie traktujące strony u notaryusza w Baumes les Dames.

Wracając z miasta w starym wynajętym powozie, były Fryderyk Müller wyjął z kieszeni pięćdziesiąt luidorów

a zabłysnąwszy temi nowemi sztukami złota przed oczyma zdumionego towarzysza, rzekł do niego:

— Ofiaruję panu te tysiąc franków w zamian za familijne twoje papiery i korespondencye twojego brata i to natychmiast jeżeli zgadzasz się na moją propozycyę.

Ugoda została zawartą.

Loc-Earn polecił sobie dostarczyć w merostwie tej wioski akt urodzenia barona Croix-Dieu, zmarłego na obczyźnie, przekonawszy się pierwej, że ów akt nie był nigdy przed tem zapisanym w księgach stanu cywilnego. Zostawszy odtąd właścicielem zamku Croix-Dieu wyjechał z Franche-Comté, zobowiązawszy oberżystę, aby od czasu do czasu, dawał mu wiadomość o starcu.

XXVI.

Załatwiwszy się z tem zajął się przeglądaniem listów kreślonych przez Filipa Croix Dieu do jego starszego brata.

Korespondencya ta powiadomiła go, że ów francuski szlachcic służył jako oficer w armii Austryackiej, że był bezżennym, że szybko awansując, pozyskał kilka krzyżów wojskowych, poczem pewnego dnia, podał się nagle do dymissyi.

Ostatni list jego, pisany przed czterema laty, oznajmiał o udaniu się w podróż barona do Azyi, gdzie bezwątpienia śmierć go zaskoczyła.

Po upływie trzech miesięcy były kasyer barona Worms otrzymał list od oberżysty z Cusane. Ostatni z baronów Croix-Dieu nie cieszył się długo otrzymaną fortuną, umarł, tknięty atakiem paraliżu.

Loc-Earn wyjechał bezzwłocznie do Austryi, gdzie kazał sobie dostarczyć duplikaty, legalizowane służby pana de Croix-Dieu, jak również dowody posiadanych przezeń orderów.

Wróciwszy do Francyi w 1868 roku wynajął w Paryżu

pod nazwiskiem Filipa de Croix-Dieu antresolę przy ulicy Saint-Lazare, którą urządził sobie nader przyzwoicie i elegancko.

Nowa przemiana Roberta Loc-Earna została dokonaną, wytworzył sobie ów nędznik trwałe nie ulegające zaprzeczeniu wyższe stanowisko społeczne.

Bo i jakież podejrzenia w rzeczy samej mogłyby dosięgnąć człowieka, mogącego w każdym czasie dowieść prawa do zajmowanej przezeń pozycyi, zdania rachunku z przeszłości, za pomocą rodzinnych papierów, jak również i posiadania zamku, od którego nosił nazwisko?

Ów zamek był przezeń kupiony pod przybranem imieniem. Zręczny ten awanturnik, wiedziony roztropnością, kazał sporządzić nowy akt sprzedaży Filipowi Croix-Dieu, to jest sobie samemu, przez co właśnie stał się autentycznym właścicielem ruin zamczyska Croix-Dieu, kolebki swej rasy.

Potrzeba mu było teraz wyrobić stosunki w wyższych sferach świata.

Ktokolwiekbądź zna Paryż, wie jak jest łatwo człowiekowi z wytworną powierzchownością, posiadającemu majątek, nie mającemu pozornie nic podejrzanego ani ciemnego w swojej przeszłości, noszącemu świetny tytuł i nazwisko, odnaleść sobie stosowne znajomości.

Filip de Croix-Dieu przedwszystkiem przedstawił się pewnemu staremu szlachcicowi francuskiemu, któremu historya jego mniemanej rodziny była dobrze znana a przez jakiego został nader życzliwie przyjętym w przekonaniu, że to był prawdziwy Croix-Dieu, powracający z obczyzny.

Przy protekcyi tego szlachcica, podwoje wszystkich domów arystokratycznych do jakich wejść podobało się Loc-Earn'owi, przed nim się otwarły. Co się zaś tyczy pół światka, to rzecz naturalna przyjmowano go tam jak najuprzejmiej.

Przed upływem pół roku, baron stał się człowiekiem mody, wziętym, pożądanym, wydatkującym bez liczenia się z pie-

niędzmi, grającym grubo w karty, płacącym w ciągu dwudziestu czterech godzin swe długi przegrane i nie mającym żadnych wierzycieli.

Pozyskawszy ztąd nadzwyczaj dobrą opinję, Croix-Dieu przy końcu roku został obrany członkiem pewnego klubu, niezmiernie skrupulatnego w przyjmowaniu nowych towarzyszów.

Gdyby dziwiło kogoś, jak mógł prowadzić życie światowe, rozległe, ze skromnych dochodów, jakie mu przynosiły pieniądze, skradzione z kasy pana Worms, powiemy, że ów łotr zuchwały, miał obok tego i inne źródła, których tajemnicę wkrótce odsłonimy i że obok tego był pewien, iż rychlej czy później pochwycić w swe ręce miljony, jakie mi dopełni naruszony kapitał.

Lecz otóż doszliśmy do punktu, na którym zatrzymaliśmy się w pierwszej części naszego opowiadania, dla cofnięcia się w przeszłość głównej osobistości naszej powieści.

Czytelnicy zrozumieją teraz przerażenie owego Croix-Dieu po odebraniu listu bezimiennego podpisanego inicyałami: *X. Y. Z*, jaki jedynie Sariol mógł napisać.

Ów, list jak sobie przypominamy, powiadamiał:

„Jeden z twych dawnych przyjaciół, któremu szczęście nie sprzyjało w osiągnieniu tak świetnej, jak Twoja sytuacyi, odwołuje się do twej wspaniałomyślności, z tem większą ufnością, iż zna do głębi wszystkie twe sprawy“...

Ostatnie wyrazy przejęły drżeniem mniemanego Croix-Dieu.

O jakich sprawach mówił to Sariol? O czem mógł wiedzieć? Czyliżby fatalność miała go powiadomić o prawdziwem nazwisku zabójcy barona Worms?

Było to niepodobieństwem, ponieważ list nie zawierał żadnego napomnienia o Fryderyku Müller; ale być może zachował ów cios na ostatnie uderzenie?

Bądź co bądź, gdyby nawet ów nieznajomy znał jego odległą przeszłość, byłoby już to równie przerażająco niebezpiecznem.

Jakakolwiekbądź denuncyacya, zwróciłaby nań uwagę policyi i Croix-Dieu nie mógł bez drżenia spojrzeć przed siebie, gdzie ukazywał mu się sąd z wyrokiem na galery.

— Co począć?—zapytywał sam siebie po dziesięciokrotnem odczytywaniu tego listu, jaki wymykał mu się z rąk drżących.—Wyjechać z Paryża, to ruina? Zresztą uciekać przed niebezpieczeństwem bez walki, rzecz podła!—Będę walczył! tak, walczyć będę! powtarzał. Dość czasu mi pozostanie, skoro się ujrzę zgubionym, do rozsadzenia sobie czaszki wystrzałem z rewolweru. Od jutra działać poczną. Noc niesie dobrą radę. Zobaczymy!...

Po monologu tym, gorączkowo wypowiedzianym, potrzebując ruchu, powietrza, dla uspokojenia nerwów, chodził przez dwie godziny po Paryżu, na los szczęścia, nie wiedząc gdzie i dokąd idzie. Około północy znalazł się na placu Bastylii.

Przypomniał sobie naówczas, iż wypadałoby mu dowiedzieć się czegoś o Andrzeju San-Remo, wsiadłszy przeto do fiakra kazał się zawieść na ulicę Boulogne, z tem silnem przekonaniem, iż dowie się tam o śmierci tego młodego człowieka. Omylił się jednak tym razem.

Gdy wszedł do pokoju, oświetlonego bladym blaskiem nocnej lampy, doktór wychodził ztamtąd właśnie, aby w przyległym gabinecie przespać się nieco i Jerzy Tréjan, leżąc na szeslongu, znajdował się w pobliżu łóżka chorego.

Posłyszawszy otwierające się drzwi, spojrzał, położył palec na ustach i zbliżył się ku wchodzącemu.

— I cóż? — zapytał Croix-Dieu z cicha, uścisnąwszy rękę artysty. Mam nadzieję iż nie usłyszę złej wiadomości?

— Nie!—dzięki niebu!

— Zatem nasz biedny przyjaciel?

— Nie mogę powiedzieć, iż mu jest lepiej, lecz stan jego zdrowia nie pogorszył się...

— Szczegóły, opowiadaj co prędzej szczegóły!

— Gdybyś pan przybył przed pięcioma minutami, byłbyś się widział z doktorem. Znajduje się on w sąsiednim pokoju, gotów przybyć na każde wezwanie. Nie chcę mi czynić nadziei, ale wydaje mi się być mniej niespokojnym. Nie mogę wierzyć, ażeby wyrok przezeń wydany, miał być niezmiennym. Nie wyobrażasz pan sobie ile żywię współczucia i szczerej życzliwości dla tego młodego człowieka, którego poznałem przed kilkoma dniami. Gdyby umarł opłakiwał bym go gorączkowo, lecz on nie umrze. Nie. Musiemy go ocalić! Śpi daleko spokojniej niż w chwili, gdy pan ztąd odchodziłeś, pójdź, zobacz i osądź!

Croix-Dieu, zbliżywszy się do łóżka, ujrzał, że nadzieje Jerzego nie były złudzeniem.

Przerażająca skostniałość ciała, jaka nastąpiła po konwulsyach, zniknęła.

Blade oblicze Andrzeja spokojnie spoczywało na poduszkach. Oddech równy unosił piersi, szeroka jedynie krwawa plama na białem cienkiem prześcieradle przypominała tragedyę, odbytą w lasku Winceńskim i pchnięcie szpadą Grisoll'a.

Gdyby nie owa plama, można byłoby sądzić, iż się widzi przed sobą śpiącego rekonwalescenta po długo przebytej chorobie.

— Więc jakże ci się zdaje, baronie?—zapytał Jerzy po chwili milczenia.

— Masz słuszność — odparł Croix-Dieu— stan zdrowia ranionego jest mniej niebezpiecznym, nieszczęściem jednak nie będąc lekarzami nie możemy się nazbyt oddawać nadzici.

— A jednak ów jego spokój głęboki.

— Jest dobrą wróżbą, to pewna. Czy wszakże będzie on długotrwałym?

Jednocześnie jak gdyby na potwierdzenie słów barona, zmieniła się fizyognomia Andrzeja.

Nie przebudził się, ale rzucił nagle. Silny rumieniec zapałał na jego policzkach, cała fizyognomia wyrażała jakąś egzaltacyę a raczej uwielbienie, usta na wpół otwarte szeptały cichym głosem wyrazy.

— To ona! tak, to ty, pani! O! ja ciebie poznaję. To ty jesteś. Podnieś, błagam tę woalkę. Odkryj twe cudne oblicze po raz ostatni przed memi oczyma, które już jutro zamkną się na wieki! Nie odmawia się prośbie umierających, a ja umieram! Żyć u stóp twoich, lub umrzeć dla ciebie, pani, było mojem przeznaczeniem. Nie mogąc żyć, kochając ciebie, chcę umrzeć z tą miłością w mem sercu. Będzie to szczęściem dla mnie! Ach! gdybyś wiedziała jak ja cię kochałem! Gdybyś wiedziała, ile cię kocham. Gdybyś wiedziała!...

Głos Andrzeja coraz słabszym się stawał. Usta jego się poruszały, lecz słów, jakie wymawiał, zrozumieć niepodobna było. Głowa, uniesiona nieco, opadła zwolna na poduszki. Oblicze chorego promieniało jakąś nadziemską radością, jak gdyby zjawisko, które ujrzał w przystępie gorączki, podniosło zasłonę na jego prośbę.

— O kim on mówi?—pytał cicho Jerzy barona.

— O kobiecie, którą kocha, a którą ujrzał w marzeniu.

— Któż jest ta kobieta?

— Nie wiem tego...

Andrzej poruszył się znowu, a wsparty na łokciu, usiłował podnieść się i usiąść. Było to daremne, za zbyt był osłabionym, ażeby mu pozwolono na taką nieroztropność.

— Gdzie ona jest? — pytał jak gdyby z obłąkaniem. Stała tu, w tem miejscu gdzie ty stoisz. Mówiłem do niej, odpowiadała mi, gdzie ona?

— Moje, drogie dziecię — rzekł Croix-Dieu, ujmując rozpaloną rękę młodzieńca—prócz nas nie ma nikogo w tym pokoju.

— Mówię ci, że ją widziałem—rzekł chory. Ukryłeś ją przedemną. Dla czego mnie oszukujesz? To źle, to okrutnie!

— Ależ uspokój się, proszę.

W czasie powyższej rozmowy między baronem i Andrzejem, Jerzy poszedł obudzić doktora i przyprowadził go z sobą.

— Ja chcę ją widzieć, chcę widzieć—powtarzał San-Rémo z podrażnieniem.

— Wypij to, a zobaczysz ją—rzekł lekarz.

— Ręczysz że ją zobaczę?

— Ręczę na pewno.

Andrzej, ująwszy szklankę, wypróżnił ją szybko. Wzburzenie natychmiast ustąpiło. Oczy chorego zamknęły się pomimowolnie, nadszedł sen, lecz był on gorączkowym, coraz silniejszy rumieniec ukazywał się na jego policzkach.

— Cóż sądzisz obecnie, doktorze, o chorym? — pytał Croix-Dieu.

— Dotąd nic jeszcze. Jeżeli rozpoczynająca się gorączka nie zgnębi ranionego, zostanie nam nadzieja ocalenia mu życia.

XXVII.

— Przed kilkoma godzinami nauka na śmierć zawyrokowała chorego—pomyślał CroixDieu.—Jeżeli natura go ocali, nabiorę odwagi i walczyć będę dalej!

Zwróciwszy się do Jerzego Tréjan wyszepnął z cicha:

— Będę czuwał wraz z tobą przy naszym przyjacielu

Jerzy uścisnął rękę barona.

— Wiem, że pan go kochasz na równi zemną, bo znasz go dłużej odemnie.

Godziny zwolna upływały. Pobladło światło nocnej lampy przy pierwszych brzaskach poranku.

Gorączka, dosięgnąwszy maksimum, zwolna ustępować zaczęła.

Andrzej, lubo żył jeszcze, czuł się niestety już w najwyższym stopniu osłabionym i bezwładnym, co trwogą przejęło Jerzego i barona.

Inne było w tej mierze zdanie lekarza.

— Bezwładność ta—rzekł on—która tak was przeraża, panowie, jest normalną i nieuchronną. Raniony noc przeżył, czego się niespodziewałem. Obecnie uzdrowienie jest możebnem.

Służący Andrzeja wszedł cicho na palcach, szepcząc baronowi:

— Przybył lokaj, przysłany przez wicehrabiego de Grandlieu, zapytując o stan zdrowia mojego młodego pana?

— Odpowiedz mu,—rzekł Jerzy—iż za kilka minut sam przybędę do pałacu pana de Grandlieu.

Mimo, iż powyższe wyrazy cicho wymienionemi zostały, nazwisko *de Grandlieu* przebiegło około uszu Andrzeja. Otworzył oczy, słuchając z natężoną uwagą, ale nie wyrzekł słowa, nie poruszył się wcale i skoro odszedł służący, przymknął w milczeniu powieki.

Jerzy, ubrawszy się szybko, pojechał na przedmieście ś-go Honoryusza.

Było zaledwie wpół do dziewiątej, gdy przybył do swego kuzyna, a blade światło zimowego poranku z trudnością się przeciskało przez napojone wilgocią chmury. Wprowadzono go natychmiast do gabinetu wicehrabiego.

Wspaniale przyozdobiony ów pokój meblami z czarnego dębu, pokrywały bogate kobierce i aksamitne zasłony.

W chwili, gdy wchodził tam Tréjan, jedna z owych firanek poruszyła się zlekka. Ukryła się po za nią Herminia, drżąca z niepokoju, przyodziana z pośpiechem w biały wełnia-

ny peniuar, z rozsypanemi jedwabistemi włosami na ramionach.

Córka Klotyldy de Randal po spędzeniu nocy bezsennie, równo ze świtem zadzwoniła na pokojówkę.

— Czy nadesłano jaką wiadomość o ranionym? — pytała.

— Nic dotąd, pani — odpowiedziała służąca—lecz Edmund ma pójść natychmiast na ulicę de Boulogne. Pan wicehrabia oczekuje na jego powrót w gabinecie.

— Pilnuj powrotu Edmunda, wypytaj go i bezwłocznie powtórz mi wiadomość, jaką przyniesie.

W pół godziny potem pokojówka przybiegła z oznajmieniem że Jerzy da Tréjan przybędzie osobiście do pałacu.

Herminia, wyskoczywszy z łóżka, ubrała się z pośpiechem, a gdy przez okno spostrzegła wchodzącego Trèjan'a w dziedziniec, przebiegła szybko dwa pokoje, otworzyła drzwi salonu, przyległego do gabinetu pracy i zatrzymała się chwiejąca, osłabiona, z uchem przyłożonem do szpary obicia.

— Gdyby stan jego był bez nadziei—myślała—będą chcieli ukryć prawdę przedemną. Będą mnie traktowali jak dziecko, które oszczędzać należy. Nie powiedzą mi wszystkiego, a ja wszystko chcę wiedzieć!...

Oto dla czego się ukryła. Był to jedyny powód, tak sądziła przynajmniej jej niewinnego podsłuchiwania.

Jerzy wszedł do gabinetu.

— Czy żyje jeszcze? — zapytał go nagle Armand de Grandlieu.

— Żyje, kuzynie, żyje!

— Ach! dzięki Wszechmocnemu! Nie opuściłeś go od wczoraj?

— Ani na minutę.

— Jakże przeszła noc i wieczór? Co mówi doktór? Opowiedz mi wszystko, niczego niepomijając. Najdrobniejsze z pozoru szczegóły mają dla mnie niezmierną wagę.

Tréjan rozpoczął skrupulatne opowiadanie faktów od

chwili, w której pan de Grandlieu opuścił ranionego, a pragnąc zadowolnić swojego kuzyna, nie zaniedbał powtórzyc i tego epizodu, w którym San-Rémo, objęty gorączką, ujrzał postać ukochanej, mówił jej o swej miłości, zaklinając, aby uniosła z twarzy zasłonę.

Na te wyrazy, Herminia uczuła dziwny ból, uciskający jej serce, nie zdając sobie sprawy z tego bolesnego wzruszenia.

— Zatem—szepnęła z pomimowolną goryczą—on kocha! i będąc tak bliskim śmierci zwraca ostatnią myśl swoją ku tej nieznajomej!

Poczem usiłując zapanować nad sobą, dodała.

— O! ta, którą on wielbi, musi go bardzo kochać nawzajem. Jest on tak szlachetnym, pięknym, odważnym. Któżby nie ubóstwiał takiego człowieka? Uwielbia go ta kobieta, jestem tego pewną. Biedna! ileż musi cierpieć wiedząc, że został ranionym, że jest umierającym! Żałuję ją z całej duszy. Dla czego jednak przy nim jej nie ma? Wszakże jej miejsce jest przy łożu tego konającego...

Tréjan ciągnąc dalej opowiadanie, doszedł do miejsca, w którem doktór przepowiadał pomyślny obrót cierpienia i nie tracąc nadziei, ufał w możność uzdrowienia chorego.

— Ach!—wyszepnął pan de Grandlieu—nie próżno zawołałem: „*Dzięki Wszechmocnemu*“. Ważny fakt jak widzę spełnił się od wczoraj, ponieważ kryzys, jaki śmierć zwykle sprowadza, przynosi nam dziś nadzieję. Dzięki ci, drogi kuzynie, po tysiąc razy dzięki za tak pocieszającą wiadomość. Wracaj do tego zacnego chłopca, który zasługuje ażeby go kochano. Pójdę uspokoić biedną Herminię, której nerwowe wzruszenie zatrwożyło mnie wczoraj i która z tego powodu bezsennie noc spędziła. Za godzinę przybędę tam do was.

Herminia nie słuchała więcej. Uciekła do swego pokoju, a otworzywszy drzwi do kapliczki, weszła tam, uklękła i w gorącej modlitwie dziękowała Bogu i swojej matce za ocalenie chorego.

Wyszedłszy ztamtąd, zrzuciła peniuar i położyła się w łóżko jak gdyby zeń wcale nie wstawała.

Za chwilę weszła pokojówka oznajmując iż wicehrabia chce widzieć się z panią, czy zatem wejść może?

Dobrze—odpowiedziała Herminia—niech wejdzie.

Armand de Grandlieu, zbliżył się do łóżka i dotknął ustami czoła swej młodej małżonki.

— Drogie dziecię — rzekł — nasz kuzyn Tréjan był u mnie przed chwilą, przynosząc mi wiadomość o markizie San-Rémo.

— Jaką?... wyszepnęła młoda kobieta z widocznym zmieszaniem.

— Modliłaś się o ocalenie ranionego, jestem tego pewny, zagadnął pan de Grandlieu.

— Tak! z całego serca—odpowiedziała.

— Otóż twoja modlitwa została wysłuchaną. Straconą wczoraj nadzieję dziś odzyskujemy.

Herminia, spuściwszy oczy, słuchała.

Wicehrabia powtórzył opowiadanie artysty, zamilczając jednak szczegóły o miłosnych halucynacyach Andrzeja.

— Dla czego on to ukrywa przedemną?—zapytywała siebie Herminia.—Dla czego chce, abym ja o tem nie wiedziała? Miałżeby Andrzej San-Rémo kochać występną jaką miłością?

— Wiadomość ta sprawia ci przyjemność, nieprawdaż?— pytał pan de Grandlieu, kończąc opowiadanie.

— O! tak, szczęśliwą mnie to czyni nad wyraz!

— Módl się więc jeszcze, drogie me dziecię. Proś Boga gorąco. On słucha głosów czystych, anielskich a z pomiędzy wznoszących się ku Niemu, mało jest podobnie niewinnych twej prośbie.

Rumieniec pokrył blade policzki Herminii. Pochwała starca zdawała się jej być nie zasłużoną. Od kilku chwil czuła jak gdyby ciążącą plamę na nieskalanej dotąd swej duszy.

Ukrywając przed mężem, że słyszała całą jego rozmowę z Jerzym Tréjan i udając, że świeżo dowiaduje się o tem wszystkiem od niego po raz pierwszy, skłamała chybiając dotychczasowej prawości swojego życia.

Pierwszy błąd został spełnionym.

* * *

Artysta wróciwszy do pokoju ranionego po swojej krótkiej wizycie w pałacu przy ulicy ś-go Honoryusza, oznajmił baronowi że pan de Grandlieu wkrótce przybędzie.

Croix-Dieu odgadując instynktownie wstręt, jaki budził w wicehrabi, unikał jego obecności. Potrzeba mu było prócz tego wolnego czasu do ułożenia odpowiedzi na ów list bezimienny otrzymany w dniu poprzedzającym, którego autorem niezaprzeczenie był Sariol.

Odszedł więc z ulicy de Boulogne i wrócił do siebie, gdzie odczytawszy po raz ostatni ów list tyle groźny, wsparł rozpaloną głowę na ręku pogrążony w głębokiem rozmyślaniu.

Zadumę ową zawrzeć można w tych słowach:

— Odmówić mu niepodobna! Co znaczy dla mnie posiadanie kilku banknotów mniej albo więcej, gdy mam przed sobą pewność pochwycenia w krótkim czasie milionów? Trwoży mnie to tylko, że Sariol zachęcony powodzeniem pierwszego swego „szantażu“ na tem żądaniu niepoprzestanie. Wymagania jego wzrastać będą bez granic. Nie zostawi mi chwili spokoju. W jaki sposób zażegnać niebezpieczeństwo? Istnieje środek jedyny, z dzisiejszego wroga zrobić sprzymierzeńca, wciągnąwszy go zręcznie w tę sprawę, Pozostanie on zawsze niebezpiecznym, wiem o tem, lecz wyrównają się szanse, jeżeli on trzyma mnie w swym ręku i ja nawzajem trzymać go będę. Jak wszelako ów łotr działać zamierza?

Tu leży kwestya. Dawniejsze wspomnienia wzbudziły w nim nie ufność zapewne. Pokonać go niepodobna, a będzie mnie trzymał w swej mocy dopóki pozostanie w cieniu. W jaki sposób na światło go wyprowadzić? Czart to wie! Bądź co bądź, będę próbował, w każdym razie zyskam przynajmniej na czasie!

Powziąwszy takie postanowienie Croix-Dieu zasiadł przy biórku i nakreślił szybko zmienionym charakterem pisma list następujący:

„Jeżeli się nie mylę, ów bezimienny korespondent jest rzeczywiście moim dawnym przyjacielem przeciw któremu przewiniłem, czego dotąd wyrzucać sobie nie przestaję.

„Niezaprzeczonym dowodem szczerości mego wyznania jest pośpiech z jakim dopełniam niniejszą przesyłkę, mimo głębokiego przeświadczenia *iż znajomość przezeń wszystkich spraw moich w niczem mi zaszkodzić nie może.* To co winien byłem społeczeństwu *spłaciłem.* Przeszłość dziś dla mnie nie istnieje. Mam wszelkie prawo do tytułu jaki noszę obecnie, a przez ów silny pancerz nikt dosięgnąć mnie nie jest wstanie.

„Być może znajdę sposobność stania się użytecznym panu X. Y. Z. więcej niż w dniu dzisiejszym. Proszę go zatem, nie o to ażeby mi się dał poznać jeżeli pragnie zostać nieznanym, lecz aby mi wskazał jakikolwiekbądź sposób prowadzenia z sobą dalszej korespondencyi.

„Niechaj się nie obawia X. Y. Z. żadnej zasadzki z mej strony. Nie chwyta się lisa dwa razy na jedną przynętę.

Croix-Dieu wsunąwszy ów list w kopertę wraz z dziesięcioma biletami tysiąc frankowemi, nakreślił na niej te słowa:

Paryż.
Poste-restante
X. Y. Z.

Zamknąwszy następnie list, pieczątką z przybranemi inicyałami, poszedł z nim do pocztowego biura, przy ulicy Saint-Lazare.

XXVIII.

Dwa dni upłynęły. Croix-Dien, mocno zaniepokojony, nie odbierał na swój list żadnej odpowiedzi.

Pomienione milczenie bezimiennego korespondenta, dorównywające odmowie wejścia z nim w dalsze stosunki zdawało mu się zawierać w sobie straszną groźbę.

Nic jednak na to poradzić nie mógł. Oczekiwać było trzeba.

Przy ulicy de Boulogne wszystko szło dobrze.

Andrzej San-Rémo żył. Żaden z niebezpiecznych objawów jakich się doktór obawiał, nie ukazał się wcale.

Nie można było powiedzieć, ażeby chory zostawał na drodze uzdrowienia, groźne wszelako położenie usuniętem zostało.

Gorączkowe przypadłości następowały w przerwach regularnych, wraz z majaczeniem, objawiającem się w sposób jednaki.

Andrzej widział Herminię stojącą przy swojem łóżku. Zaklinał ją gorącemi słowy by uchyliła zakrywającą jej twarz woalkę! Skoro to uczyniła, usiłował się podnieść dla pochwycenia uroczego zjawiska, przyciśnienia jej do serca, poczem opadał na poduszki promieniejący radością, złamany znużeniem.

Po przeminięciu onych kryzysów następował spokój bezwzględny. Dziwił się i gniewał, iż widzi w około siebie samych tylko mężczyzn, brał bowiem ową gorączkową halucycynacyę za rzeczywistość.

Nerwowe drżenie, niezrozumiałe dla doktora, opanowało Andrzeja gdy wicehrabia Armand przyszedł go odwiedzić.

Trwoga ogarniała chorego na myśl iż Herminia, ukazawszy mu się powtórnie, może się znaleźć w obecności swojego męża.

Na trzeci dzień z rana, pan de Grandlieu otrzymał od swego rządcy depeszę powiadamiającą go, że w nocy dnia poprzedniego pożar wzniecony jakąś zbrodniczą ręką pochłonął budynki jednego z najobszerniejszych folwarków i całe zapasy zboża, w śpichrzach zgromadzonego.

Cyfra poniesionych strat była ogromną.

Przedstawiciele Towarzystwa ubezpieczeń wraz z sądowymi urzędnikami udali się bezzwłocznie na miejsce wypadku. Obecność tamże właściciela była nie odwołalnie potrzebną. Zaklinano go, aby przyjeżdżał.

Armand, mimo, iż wielce było dlań przykrem rozłączenie się z Herminią, wahać się nie mógł. Zatelegrafował aby mu przysłano powóz na stacyę najbliższą zamku de Grandlieu, poczem udał się na ulicę de Boulogne dla powzięcia wiadomości o zdrowiu markiza San-Rémo i ucałowawszy swą żonę, pojechał na pociąg drogi żelaznej, wychodzący z Paryża o godzinie 10-tej minut 45 z rana, upewniając, iż nieobecność jego nie potrwa dłużej po nad czterdzieści ośm godzin.

Herminia po raz pierwszy w życiu znalazła się samą, zupełnie osamotnioną w owym wielkim pałacu którego była królową.

Odosobnienie to cięższem jej było do zniesienia, niż o tem z razu sądziła.

Uczuwała ona głębokie serdeczne przywiązanie córki dla pana de Grandlieu, z którym się dotąd nigdy nie rozłączała od lat młodocianych a którego to przywiązanie nie zmniejszyło zawarte później małżeństwo

Ciągła obecność tego człowieka tak ujmującego i młodego, mimo jego lat sędziwych i białych włosów, człowieka, dla którego najwyższą radością i szczęściem było zgadywać

jej myśli, spełniać życzenia i chęci, stała się dla niej zwyczajem, a nawet potrzebą życia.

Godziny płynęły jej smutnie i długo. Daremnie patrzyła na karty książki otwartej przed sobą. Myśl rozerwana gdzieindziej ulatywała.

Zamknąwszy książkę siadła do fortepianu. Klawisze pod dotknięciem jej palców, wydawały żałosne, pełne skarg melodye.

Wielki ogród, zacieniony stuletniemi drzewami, rozciągał się po za pałacem, sięgając Pól Elizejskich, od których oddzielony był okratowaniem.

Herminła zeszła po marmurowych schodach wiodących do tego ogrodu i wolnym krokiem szła przez alee, obsadzone zieleniejącemi krzewami, piaskiem wysypane.

Tający śnieg, czynił wilgotnym ów piasek, krople wody spływały po brunatnej korze drzew, z liści ogołoconych, kłęby mgły szarawej otaczały senną atmosferę. Po za okratowaniem ogrodu powozy tętniły z głuchym hałasem, dążąc ku Polom Elizejskim.

Wszystko to było nadzwyczaj ponurem.

Wicehrabina, wróciwszy do pałacu, wsparła się na fotelu przed ogniskiem kominka w sypialni, przytłoczona jakimś nieznanym sobie dotąd smutkiem.

Wśród tej zadumy, postać Andrzeja San-Rémo nagle się jej ukazała. Ujrzała go przed sobą bladego, bezwładnego.

Niezwykła trwoga ją ogarnęła wyobraziła sobie, że umarł.

Czemu myśl o jego blizkiej nieuchronnej śmierci zawładnęła tak silnie jej umysłem, iż mimo wszelkich usiłowań odegnać jej niezdołała? Jak rozwiązać to zapytanie? Nie które zjawiska psychologiczne wytłómaczyć się nie dozwalają. Bądź co bądź owa myśl straszna tak silnie przygnębiła panią de Grandlieu, że rozgorączkowana płakać zaczęła rzewnemi łzami.

Daremnie sobie powtarzała, że mąż jej przynosił uspo-

kające wiadomości o zdrowiu chorego. Mówiła sobie że ją oszukiwano i że wczorajsze polepszenie, dziś na złe zmienić się mogło. Śmierć miewa swoje fantazye. Ileż to razy widzimy umierających ranionych, których zdrowie się niespodziewanie polepszyło, wszakże i doktór nie twierdził, ażeby Andrzej uniknął już nie bezpieczeństwa.

Przez owe długie samotne godziny widma, wytworzone w wyobraźni Herminii wirowały w jej umyśle, wywołując rodzaj szału.

Z nadejściem wieczora młoda kobieta była w rzeczy samej jak obłąkana.

Gdy oznajmiono jej, że obiad gotowy, przeszła do jadalni, siłą woli pragnąc ukryć swój niepokój wewnętrzny. Kamerdyner usługiwał jej. Dwóch lokai stało po za krzesłami. Była pewną, iż przypatrują się jej ciekawie i gdyby nie zdołała ukryć wzruszenia mogli by ztąd czynić pomiędzy sobą jakieś wnioski i uwagi.

Na pozór jadła, dotykała jednak tylko potraw ustami, wypiła kilka kropel wina, poczem tem mocniej zdenerwowana, odeszła do swego pokoju i ukrywszy twarz w dłoniach łkać głośno zaczęła.

Łzy, spływające obficie, przyniosły jej ulgę chwilową, uspokoiły się nerwy, dręcząca ją myśl jednakże w pierwotnej swej sile pozostała i przekonanie, iż w owej chwili Andrzej walczył ze śmiercią, zmieniwszy się w straszną, zabijającą pewność przygnębiało młodą kobietę, doprowadzając ją prawie do utraty zmysłów.

Zapragnęła po raz ostatni widzieć umierającego:

Co działo się w tej biednej duszy ciężką zgryzotą nękanej? W tem sercu, rozdzieranem boleścią?

Wiemy, iż Herminia tego sama nie pojmowała.

Kochała, kochała namiętnie bez pamięci, a do tego stopnia niewinną była i czystą, iż nie usiłowała nawet walczyć przeciw tej pożerającej ją namiętności, jakiej znaczenia nie odgadywała.

Widzieliśmy tę młodą kobietę na klęczkach, całującą krucyfix na którym niegdyś spoczywały usta umierającej jej matki. Słyszeliśmy ją wołającą w uniesieniu gorącej wiary:

—„Boże Wszechmogący! Boże dobry. Boże sprawiedliwy, ocal tego szlachetnego człowieka, który z narażeniem życia stanął w obronie starca! Coby uczynił syn dla ojca, on to uczynił dla niego, którego jestem córką! Pozwól mu żyć, o Boże! jest on dla mnie bratem, kocham go, kocham!

To co Herminia czuła i myślała natenczas, czuła i dzisiaj zarówno. W co wierzyła wtedy, wierzyła i teraz.

Nie przypuściła ani na chwilę by to uczucie, przepełniające jej serce miało być występną namiętnością. Białość śniegu oślepia, mówią, tych, którzy zbyt długo nań poglądają. Równa czystość jej własnej duszy oślepiała Herminię. Myśl o Bogu, wspomnienie matki, łączyła z tą miłością o istnieniu której sama dotąd nie wiedziała. Kochanek według jej pojęcia był bratem.

Załamywała ręce, powtarzając głośno bezwiednie.

— Za nim umrze, ja chcę, ja muszę go widzieć!

I gdyby pan de Grandlieu znajdował się przy niej natenczas, byłaby mu powiedziała.

— Zaprowadź mnie do tego, który umiera dla ciebie.

Była jednakże samą, nie chciała wtajemniczać w swój zamiar nikogo ze służby, a dla kobiety, zajmującej podobnie wysokie jak ona stanowisko, urzeczywistnienie podobnego żądania otoczone jest tysiącem przeszkód niezwalczonych.

Wachała się długo, to popychana trwogą, to zwyciężana przestrachem, aż wreszcie wyszepnęła z cicha:

— Gdybym nie poszła, czuję, iż dostałabym obłąkania tej nocy.

Nie wahała się dłużej.

Uderzyła godzina dziewiąta wieczorem, powietrze wilgotne i mgliste przez dzień cały pogorszyło się jeszcze.

Wiatr huczał po wierzchołkach dachów, deszcz smagał po szybach. Nie zważała na to wcale.

Przywoławszy swą pokojówkę, kazała się jej jak zwykle rozebrać, rozpalić ogień na kominku, posłać łóżko, co gdy dziewczyna uczyniła, rozkazała jej nie wchodzić do swego pokoju pod żadnym pozorem aż nazajutrz o dziewiątej rano.

Nie jednokrotnie podczas pogodnych dni lata, gdy wicehrabina zapragnęła na przechadzkę wyjść pieszo, pan de Grandlieu prowadził ją na Pola Elizejskie przez małą furtkę, zrobioną w okratowaniu ogrodu.

Wiedziała ztąd ona gdzie się znajdował klucz od tych drzwi, weszła do gabinetu swojego męża, a powróciwszy zamknęła się na klucz, czego dotąd nigdy nie czyniła, włożyła czarną suknię, najskromniejszą, jaką znalazła w swej garderobie, zarzuciła czarny płaszcz na ramiona, włożyła na głowę maleńki czarny aksamitny kapelusz, zakryła twarz woalką i drżąca, lecz z silnem, niezłomnem postanowieniem, zeszła na dół ukrytemi schodami.

We dwie minuty później, znajdowała się w ogrodzie.

Deszcz lał potokami.

Jako posiadaczka trzystu tysięcy liwrów rocznej renty, dziesięciu powozów w remizach, czternastu koni na stajni, wychodząc jedynie pieszo w czas pogodny i pewny, nie miała parasola.

Mogła bezwątpienia powrócić do pałacu i wziąć klucz z mężowskiego gabinetu tyle obecnie dla niej potrzebny. Nie pomyślała o tem wcale i mknąc odważnie po mokrym piasku, szła mimo ulewy aż do furtki jaką otworzyła z trudnością pośród głębokich ciemności, oczekując w nadziei spotkania jakiego przejeżdżającego fiakra. Nieszczęściem jednak, podczas ulewy jak zwykle, powozy te stają się niewidzialnemi.

Po upływie kilku minut przekonana, iż czekać będzie napróżno, wyszła udając się w stronę ulicy Royal.

Spostrzegłszy się osamotnioną w ciemnej i pustej alei, gdzie pierwszy lepszy nocny włóczęga mógł napaść ją nagle, uczuła przestrach, mrożący krew w jej żyłach.

Trwoga ta jednak nie zdołała złamać jej postanowienia. Zamiast zatrzymać się, lub wrócić, przyśpieszyła kroku.

Nie doznała jednak żadnej napaści. Jakiś fiakr opróżniony, wracając, zatrzymał konia, a ujrzawszy idącą pieszo pośród ulewy młodą kobietę, której ubranie, mimo zmoczenia deszczem, odznaczało się wytworną elegancyą:

— Oto mój powóz—zawołał—może wsiądziesz pani?

— Dobrze—odpowiedziała żywo Herminia.

Zbliżyła się, a kładąc rękę na drzwiczkach, dodała:

— Wynajmuję cię na godzinę.

— Na godzinę, w taką niepogodę? — zawołał, śmiejąc się woźnica—nigdy w życiu! Nie zgodzę się na to.

Mając już odjechać, zwrócił się jeszcze.

— Dziesięć franków zresztą za godzinę—rzekł—jeżeli pani zechcesz, decyduj się prędko.

— Dobrze — odpowiedziała wicehrabina—zapłacę, ile żądasz.

— Tak się to mówi przy wsiadaniu do fiakra—zaczął woźnica—a gdy się przybędzie na miejsce, poczynamy się targować według taksy. Nie lubię sprzeczek. Zapłać mi pani naprzód, inaczej nie pojadę.

Herminia sięgnęła do kieszeni, ale znalazła ją próżną.

Jak wszystkie kobiety, otoczone służącemi i nigdy niewychodzące same, nie myślała o noszeniu przy sobie pieniędzy. Portmonetka jej z kilkoma sztukami złota pozostała w pokoju.

Woźnica, spostrzegłszy ów gest nieznajomej, roześmiał się głośno.

— Znam ja to—rzekł, znam dobrze. Zapomniane niby pieniądze. Gdybym był mniej przezornym, zostałbym oszukanym. Pfe! to nie ładnie, moja młoda pani!

I zaciął konia, chcąc odjeżdżać.

Pani de Grandlieu uczuła, iż siły nagle ją opuszczają, była bliską omdlenia. Zimno ją na wskroś przejmowało. Zdjąwszy z siebie zegarek z łańcuszkiem, podała go woźnicy,

— Weź to — wyrzekła—wartość tego przedmiotu przewyższa stokroć twoje żądanie. Zapłaciwszy, odbiorę to od ciebie.

— Zgoda!—rzekł—w każdym razie warto to więcej nad dziesięć franków. Wsiadaj pani. Dokąd mam cię zawieść?

Herminia wiedziała od męża adres markiza San-Rémo, wskazała numer i ulicę.

Stary powóz zatętnił po bruku żałośliwie i w ciągu kwandransa zatrzymał się przy ulicy de Boulogne, przed znanym nam pałacykiem.

Pani de Grandlieu wysiadłszy, zadzwoniła.

Jerzy Tréjan po kilku bezsennych nocach czuwania odjechał do siebie, pozostawiwszy barona przy chorym.

Andrzej San-Rémo spał.

Croix-Dieu siedząc przy stoliku, oświetlonym lampą, czytał dzienniki, gdy we drzwiach ukazał się lokaj markiza, szepcąc cicho:

— Panie baronie...

— Cóż takiego?

— W salonie czeka jakaś dama, która chce widzieć mojego pana.

— Dama?—powtórzył Croix-Dieu.—Cóż to za dama?

— Nie wiem tego, po raz pierwszy tutaj ją widzę.

— Czy młoda?

— I tego nie wiem, ma twarz przysłoniętą gęstą woalką. Wydaje mi się ona być młodą. Elegancko ubrana, lecz na wskroś przemoknięta. Widocznie jest wzruszoną. Jej głos drży. Możnaby sądzić, że to jakaś uczciwa kobieta, kobieta z wielkiego świata.

Baron zerwał się nagle.

— Ach!—zawołał—gdyby to była ona, lecz nie, niepodobna! Gdyby to była ona, poznałbym ją, nawet przez woalkę.

— Co mam robić?—pytał służący.

— Pójdę sam rozmówić się z tą damą — odrzekł Croix-Dieu. Czeka powiadasz w małym salonie?

— Tak, panie baronie!

— Jest tam światło?

— Jest.

Baron wyszedł do przyległego pokoju, spojrzawszy na uśpionego Andrzeja.

Herminia oczekiwała w łatwem do zrozumienia wzruszeniu. Ujrzawszy wchodzącego, zadrżała. Obcy więc człowiek miał zostać świadkiem tak szalonego kroku z jej strony?

Uspokoiła się jednak, będąc pewną, że przez woalkę nie dojrzy jej rysów twarzy, a ponieważ nie znała go wcale, wniosła ztąd że i on zapewne jej nie zna.

Jedno spojrzenie wystarczyło Croix-Dieu, do rozpoznania tej kształtnej, pełnej wdzięku patrycyuszki.

— Tak—pomyślał sobie—to ona!

Ukłonił się z poszanowaniem, zapytując:

— Pani pragniesz widzieć mojego przyjaciela, Andrzeja San-Rémo?

Pani de Grandlieu skinęła głową potwierdzająco.

— Zapewne pani wiadomo, że markiz San-Rèmo został ranionym, ciężko, niebezpiecznie ranionym?

— Czyliżbym się tu znajdowała inaczej?—szepnęła młoda kobieta. Jest bardzo chorym nieprawdaż? A może umiera?...

— Nie! dzięki niebu! Stan jego był bez nadziei, polepszenie jednak nastąpiło i mimo że obawy nasze istnieć nie przestały, bardzo się wszelako one zmniejszyły.

— Pan mówisz prawdę? Mogęż temu wierzyć?

— Przysięgam na honor! Zresztą, możesz pani za chwilę upewnić się sama, skoro będę miał zaszczyt zaprowadzić panią do sypialni, gdzie markiz spoczywa, śpiąc spokojnie.

— O tak, zaprowadź mnie pan! — zawołała. Nie wątpię o tem, co mi mówiłeś, lecz tak jestem pełną trwogi, że wtedy dopiero się uspokoję skoro zobaczę go sama!...

Croix-Dieu, podawszy ramię Herminii, uczuł, jak wsparta na nim jej drobna rączka konwulsyjnie drżała.

— Pani — rzekł zatrzymując się — pani jesteś słabą, drżysz...

— Nie wiem, być może.

— Ubranie pani przesiąkło wilgocią.

— Tak, nie mogłam znaleść powozu, deszcz padał. Szłam długo pieszo. Ale to drobnostka. Nie traćmy czasu, panie. Bardzo się spieszę, pragnę go tylko widzieć, a skoro zobaczę, natychmiast opuszczę ten dom.

— Skoro tak, racz więc pójść pani—rzekł Croix-Dieu.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.